

Z. MORAWSKA.

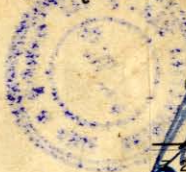


ZŁOTA OSTROGA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

Z CZASÓW

KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO



28 ILLUSTRACJAMI L. ILINIOZA

744

WARSZAWA
NAKŁAD KONSTANTEGO TREPTĘGO
ul. Kredytowa 16.



114997

K-60/81/130288

Spółka Akcyjna Wyd.-Druk „Praca”, Fr, Bogucki Kredytowa 2-4.

[Handwritten signature]

I

744



Bitwa była nierozegrana;—
na ogromnem polu pod Sa-
bacz, tysiące Turków leża-
ło, brocząc we krwi, wy-
dając jęki, błagając o kro-
plę wody, pomoc, opatrze-
nie ran, lub zresztą roz-
paczliwie wołając: Allah,
Allah!

W jękach przebijała się już tylko ostatnia proś-
ba, ostatni lęk; po nim następowało straszliwe chra-
panie. Potem w owem miejscu była już najzupełniejsza
cisza — dowód, że Allah zabrał duszę wiernego i kazał
ją zanieść do siódmego nieba, to jest tam, gdzie dusze bo-
haterów, poległych w walce za wiarę Mahometa oraz
całość i wielką potęgę państwa tureckiego, spoczywać
miały. Lecz wśród okrzyków: Allah! Allah! mieszały
się okrzyki: „Gott, Gott! Heiliger Jesu!“, szeptany przy-
ciszone głosem „Vater unser“, lub „o meine Mutter,—

meine geliebte Kinder“, a z pomiędzy tych okrzyków wyrывał się jeszcze: „O Chryste Jezu! o Najświętsza Maryo Częstochowska, ratujże mnie w ostatniej godzinie!“

— „Oj matuś moja, matuś!“

Lecz na te wszystkie wołania żaden głos śpieszący z pomocą nie odpowiadał. Tylko słońce stało nad pobożowiskiem i z wielkiej ognistej kuli rzuciło palące promienie, przegładając się w kałużach niezaskrzepłej krwi lub otwartych wnętrznościach dogorywających na polu walki.

Powoli krew zastygała, pozostawiając czerwone wielkie plamy, która jednym wstrętą wonią zarażała ostatnią chwilę pobytu na tym padole łez, krwi i bólu, w jakim w tej chwili każdy z nich się znajdował.

Czasem przez szczeliny sterczących skał zawył wiatr ostrym złowrogim świstem... I ten nie przyniósł ochłody, lecz woń spalenizny cuchnącej, lub zgnilizny wstrętnej, ohydnej, zabójczej...

Wśród tego żywego cmentarzyska, nad którym kruki i sępy w górze krążyć poczęły, najstraszniejsze ponosili męczarnie ci, których rany krwawiły boleśnie, a całe ciało trawione było zjadliwą gorączką. Życie kołatało się jeszcze w piersiach — a duch błakał się po odległych chatkach, zamkach i domach; — siadał przy rozetlonem ognisku, ukazywał błysk szczęścia, uśmiechu losu i znów wracał do zbolełego, pokłutego jak sito ciała.

Mimo tylu poległych i rannych, mimo tej krwi szeroko rozlanej, bitwa była nie rozegrana.

Miasto Sabacz wznosiło swe mury nadszczerbione, podziurawione i pokłute tak samo, jak ciała ludzi, leżących w głębokich fosach i na szerokim polu; i tak samo stało odporne, jak duch tych nieszczęśliwych, który nie chciał opuścić swej nędznej ziemskiej powłoki.

Wśród ciężko rannych byli i tacy, którzy mogli się podnieść; ci wlekli się, o ile im sił starczyło; — przysiedli lub legli na chwilę i znów podnosili się, oglądając za jakąkolwiek siedzibą ludzką, lub przynajmniej cieniem drzew i kroplą wody.

Jeden z pomiędzy nich młodzian w austriackim mundurze włókł się w ten sam sposób. Co odszedł, potykając się lub pełzając staj kilka, kładł się, oddychał ciężko i chwycił w zbolełą pierś duszne, przepełnione zgnilizną powietrze. Odwłókł się w ten sposób dobrze z pół mili, nie napotkał jednak nigdzie ani ochłody dla ust spieczonych, ani ulgi dla krwawiącej rany. Krew zaszkrzepla oczerniała wielką plamą na jasno granatowym mundurze, zerwane zaś szlify i poszarpany rękaw świadczyły, iż młodzieniec nie wypuścił z rąk broni, póki tylko mógł ją utrzymać.

W umyśle jego mieszała się piękna pułkowa muzyka, z głosem miłej i ujmującej rozmowy, — obszerne błonia z całym szeregiem mustrujących się młodych jak on oficerów, z widokiem uprzejmych eleganckich pań i panów, snujących się po wspaniałych salonach... — kropla czystej krynicznej wody, której spieczono jego usta pragnęły, z widokiem wychylanych w gronie towarzyszy puharów. To znów zdawało mu się, że słyszy głos

dzwonów, widzi słodki uśmiech bladej schylonej nad nim kobiety, która dotyka dłonią jego spieczone czoło... Na tę wizję mającego wśród cierpień i gorączki umysłu błogi, uśmiech okraślił jego piękną twarz młodzieńczą, a usta szepnęły:

— Matko!

Był to ostatni już wyraz, który wymówił i bodaj czy nie ostatnie w tej chwili widzenie. Przestał bowiem pełzać dalej i legł najzupełniej bezwładny na spieczonej słońcem murawie.

Słońce, zataczając powoli swój krąg świetlany, wznosiło się coraz wyżej i wyżej. Wiatr, świszczący między szczelinami wzgórz, szamotał łodygami bylicy i starych poważnych gałęzi buków, oraz rozłożystymi krzakami gęsto rosnącej trzmieliny.

Szamotał niemi, przynosił jaki taki świeższy powiew i muskał rozpalone czoło młodego oficera, leżącego na pochyłości wąwozu. Wiatr muskał, lecz nie był dość silnym, ażeby zmieść żar promieni słonecznych. Wreszcie słońce stanęło wysoko, rzuciło jeszcze w dal pełnem swem rozognionem obliczem i powoli poczęło się spuszczać za wzgórze wąwozu. Teraz już tylko snopy czerwono złotych promieni ślizgały się po dolinach i po wielkiem obozowisku, przebłykiwały coraz czerwieńszem światłem, i coraz krwawsza twarz słońca spoglądała, jakby z boleścią lub wstrętem, na tę ziemię pełną cierpienia i walki.

Z odległej doliny poczęły dochodzić głosy porykującego bydła. Były to głosy wystraszone, tęskne, nie-

śmiele, jakby obawiające się zakłócić ciszę, lub zbudzić niedawno przebrzmiałe odgłosy bitwy. Za głosem bydła dawał się słyszeć od czasu do czasu pokrzyk ludzki, nawołujący do porządku śpieszące do domu stado.

Głosy były starsze i młodsze, wychodzące z początku nieśmiało, powoli jednak, zmuszone niesfornością stada, również wybuchały coraz głośniejszą, z niecierpliwością i gniewem.

— Iwo, Iwo, — gdzieżeś utknął! łysa poszła w wąwóz! Iwo, Iwo! naganiaj! a bodajeś!... — wołał głos chrapliwy, zniecierpliwiony, mieszając w swym gniewie tureckie i serbskie wyrazy.

Lecz Iwo na to wołanie nie odpowiadał i nie zapędzał łysej, która spostrzegłszy kępę świeżej pachnącej trawy, raczyła się nią w wąwozie, nie myśląc wcale o powrocie do stada.

Iwo tymczasem, zbiegłszy właśnie za ową łysą w wąwóz, spostrzegł leżącego, niedającego znaku życia człowieka. Lśniąc w zachodzącym słońcu ostroga u butów tak go zachwyciła, iż z początku z pewną bojaźnią, a potem coraz śmieiej zaczął się przybliżać, ażeby zobaczyć, co to tak błyszczy.

Ciekawość przewyciężyła lęk i nieśmiałość.

Dotknął palcami błyszczącego cacka, — dotknął delikatnie, potem coraz silniej i poczuł, że ostre.

— Oh, tak się świeci, a kłuje! — pomyślał sobie, oglądając swój chudy czarny o grubej skórze, pokłuty palec.

— Żeby się tak nie obudził, to bym zdjął... — myślał sobie znowu.

— Ba, a jak nie żywy... to gorzej; zerwie się i za łeb złapie! — myślał dalej, walcząc z zabobonnym przestachem i chęcią posiadania świecącego cacka.

— Gwóźdź — mówił do siebie—ale jak to on wbity? ba juści w but, nie w piętę!

Zbliżył się raz jeszcze, lecz już nie do owej ze złotym gwoździem pięty, lecz wprost do ramion i twarzy leżącego.

— Oj, oj, toć on zabity! tak mu krew zczerniała na ramieniu... a jakie ma białe ręce, ba i twarz; ale jakie śliczne guziki! — myślał dalej, oswajając się z widokiem leżącego i rozpatrując coraz więcej szczegóły pięknego ubrania.

— To pewnie jeden z tych, co tam strzelali pod miastem! Ależ go odrzuciło! rzekł, nie mogąc przypuścić, ażeby ranny mógł się zawlec tak daleko.

— A jaki sygnet! — zawołał, przechodząc z podziwu w podziw, i dotknął lewej ręki leżącego.

— Aj, gdyby tak zdjąć? uciekłbym raz na zawsze od gospodarza! Oho, jużby mnie nie lał pasem i nie szturchał.

Na wspomnienie szturchańców i razów poruszył chudemi plecami, jak gdyby go zaswędziało.

Wtem ranny poruszył ustami i jęknął:

— Matko! matko!

Chłopak drgnął, lecz nie odskoczył.

Wyraz, który usłyszał, był wymówiony w tym samym języku, którym on myślał. Wychowywany wśród Serbów słyszał tylko ich mowę lub turecką, myślał zaś tą mową, która mu pozostała z najrańszego dzieciństwa, której go nauczyła matka.

— Matko, matko! — powtórzył za rannym i mimo woli zbliżył się ku niemu.

Nachylił się nad nim, strach go nie przejmował, lecz jakieś inne uczucie, którego nie umiał określić.

— Matko, matko! — powtórzył znowu, a na jego chudej opalonej twarzy ukazał się wyraz tęsknoty.

— On woła matki, gada tak, jak moja matka, a ja chciałem mu zabrać złote gwoździe i sygnet!—pomyślał.

— To brat! — dodał, przypatrując się leżącemu.

Nachylił się nad nim i dotknął lekko jego delikatnej białej ręki.

Ranny poruszył się, lecz chłopak nie uciekł od niego. Usłyszane wyrazy wlały jakąś otuchę w jego serce, coś mu kołatało w piersiach, nie wiedział co się z nim dzieje.

Zdawało mu się, że ten leżący jest mu bardzo bliski, że nie powinien go opuszczać.

— Żeby go tak polać wodą, możeby się ocknął! — pomyślał sobie.

I pędem strzały pobiegł do błyszczącego o kilka staj w dole stawu.

Był już na pół drogi, kiedy nagle się zatrzymał.

— Ba! i w czymże wody przyniosę? możeby go do wody przyciągnąć! — pomyślał.

Wrócił się więc, chcąc spełnić to, co pomyślał.

Ranny teraz miał otwarte oczy, patrzył wprost na niego.

— Wody! — wyszeptał, ujrawszy przy sobie ludzką istotę.

— I w czymże jej przyniosę! — powtórzył chłopak na poły do siebie, na poły do leżącego.

Czy ranny usłyszał wyrazy chłopca, czy też dla innej jakiej przyczyny podniósł rękę ku okrywającemu jego głowę skórzanemu kaszkietowi.

Chłopiec jakby rozumiał ten odruch, uśmiechnął się, odpiął skórzaną, zaledwie trzymającą się podpinke kaszkieta i galopem pobiegł do stawu.

Po niejakijs chwili powrócił zdyszany, niosąc ostrożnie kaszkiet, napelniony wodą.

Zadowolony z siebie wylał ją z całym rozmachem na głowę leżącego.

Pod strumieniem zimnej wody ranny drgnął, lecz obezwładniony leżał, nie dając znaku życia.

Chłopak stał i patrzył czas jakiś, widząc jednak, że się nie rusza, przykląkł i z prawdziwym żalem zawołał:

— O Jezu, toć go ta woda dobiła!

Począł ostrożnie przykładąć czarną swą rękę do białego delikatnego czoła leżącego i głaskać po lśniących ciemnych włosach, po których wiatr muskał teraz łagodnie.

Wszelkie jednak starania lwona i muskanie wiatru były daremne, ranny nie otwierał oczu.

Gdyby jednak chłopiec miał więcej nieco doświadczenia, ucieszyłby się bardzo skutkiem wylanej wody.

Ranny nie otwierał oczu, lecz orzeźwiony spał snem spokojnym.

Iwo tego nie rozumiał; zmartwiony i wielce zafra-sowany siedział przy rannym, zapomniawszy o krowach, gospodarzu, karze jaka go niechybnie czekała i myślał, jakimby sposobem przywrócić życie leżącemu.

Aż wśród tego rozmyślania sen go zmorzył i legł na orzeźwionej wieczorną rosą murawie.



Niebo usiane miliardami gwiazd, niebo ciemno-szafirowe, pogodne, zawisło nad nimi; powoli wypłynął spokojny poważny księżyc, oświetlając jasnym srebrnym światłem cały wawóz i patrząc swemi martwemi oczami na senną ziemię, na tych, co wśród cierpień zasnęli na wieki i na tych, których duch, pasując się ze śmiercią, nie rad był jeszcze opuścić nędznej swojej powłoki.

Wtem, od północno-wschodniej strony ukazało się dwóch ludzi. Idąc pilnie, rozglądali się po wielkiej przestrzeni, zasłanej ciałami zmarłych lub umierających, prawie nad każdym, co nosi oficerski austriacki mundur, schylali się, spoglądali, a widząc, że wszelkie stara-

nia nie mu już nie pomogą, szli dalej, kierując się jakimś dziwnym instykiem, w tę stronę, w którą przed kilkoma godzinami pisał ranny.

Ślady krwi na piasku przydrożnym, gdzieś tam osrebrzone teraz światłem księżyca, były dla nich wskazówką, że wtedy włókł się ktoś ranny. Ślady te niknęły, i znów się ukazywały, lub też wyrwana gwałtownym ruchem garść burzanów wskazywała przejście jakiejś żywej istoty.

— Ranny włókł się wtedy! — rzekł starszy z idących.

— Skąd wiecie? — zapytał młody towarzysz.

— Jak będziesz kiedy ranny, zrozumiesz, że tylko człowiek walczący ze śmiercią, chwytą się wszystkiego, co napotka na drodze i wyszarpuje zielsko, które mu nie daje ulgi ni schronienia; — odrzekł starszy.

Lecz po niejakiś czasie nie było ni śladów krwi, ni poszarpanych burzanów.

— Skoro tak mówicie, tak ci być musi — odrzekł młodzieniec — lecz któż wie, czy to nasz pan wtedy się przedzierał.

— Bóg to wie! Na pobojuisku go niema, oho, poznałbym go, poznał! — dodał stary, wzdychając.

Młody zawtórował mu westchnieniem.

Szli już teraz dalej w milczeniu.

— Chybać się w wawóz nie stoczył! — rzekł wreszcie młody.

— Ha, co ty tam wiesz! W bólu człek nie wie, co robi, wszystkiego się chwytą! — odparł stary, schodząc po stronej pochyłości wawozu.

— Co się ze mną stało? — począł — aha, byłem ranny!... Gdzie mój koń?... To wy, Grzegorzu!... I ty, Domin!... — mówił osłabionym głosem. — A gdzie ten, co mi przyniósł wody?

— Poszedł po wodę! — odpowiedział Grzegorz, domyślając się, że to ów śpiący obok chłopak, uczynił jego panu tę wielką przysługę.

— Niech się panicz... to chciałem mówić... jego książęca mość nie rusza! — upominał Grzegorz.

Domin tymczasem rwał bujnie rosnącą trawę i podkładał ją pod głowę leżącego.

— Bardzom ranny? — spytał słabym głosem tenże.

— Eh, bajki! zrośnie się wkrótce! — odrzekł Grzegorz, rozpinając mundur na leżącym i opatrując, czy niema gdzie kuli lub cięcia, mundur bowiem był w kilku miejscach poszarpany.





— Druciana koszulka go ocaliła! — rzekł Domin, dopomagając w staraniach.

— Głupiś! nie koszulka, lecz ot, to!

I wskazał na ryngraf z Matką Boską, wiszący na piersiach rannego.

Ranny zwrócił wzrok na blachę poczerniałą i po-
giętą w wielu miejscach i szepnął:

— Matka mi dała!

— A Najświętsza Panna ocaliła! — dodał Grzegorz.

— Nema kuli? — spytał znów ranny.

— Nie, Matka Boska nie pozwoliła! — rzekł z całą
wiarą Grzegorz.

— Ale tam w ramieniu? — zapytał z pewnem znie-
cierpliwieniem ranny i chciał poruszyć prawą ręką, lecz
ból dotkliwy nie pozwolił mu tego uczynić.

— Przeleciała jeno przez ciało na jabłku, a kości
nie ruszyła! — rzekł, uspakajając stary.

— Tom ja znać omdlał! — mówił ranny.

— Niech jego książeczka mość leży spokojnie! — pro-
sił Domin, gdy tymczasem Grzegorz oglądał z troskli-
wością najczulszej matki nogi i całe ciało rannego.

W tej chwili wrócił Iwo, niosąc jak i pierwaj z wiel-
ką ostrożnością kask napelniony wodą.

— To ten, aha, to ten! — rzekł ranny.

Chłopakowi serce zakołatało wielką radością.

Zdawał już sobie sprawę ze wszystkiego doskonale,
przypominał sobie, że miał ochotę odczepić od butów
złote gwoździe, które migotały w świetle słońca, patrzył
także na błyszczący krwawem okiem sygnet i połysku-

— Dawaj! — przy-
opatrując ranę szarpkami i kawałkiem płótna, wyję-
z niewielkiej torebki, którą nosili u pasa wojskowi.

Zaraz, aleć tu nigdzie wody ani oko! — rzekł na
poły do siebie Domin.

— Hej ty! — zawołał na śpiącego jak kamień Iwona.

Chłopak zerwał się na równe nogi, belkocząc po
rumuńsku.

— Zaraz, zaraz, gospodarzu!... Toć jeszcze noc! —
dodał, przecierając oczy i nie wiedząc, co się z nim dzieje.

— Nie belkocz, jeno prowadź, gdzie woda! — wrza-
snał mu nad uchem Domin, popierając żądanie potężnym
szturchańcem.

— Gdzie woda?! — zawołał po raz drugi Domin.

— Cicho, nie wrzeszcz — zgromił go stary — Turcy
mogą być blisko, usłyszą i napatrzą biedy.

— Kiedy ten bestya nie rozumie — tłumaczył się
Domin.

jące guziki. Teraz zdawało mu się, że one patrzają i wyrzucają mu jego chciwość. Bolało go to bardzo, choć sam nie wiedział dla czego. Lecz obok tego bólu czuł wielką radość i serce kołatało mu szczęściem, że ten leżący go poznał.

— Oblałem go wodą i ożył! — ośmielił się szepnąć, przekręcając najdziwaczniej wyrazy.

— Patrzcie, on mówi podobnie do naszej mowy! — rzekł Domin.

— Aha, aha! — przyświadczył Iwo.

— Żeby tak było gdzie go przenieść! — rzekł jakby do siebie Grzegorz.

— Daleko tu do wioski? — spytał Domin chłopaka.

— Do wioski? — powtórzył tenże, usiłując zrozumieć pytanie.

— Do chałupy, do chaty? — tłumaczył Grzegorz.

— Ba! — kiwnął głową Iwo — ba, — powtórzył, nie mogąc jakoś na razie znaleźć odpowiedzi. I zasmucił się, kręcąc swą rozczochraną głową, osadzoną na cienkiej, chudej szyi.

— Prowadź nas do wioski! — zawołał Domin, popierając swe żądanie kulakiem.

— Gdzie gospodarz? — pytał natarczywie Domin.

— Zabije... krowy puścił... — mówił Iwo, drżąc całym i wskazując na siebie.

— Nie zabije! prowadź! — ozwał się Grzegorz.

Teraz w sercu pastucha poczęła się walka. Bał się gospodarza, a byłby rad zaprowadzić tam rannego, z którym sam nie wiedział, co go złączyło.

Co? alboż on wiedział?

Czuł tylko, że ten leżący jest mu jakby rodzony.

— On mówił matko, matko! tak jak i ja — myślał sobie.

— Prowadź! — wymówił słabym głosem ranny.

To znać poskutkowało.

— Hej! — rzekł pastuch, wskazując ręką, i poczał iść wzdłuż parowu, oglądając się na leżącego.

— Czekaj! — rzekł Domin, przytrzymując go.

— Wyleje mnie gospodarz, pewnikiem wyleje, ale niechaj! Temu tam będzie u niego dobrze i mleka dadzą! — myślał sobie Iwo, spoglądając zdziwionymi oczami na żołnierzy, którzy mu kazali iść, a teraz zatrzymują.

— Czego oni chcą? — myślał dalej — raz każą iść, drugi raz zostać.

I nie mogąc myśli swoich wypowiedzieć, bo mu się wszystkie znane wyrazy plątały, rzekł tylko ponownie:

— Haj, haj! — i wskazał ręką i głową, jak mógł najdobitniej, chcąc iść w stronę domostwa swego gospodarza.

Lecz Domin wstrzymał go znowu, dodając:

— Ani mi się rusz, bo cię ubiję! — I pogroził pięścią.

— Nie bij! — ozwał się znów ranny.

— Splciemy ręce i przeniesiemy jego miłość! — ozwał się Grzegorz.

— Nie trzeba, czuję się silnym, pójdę o swojej mocy! — rzekł ranny, podnosząc się nieco.

Sen, omyta rana, kilka łyków wody, a następnie wódka, której Grzegorz dał mu się napić z oplatanki

przywieszanej u pasa, wzmocniły go nieco. Rana rzeczywiście nie była groźna, osłabił go tylko wielki wpływ krwi i wstrętna woń, wśród której spadłszy z konia, leżał czas jakiś na pobojuwisku. Wstał też przy pomocy Grzegorza i Domina i oparłszy się na nich, szedł za Iwonem, któremu teraz kazano wskazywać drogę.

Po niejakiś czasie musiano odpocząć.

Iwo szeroko rozwartemi oczami przypatrywał się wtedy rannemu, a drobne starania jakimi go otaczał i urywane wyrazy, jakimi wymawiał, dowodziły, iż rad był wszystko uczynić, ażeby tylko mu ulżyć.

Ta usłużność przejechała nawet Domina.

— Ten chłopak naprawdę dobrze służy naszemu panu! — mruknął, patrząc, jak Iwo rozgarniał burzany, i szukał najodpowiedniejszego miejsca na odpoczynek.

— Daleko jeszcze do twego gospodarza? — spytał Grzegorz.

— Daleko! — wykrztusił po chwili namysłu chłopak.

Dla potwierdzenia wyciągnął rękę w stronę południowo-zachodnią i powtórzył po swojemu:

— Haj, haj, haj!

Po krótkiej naradzie postanowiono, że chłopak z Dominem pójdą po pomoc, a Grzegorz z rannym zostanie.

— Wybije! — zawołał Iwo, oglądając się z żalem na osłabłego wysiłkiem rannego.

— Nie! — odrzekł tenże z uśmiechem.

— Nie? — zapytał chłopak.

— Nie bój się, bić cię nie będą! — zapewnił Domin — jeno prowadź! — dodał.

— Haj, wybije! — wyjąkał znów chłopak, patrząc na rannego.

— Haj, nie wybije! — upewnił go, przedrzeźniając jego mowę, Domin.

— Pewnie się boi gospodarza, nie pozwól go bić! — ozwał się Grzegorz.

— Obiecay nagrodę! — ozwał się ranny.

Po chwili Iwo z Dominem odeszli. W wąwozie, ułożony jak można najdogodniej, pozostał ranny i czuwający nad nim Grzegorz.

Niebo zasłane gwiazdami patrzyło na nich, otulając bezmierną nocną ciszę.

Po chwili gwiazdy zaczęły gasnąć jedna po drugiej: blaski ich drżały, migotały, rozplywając się gdzieś w dali lub jednym nagłym błyskiem spadały, nie zostawiając po sobie najmniejszego światelka. Gwiazdy gasły; w powietrzu czuć się dawał świeży, chłodny powiew. Po nocnej ciszy zrywał się wiatr, muskając burzanami i wysoko wyrosłą trawą. Jakiś ptak nocny załopotał niespokojnie skrzydłami i opuścił się na pobliską skałę, w powrocie z nocnej wędrówki.

Na miejsce gwiazd począł wysuwać się powoli różowy rąbek, rumieniąc obrzeżeniem swoim ciemny błękit nieba.

Różowy rąbek wysuwał się coraz dalej i poczęły podświtywać złotawe blaski.

Nad skałami i wąwozem gęste mgły powlokły płaszcz swój biały, podnosiły się ku górze i opadały. Wzgórza pokryte zielenią, nagie skały sterczące zdala,

jary porośłe niskimi krzewami, wąwozy powiewające bujną trawą, wszystko wśród tej mgły zniknęło. Płaszcz biały wilgotny objął ziemię: zniknęła wśród gęstych oparów; zdawało się, iż nagle zalało ją bezmierne, nieprzejrzone okiem morze. Po chwili mgła rozdarta na strzępy poczęła rozwłóczyć się wielkimi szmatami: szła chwilę w górę, znów opadała, chwiejna w swojej podróży.

W górze, na niebie, świt ukazywał się w całej pełni, rozpraszając walczące z nim napróżno nocne ciemności. Pan, mocarz, dobroczyńca wszelkiego stworzenia—słońce, wielką czerwoną kulą wyglądało z ciemnych obłoków, rzucając czerwone światło na piętrzące się skały.

I wśród tego blasku ukazał się ten sam gospodarz, który wczoraj, zapędzając krowy, nawoływał Iwona.

Stał teraz na wozie, zaprzężonym parą wołów i w purpurowym blasku wschodzącego światła wyglądał jak mityczne zjawisko, posuwające się dla złożenia ofiary. Kierował wozem umiejętnie, lecz ostrożnie pomiędzy złomami skał, prowadzącymi do wąwozu.

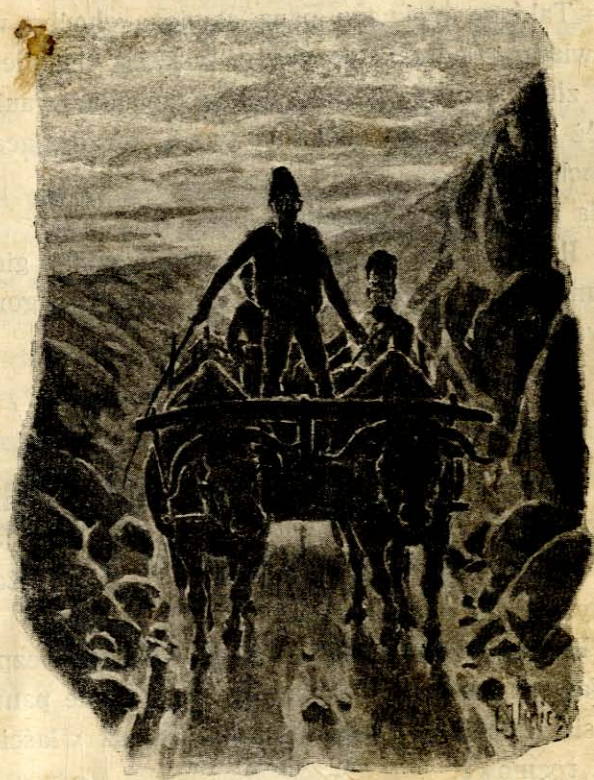
Na wozie zaś, doskonale wymoszczonym świeżą trawą i pokrytym matą ze słomy kukurydzowej, siedział Iwo i Domin.

Ów groźny gospodarz nie miał w tej chwili miny srogiego pana: czerwone blaski wschodzącego słońca oblewały wprawdzie twarz jego ciemną i zarosłą, lecz zarazem odkrywały uśmiechnięte zadowoleniem pełne, grube usta i błyskające chciwością małe czarne oczy.

Obietnica nagrody, którą Domin starał się na migi wytłumaczyć, podziałała znać uspakajająco, ochroniła

plecy Iwona od razów i wywiodła Serba na poszukiwanie rannego.

W tej chwili obliczał zyski, jakie mógł osiągnąć za daną pomoc, zostawiając wypędzenie krów na paszę resz-



cie domowników i odkładając porachunek z Iwonem do sposobniejszej ku temu chwili.

Wóz powoli stoczył się w jar, a gdy składali rannego na wygodne postanie, słońce rozrzucało złociste

promienie, a mgła, opadając, świeciła się wielkimi kroplami na liściach i twarzach.

— Przewieźcie nas bezpiecznie do najbliższego miasta? — zapytał Grzegorz łamanym niemieckim i tureckim językiem, który jednakże przybyły zrozumiał.

— Takiego pięknego pana zawiozę choćby na koniec świata — odrzekł przybyły, łyskając chciwie oczami na złote ostrogi, guziki, piękne umundurowanie, jak również na jego białą delikatną twarz, zdradzającą pańskie pochodzenie.

Dla zapewnienia się jednak zapytał:

— Ile zarobię? — i poparł to odpowiednim giestem.

Ranny chciał coś odpowiedzieć, lecz Grzegorz mu przerwał pytając:

— Ile chcesz?

— Sto piastrów.

— Jedź — rzekł ranny.

— Tylko unikaj zetknięcia z Turkami! — zawołał Grzegorz.

— Trudno to będzie! — ozwał się Serb, żalując w duszy, że tak mało zażądał.

— Dostaniesz nagrodę, jeżeli powieziesz bezpiecznie, gałąź cię czeka, jeżeli się coś złego stanie panu! — ozwał się rezolutnie Domin. I znów poparł właściwym giestem rozmowę.

Serb poskrobał się w kudłatą głowę, widząc jednak, iż więcej nic nie wytarguje, zawołał na Iwona:

— Leć, przypędź dwie cielice i tęgie łyko do związania, Warica pędzi je, tylko co ich nie widać!

— Dokąd go wysłasz? — zapytał Grzegorz. Serb wytłomaczył jak umiał.

— Nie zajmuj się cielicami, tylko jedź! — zawołał Grzegorz.

— Toć bez cielic trudno was przewieźć! — odrzekł krótko gospodarz, odpowiadając na migi, czego nie mógł mówić.

Iwo przyzwyczajony do posłuszeństwa, zeskoczył zaraz z woza i popędził w stronę, gdzie z za skały dochodził poryk wypędzonego na paszę bydła. Nie uszło i pół godziny, Iwo wrócił, prowadząc dwie cielice, niosące na grzbiecie potężne łyka.

Teraz Serb zeszedł z woza i pozwalając wołom skubać zroszoną wonną trawę, począł wiązać cielice i z wielkim wysiłkiem na wóz układać.

Grzegorz i Domin a nawet ranny przypatrywali się z wielką ciekawością tej robocie, nie protestując jednak.

Zakopcie się w trawę — mówił Serb — cielice wiozę na targ! musicie mi za nie zapłacić! — dodał, chcąc skorzystać ze swego pomysłu.

— Dobrze, ale cielice nam zostawisz! — odrzekł Grzegorz.

— Ba!... — odrzekł wahając się Serb.

Musiał się jednak zgodzić.

— Do domu! — krzyknął, spędzając swój zły humor na Iwona.

— Pojedzie z nami! — ozwał się rozkazującym głosem ranny.

Serb błysnął czarnemi oczami, nic jednak nie odrzekł, tylko popędził leniwo idące woły. A słońce patrząc czas jakiś czerwonym wielkiem obliczem na budzącą się ze snu ziemię, rzuciło teraz całem bogactwem promieni, ozłacając niknące pod jego spojrzeniem krople rosy i posuwający się wóz z zakopanym w sianie ran-
nym, i dwoma jego wiernymi sługami.

II.

W OBOZIE.

Austria, nie mogąc zapomnieć Prusom zabrania w. r. 1763 Śląska, oglądała się na wszystkie strony, ażeby sobie przeciwko nim znaleźć sprzymierzeńca.

Kiedy więc Rosya w r. 1787 prowadziła wojnę z Turcyą, Austria wypowiedziała zaraz wojnę sultanowi, chcąc tym sposobem przyjść z pomocą Rosyi, ażeby w danym razie pomoc od niej otrzymać.

Nic więc dziwnego, że przy oblężeniu miasta Sabacz na polu bitwy można było usłyszeć mowę niemiecką, a nie tylko niemiecką, lecz i polską, bo dużo ochotników znajdowało się w wojsku austriackiem.

Ranny, któregośmy co tylko poznali, był oficerem austriackim; słudzy należeli również do szeregów austriackich, Serb zaś, który ich wioził, miał porachunki z Turkiem, który swem panowaniem dobrze mu zalazł za skórę. Obok więc chęci sutego zarobku rad był rannego wyrwać z rąk swoich i jego wrogów. Po bliższem porozumieniu, które dość trudno nastąpiło, odwiózł ich nie do najbliższego miasteczka, lecz wprost do obozu austriackiego, stojącego teraz o dobre dwie mile od obleganego miasta.

Rannego otoczono w tej chwili wielkiem staraniem, a Serb z niemałym zdziwieniem usłyszał, jak mu mówiono, mości książe.

— Oho, żebym ja był wiedział, że to taka gruba ryba, byłbym dwa razy tyle żądał! — myślał sobie, oglądając otrzymane pieniądze i błyskając chciwie oczami.

Nie było jednak rady: ranny i jego towarzysze zni-



knęli, cielice, za które mu odrazu zapłacono, poszły pod nóż, a jego samego z wołami i wozem żołnierze wyprowadzili daleko za obóz.

Z Serbem jednak nie było tak łatwo: wrócił, wołając po serbsku i turecku:

— Chłopak! chłopak!

Za to wołanie żołnierze wyplazowali go pałaszami, dodając giestem bardzo wymownym, że jak się będzie

upominał dłużej, to mu zabiorą woły i to samo, co z cielicami uczynią.

Serb przyjął z pokorą płazy, wołów chronił od noża, niemniej jednak wołał:

— Iwo. Iwo! chłopak!

Czy żołnierze nie rozumieli, czy nie chcieli zrozumieć, trudno to wiedzieć, dość, że śmieli się tylko, żartując sobie z niepokoju Serba. Ten zaś, oglądając się i wracając kilkakrotnie, musiał jednak odjechać bez Iwona.

— A tom zarobił! taki pastuch, taki pastuch przepadł! Prawie nic nie kosztował, pasał uczciwie! A jeszcze się może kto o niego upomni! Niewiedzieć skąd się przybłąkał, teraz niewiedzieć, jak zginął!... — mówił do siebie Serb, czując się wielce poszkodowanym.

— Skąd tu wziąć takiego drugiego — dodawał.

Iwo tymczasem, gdy rannego zabrali, sunął za nim jak mysz, unikając wzroku gospodarza i chroniąc się, żeby go żołnierze nie odpędzili.

Jak się dostał do namiotu rannego i jakim sposobem przeżył całą dobę, niewidziany przez otaczających, nikt nie wiedział.

Ot, chyba Pan Bóg opiekował się biednym sierotą.

Na trzeci dzień, kiedy brzask dzienny począł się zaledwie przedzierać przez płótno namiotu, ranny otworzył oczy i począł przyglądać się promykowi światła, ściągającym blade smugi na jego pościeli.

Obóz spał, cisza była dokoła.

U wejścia do namiotu spoczywał Grzegorz, nie odstępujący na krok swego młodego pana.

Nagle w kącie namiotu, w nogach posłania, coś się poruszyło.

Ranny spojrzał w tę stronę i ujrzał twarz chudą czarną, dziecięcą i dwoje oczu przypatrujących mu się ciekawie.

Przetarł oczy, sądząc, że senne widziadło nie zeszło mu jeszcze z myśli. Śnił bowiem właśnie, że na polu bitwy leżał omdlały, a jakieś pacholę cucilo go wodą.

Lecz nie, — widziadło nie znikło, owszem wysunęło jeszcze wyżej swą jasnowłosą rozczochraną, osadzoną na chudej szyi głowę i wpatrywało się weń uparcie.

— Kto ty? — spytał ranny, chcąc się przekonać, że nie śni.

— Iwo... — odrzekł chłopak, wysuwając się nieśmiało.

— Czy jego książęca mość potrzebuje czego? — zapytał, osłuchawszy się przez tę dobę języka i nauczywszy się zapytania, które wciąż zadawano rannemu.

— Coś ty za jeden? — spytał książę, uśmiechając się i usiłując sobie przypomnieć tę twarz czarną wynędzniałą, która nań patrzała.

— Iwo... — odrzekł znów chłopiec.

Po chwili zaś, jak gdyby sobie coś nagle przypomniał i to przypomnienie zrobiło mu wielką przyjemność, zawołał.

— Matka mówiła!

I nagle twarz jego ogorzała rozjaśniła się błogim uśmiechem.

Książę uśmiechnął się również. Nie wiedzieć dla czego, chłopak ten robił mu przyjemność. W jego umyśle majaczyła wciąż ta rozczochrana głowa i twarz wychudzona: ogarnęła go litość.

— Skądś się wziął?

Chłopak szeroko otworzył oczy i popatrzył na mówiącego, usiłując zrozumieć pytanie.

— Skąd tu przyszedłeś — powtórzył pytanie ranny.

Chłopak padł na kolana i sunąc tak na nich, przypelzał przed łóżko, a potem upadłszy czołem do ziemi, wołał łamanym językiem:

— Nie odpędzaj, nie odpędzaj!

Książę nie rozumiał jego mowy, widział jednak, że chłopak najwyraźniej prosi go o coś.

— Głodnyś? — zapytał.

Lecz chłopak po swojemu bił pokłony, składał ręce i wciąż wołał:

— Nie odpędzaj, nie odpędzaj!

— Jeść chcesz? — zapytał ranny i pytanie swoje poparł stosownym giestem.

Chłopak spojrzał bystro na niego, a sądząc, że ten chce wody, porwał stojący przy łóżku kubek i chciał mu podać. Zobaczywszy jednak, że był pusty, zawołał:

— Wody, wody! — i skierował się śpiesznie ku wyjściu.

W tej chwili Grzegorz zerwał się z posłania, a ujrzawszy rozczochraną postać i myśląc, że jakieś niebez-

pieczeństwo grozi jego panu, chwycił chłopaka za bujną czuprynę.

— Wody, wody! — wołał chłopak, chcąc wyrwać się z przytrzymującej go ręki i wskazując na leżącego.

— Puść go! — zawołał książę.

— Czy się paniczowi co stało? — zapytał z troskliwością Grzegorz, puszczając mniemanego winowajcę i zbliżając się do leżącego.

— Skąd się wziął ten mały? — spytał w odpowiedzi tenże.

— Czart go chyba nasłał, boć i do czarta podobny — odrzekł, spluwając za siebie stary.

— Gdzie się podział? co się z nim stało? — pytał chory miękkiem, prawie kobiecym głosem z odcieniem niezadowolenia.

— Jak go czart nasłał, tak go i wziął! — odrzekł nachmurzony sługa.

— Chcę, żeby go odszukano! — rzekł książę stanowczo.

Grzegorz wzruszył ramionami i również z niezadowolaniem począł ruszać sumiastemi, nastroszonymi wąsami. W ten sposób czas jakiś prowadzona była rozmowa między młodym, lecz stanowczym w swych żądaniach panem, a starym, mającym swoje przywileje i swoją powagę, sługą.

Tymczasem oswobodzony z rąk Grzegorza chłopak wysunął się z namiotu, a rozejrzawszy się do koła, trzymając srebrny kubek, począł szukać wody. Brzaski dnia słały złote światło, promienie nieśmiało migotały w gó-

rze, uśmiechając się różową jutrzenką i rozpraszając mrok lipcowego wschodu. Iwo obejrzał się, — jasność, rozpraszająca świt poranny, rzucała świetlane cienie na pogrążony we śnie obóz. Na wielkiej przestrzeni szarzały porzpinane namioty, konie pasły się, lub leżały, strzygąc uszami z bacznością przywykłego do ciągłego czuwania mądrego zwierzęcia. Przy koniach leżeli żołnierze.

Iwo rozejrzał się raz jeszcze; nie obchodzili go w tej chwili ludzie, konie, cały ten obóz, — on szukał wody. Dojrzał nareszcie obozową studnię i pomknął ku niej; wyciągnął wiadro i naczepnawszy kubkiem wody, biegł, chroniąc ją od rozlania.

Skrzyp wiadra obudził najbliżej leżącego żołnierza. — Wer da! — zawołał.

Lecz Iwo nie rozumiał i nie słuchał wołania.

W obozie zrobił się alarm. Wstawano na gwałt, nasłuchując z której strony dochodzi wołanie i jakie grozi niebezpieczeństwo. Iwo tymczasem dobiegł do namiotu księcia i zniknął pod jego osłoną.

Drżąc z wysiłku i głodu, chciał podać wodę, lecz kubek wypadł mu z ręki, oblewając leżącego, a chłopak zachwiał się i padł przy łożu.

— Otrzeźwić go, to jakaś dobra dusza! — rzekł książę do przygotowującego ubranie Grzegorza.

— Skąd się ten czart wziął? nasłanie jakieś, czy co! — mruczał wierny sługa, spełniając jednak rozkaz pana.

— Może on głodny? — rzekł książę, podnosząc się na łożu.

Po niejakiem bowiem zastanowieniu przypomniał sobie owego chłopca, który mu podał wody, gdy leżał na polu walki i teraz dorozumiewał się w nim swego wybawcę.

Grzegorz, mruczając po swojemu, wlał w zaciśnięte usta chłopaka trochę wina, który po chwili począł przychodzić do siebie. Nie mógł jednak stać o swojej sile.

— Daj mu jeść! — odrzekł książę.

Grzegorz, jako wytrawny żołnierz, znajdujący się w rozmaitych przykrych terminach, wiedział, jak się z omdlałymi z głodu obchodzić. Nakruszył więc sucharów w ten sam kubek, w którym przed chwilą chłopak przyniósł wody, oblał je winem, ugniół parę gałek i począł je kłaść w usta leżącego bezwładnie Iwona. Chłopak z chciwością połknął jedną i drugą gałkę i jak ptak spragniony otwierał usta, kierując wzrok błagalny w stronę swego dobroczyńcy.

— Oho, nie dostaniesz teraz, ty przeklęty głodomorku! — rzekł Grzegorz. — Czart cię nasłał, żeby więcej było kłopotu, akurat o tobie będę myślał! — mruczał dalej, podnosząc chłopaka i usuwając go w kąt namiotu.

— Przecież to mój wybawca! — ozwał się książę.

— Toć wiem, a panicz i bez tego wszystkich by przygarniał! Ciekawym, co z nim zrobimy? wlec go przecie przy obozie nie dadzą! — mruczał dalej stary sługa.

— Jakoś się to zrobi — rzekł książę, który jakkolwiek nie władał jeszcze ręką, rażno jakoś wyglądał.

Za obozem tymczasem wrzało jakimś przyspieszonym ruchem.

— W tej chwili wszedł Domin i rzekł z wielce tajemniczą miną:

— Jakież złe przemyka się po obozie!

— Co zaś? gadaj! — rozkazał książę.

— Dziś o świcie jeden z żołnierzy ujrzał wymykające się z pod studni czarne jakieś stworzenie; potrzasał łbem jasnym kudłatym i sadził tak przez obóz, że go ledwie ludzkie oko dojrzeć mogło, a trzymał cociś w ręku błyszczącego.. Potem nagle zniknął jak kamień w wodę. Ba! pewnieć nie w wodę, jeno zapadł się w ziemię, szukali wszędzie, ani go oko! Nie co innego, tylko studnię zatruli, to też generał nakazał studnię, około której go widziano, zakryć i wody z niej nie czerpać! A potem inny widział, co to kudłate leciało na czworakach i gdzieś koło namiotu księcia pana się zapadło! — mówił jednym tchem luzak.

Książę z początku słuchał ciekawie. W miarę opowiadania uśmiech wesołości wykwitał na jego młodzieńczej twarzy. W złe jednak, przechadzające się po obozie, nie wierzył. Że zaś umysł jego wrażliwy łatwo się zapalał wszelkiem poświęceniem, a przybycie Iwona uważał jako poświęcenie dla swojej osoby, pominął na ten raz sprawę wrzekomo zatrutej studni i rzekł:

— Spójrz no tam w kąt, poznajesz go?

Domin spojrzał i ze zdziwieniem zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Toć to ten sam chłopak, któregośmy przy księciu panu spotkali! Skąd on

się wziął—mówił Domin, przypatrując się śpiącemu teraz spokojnie Iwonowi.

— No, no! — mówił Domin, kręcąc głową.

— Zamiast jeńca, mamy przybłędę! — rzekł niechętnie Grzegorz.

— Niesprawiedliwy jesteś, mój stary! — ozwał się książę. — Gdyby nie ten przybłęda, byłbyś znalazł nieżywym swego panicza! — dodał.

Grzegorz podniósł głowę i spojrzał pocziwemi wyblakłemi oczami na mówiącego z taką serdeczną miłością, jaką tylko wierny piastun spoglądać umie na swego wychowańca. Strzepnął jednak palcami i mruknął coś po swojemu pod nosem.

Domin stał jeszcze jakąś chwilę i coś rozmyślał. Nie mógł sobie wyobrazić, jakim sposobem ów chłopak dostał się do namiotu ich pana, przez nikogo nie widziany. Nagle przyszła mu myśl, że to jego zapewne wzięto za owo złe, slaniające się po obozie; postanowił jednak swego przypuszczenia nikomu nie odkrywać i pomyślał sobie:

— Nie byłbym Domin, żebym psim wiarom szwabom coś o tem powiedział! niechaj się turbuja! Ba, kto je wie, może to i złe... a może ten chłopak... ale nie... przecie on życie naszemu panu ocalił... — myślał sobie dalej, krzając się koło przygotowania do opatrunku ранego, w czym Grzegorzowi z wielką troskliwością pomagał.

— Ale co nasz książę z tym chłopakiem zrobi? — zadawał sobie pytanie, trapiąc się dalej myślami, to

o złem, przeszkadzającym w obozie, to o śpiącym spokojnie chłopaku.

Generałowie austriacy nie wierzyli wprawdzie, iżby złe mieszało się w ich sprawy i było gotowe na posługi tureckie; wierzyli wszakże, że Turcy mogli używać rozmaitych sposobów i nasłać kogo do zatrucia studni. Przedsięwzięli więc wszelkie ostrożności, ażeby nie paść ofiarą zdrady. Patrzył na te ostrożności Domin; z początku się uśmiechał z psikusa, wyrządzonego szwabom, powoli jednak sam w owo złe uwierzył do tego stopnia, że ilekroć wychodził z namiotu, czynił znak krzyża świętego.

Tymczasem książę przy umiejętnych staraniach Grzegorza i wypoczynku blisko dwudniowym uczuł się lekkim i rzeźwym i z właściwą sobie dobrocią rozpytywał wypoczętego również i uchronionego od głodowej śmierci chłopaka, co go skłoniło do zatrzymania się w jego namiocie.

Iwo długo patrzył wystraszonymi i zdziwionymi oczami, nie mogąc zrozumieć pytania, czasami rzucał jakieś pojedyncze wyrazy, z których nawzajem pytający i jego słudzy nic zrozumieć nie mogli.

— A jednak on rozumie naszą mowę — rzekł książę do przysłuchującego się dość niechętnie tej rozmowie Grzegorza.

— Jakiś utrapieniec! — mruknął po swojemu sługa — ale wiadomo, paniczowi byle co się spodoba! — dodał, wzruszając ramionami.

Panicz na gderanie starego dobrotliwie się tylko uśmiechnął i rzekł:

— To biedne chłopię musiało się tutaj zabłąkać, może uprowadzony przez Turków... i mowy swojej zapomniał. I raz powziawszy tę myśl, coraz bardziej się w niej utrwał. Tem więcej, że chłopiec, wsłuchując się w rozmowę, chwycił wyrazy i z jakąś tłumioną radością i dziwnie rozplomienionym wzrokiem wciąż powtarzał.

— Matka mówiła!

— Słyszysz, słyszysz stary!—rzekł radośnie książę.

Grzegorzowi jakoś się miękko koło serca zrobiło, nie rzekł nic jednakże, tylko się odwrócił i mruknął coś po swojemu.

Domin za to idąc w myśl swego pana, zawołał:

— On nasz, nasz, pewnością nasz!

Tymczasem upływała już trzecia doba a w obozie panował zupełny spokój; warty przynosiły wieści, że dokoła nigdzie nie ma nieprzyjaciela, cisza była zupełna.

— Schował się po porażce, jaką otrzymał! — mówił z radością główny dowódca wojsk austriackich, generał Harder.

— Straciliśmy i my nie mało koni i ludzi, ale on znać większą poniósł szkodę, jeżeli się skrył do nory! — dodał.

I na radzie wojennej kreślił plany dalszego pochodu, namyślając się wszakże, czy czekać zaczepki, czy też szukać nieprzyjaciela.

Jednocześnie nasz ranny został zawieszany przez generała Hardera, który wręczył mu osobiście pismo, przesłane z depeszami do obozu.

Ranny był tylko zwykłym oficerem austriackim, musiał jednak zajmować wybitne stanowisko społeczne, jeżeli dumny generał, nie bacząc nawet na jego bardzo młodzieńcze lata, wzywał na poufną rozmowę.

Przybyłemu wskazał miejsce, pozwolił usiąść i rzekł:

— Niech się książę nie krępuje i pismo do niego przysłane przeczyta, może tam jest coś ważnego.

Młodzieniec jednak znał karność wojskową, stał wyprostowany, trzymając rękę na temblaku i dopiero na rozkaz dowódcy podane mu pismo otworzył.

Przebiegł szybko list, a na twarz jego młodzieńczą wystąpiły płomienne rumieńce, dowodzące, iż pismo zawierało rzeczywiście nie zwykłe wieści.

Rumieniec znikł szybko, jak błysk odległej łuny, tylko w oczach zagrały świetlane ognie.

Harder przez cały czas czytania przypatrywał mu się ciekawie, śledząc wrażenie na twarzy młodego oficera, wywołane czytaniem. Ten zaś był tak zajęty odebranymi wieściami, iż po przeczytaniu listu wpatrywał się weń czas jakiś, jak gdyby chciał z nakreślonych liter wyczytać coś więcej, niż one wypowiadały.

Milczenie trwało długą chwilę w namiocie, gdzie prócz głównego dowódcy i rannego oficera nikogo więcej nie było.

Gdy młody oficer wzrok podniósł, Harder przypatrywał się już wielkiej rozłożonej przed nim mapie, nie zdradzając niczem ciekawości, z jaką przed chwilą na niego spoglądał.

— Jego ekscellencja pozwoli, że go poproszę o uwolnienie z pułku... ozwał się po niemiecku stojący w wojskowej postawie młodzieniec.

Harder wpatrzył się w niego badawczo i rzekł:



— A jeżeli go nie udzieli?

— Będę musiał poddać się jego woli! — odparł oficer i pomimo woli przycisnął lewą ręką zranione ramie, w którym w tej chwili doznał niezwykłego bólu.

Harder dostrzegł ten ruch i uśmiechając się, zapytał:

— Rana księciu bardzo dolega?

Nie czekając zaś odpowiedzi, dodał:

— Turek w samą porę mu się przysłużył!

— Jak to mam rozumieć? — zapytał ranny.

— List powołujący go i rana, zeszyły się jednocześnie — mówił Harder przebiegle.

— Piszący list nie wiedzieli o ranie.

— Lecz żądają przybycia — przerwał dowódca.

W odpowiedzi młodzieniec uklonił się z uszanowaniem, należnem szefowi sztabu.

Zapanowała znów chwila milczenia. Harder pilnie badał mapę, młody oficer stał wyprostowany.

Po chwili ranny się ozwał:

— Jego ekscellencya nie ma nic więcej do rozkazania?

— Pilne jakieś sprawy wzywają księcia? — spytał Harder, wzrok podnosząc.

— Rana mi bardzo dolega, w razie bitwy byłbym nietylko bezużyteczny, lecz zawadzałbym w obozie — odrzekł oficer wymijająco.

— Przypuszczam, że inne sprawy są przyczyną prośby o uwolnienie? — pytał dalej Harder.

— Sądzę, że rana i zupełna moja bezwładność są dostateczną przyczyną — mówił młody oficer głosem dźwięcznym, łagodnym, tamując jednak jakieś wewnętrzne wzruszenie.

— Czy przed odebraniem listu rana mniej księciu dolegała? — spytał dowódca, chcąc najwidoczniej wybadać ośnowę listu.

— Dolegała również dotkliwie i byłbym moją prośbę zaraz ekscellencyi przedstawił, gdyby nie jego rozkaz przeczytania natychmiast doręzonego mi łaskawie listu — odrzekł oficer z wyszukana, prawdziwie pań-

ską grzecznością, pod którą znać było zdziwienie, iż na jego prośbę nie dano zaraz przyzwolenia.

Harder podniósł wzrok na mówiącego, położył trzymany ołówek, oparł się o poręcz krzesła i rzekł:

— Więc dolega nam rana, mamy sprawy osobiste i żądamy uwolnienia.

— Z powodu rany, jako nie zdatny do walki, proszę o uwolnienie — poprawił oficer, kładąc nacisk na każdy wyraz.

— Po wyleczeniu z rany mamy prawo powołać oficera, będącego w służbie — odrzekł dowódca.

— Sądzę, prawo to nie stosuje się do ochotników — odparł oficer.

— I nie do książąt — odrzekł Harder. — Ale, prawda... wszak ojciec księcia otrzymał tytuł ten od najjaśniejszego cesarza Niemiec? — spytał nagle.

— Tak, ale ja oprócz odziedziczonego tytułu po ojcu otrzymałem jak i cała nasza rodzina tytuł księcia od sejmku, który stryja mego na tron powołał — odparł oficer.

— A teraz powołuje synowca do siebie — dokończył dowódca.

— Sądzę, że jako dziedzic tytułu austriackiego odsłużyłem wojskową powinność — odrzekł książę wyniośle.

— Ależ nie mamy się o co sprzeczać! Nie tylko odsłużyłeś, ale nawet odznaczyłeś się odwagą i krwią swoją przyczyniłeś się do powiększenia chwały austriackiego oręża — rzekł Harder, zmieniając ton nagle.

— Nie dziwię się więc, iż męstwo twe i zdolności chcesz ponieść teraz w ofierze własnej ojczyźnie — mówił dalej z ojcowską pobłażliwością, pod którą jednak znać było chęć wybadania oficera o sprawy jego kraju, o których prawdopodobnie w liście mu donoszono.

Lecz oficer poznał od razu zamiary dowódcy i z powagą, przynoszącą zaszczyt jego młodemu wiekowi, odparł z godnością:

— Ojczyzna moja w tej chwili nie prowadzi żadnej wojny, bezpieczna w swoich granicach nie potrzebuje mojej pomocy.

— Nie tylko orężem służy się krajowi! — zrobił uwagę Harder.

— Kraj mój posiada tylu wytrawnych i doświadczonych mężów, a najjaśniejszy pan, stryj mój, doradców, że nie potrzebuje używać takich, jak ja młokosów! — rzekł oficer, chcąc przeciąć wszelkie zapytywania dowódcy.

— Ależ, kochany książę, rozmawiamy zupełnie poufnie, w tej chwili nie uważaj mnie za szefa sztabu, lecz przyjaciela, starszego przyjaciela, który z całym sercem jest ci życzliwy — odparł Harder, chcąc tym sposobem wyciągnąć coś z młodego oficera, głównie zaś dowiedzieć się o treści listu.

Lecz ten nad konieczne wyrazy nic więcej nie dodał. Na oświadczenie zaś przyjaźni ze strony szefa skłonił się i rzekł:

— Umieć sobie cenić łaskawość jego ekscellencji.

Harder, widząc, że w tej chwili nic nie dobędzie z młodzieńca, przygryzł tylko krótko przyszczyżone wąsy, a z niemi górną wargę, co oznaczało niezadowolenie i spytał tonem poufałym:

— Kiedyż, mój młody przyjacielu, chcesz opuścić obóz?

— Choćby w tej chwili — odrzekł oficer.

— Czyż nie masz dość wygod w swoim namiocie? — spytał Harder. — Sądzę, że nie jesteś jeszcze dość silnym do odbycia dalekiej podróży, tem więcej, jeżeli rana wciąż ci dolega — dodał z naciskiem.

— Właśnie dla tego, że mi dolega, pragnę poradzić się chirurga w najbliższym mieście.

— Obozowemu nie ufasz? — próbował jeszcze Harder, chcąc zatrzymać oficera, dla wybadania go o treść odebranego listu, w którym przeczuwał wezwanie do powrotu.

Z wezwaniem zaś, jak przypuszczał, mogły się łączyć ważne sprawy, mogące obchodzić nie tylko Polskę lecz i Austryę.

Austrya bowiem dawała pilne baczenie na wszystko, co się działo w Polsce, chcąc w danym razie korzystać jakas dla siebie wyciągnąć. Lecz młody oficer trzymał się raz powziętego postanowienia i na serdeczne słowa dowódcy złapać się nie dał. Odrzekł więc i teraz z udaną serdecznością:

— Dobroć jego ekscellencyi wzrusza mnie do głębi; nigdzie mi tak dobrze być nie może, jak pod jego pra-

wdziwie ojcowską opieką, lecz też sama dobroć zmusza mnie do opuszczenia obozu, ażebym osobą moją nie robił dywersyi wtedy, gdy tylko zdrowe ręce powinny się wśród szeregów znajdować.

— Ha, trudna rada, nie mogę cię przymuszać! — odrzekł Harder, westchnawszy. — Nie potrzebuję cię chyba ostrzegać, iż Turcy czychają na wszystkie strony i możesz wpaść w zasadzkę.

— Straże i szyki wojenne są poprzód nami, ku południowi, ja zaś z natury rzeczy skieruję się ku północy, gdzie przecież rozstawione są szeregi austriackie; te dadzą mi opiekę. Spokojni zaś mieszkańcy krajów, które będę przebywać, nie będą czychać na rannego oficera i szczupłe jego otoczenie — odparł książę stanowczo.

Nie było rady! Harder, spojrzawszy raz jeszcze, dał mu uwolnienie.

Oficer, przyjawszy je, oddał ukłon wojskowy.

— To dla dowódcy, a dla przyjaciela? — rzekł Harder.

Młodzieniec zbliżył się, podaną sobie rękę uściśnął i pochylając głowę, rzekł z przejęciem:

— Jestem do głębi wzruszony łaską jego ekscellencyi. — Pragnął głosowi swemu nadać ton serdeczny, mimo to dźwięczał jakiś nieokreślony chłód, którego nie mógł ukryć.

— Za serdeczność i szczerość pragnę, żebyś mi równą odpłacał — rzekł Harder, przytulając do piersi głowę młodego oficera.

Czy rzeczywiście w piersi szefa było to uczucie dla sympatycznego i odważnego młodzieńca, czy też był to tylko fortel, którym chciał treść listu odgadnąć, trudno to sądzić. — W tej chwili jednak fortel, czy prawdziwe uczucie, nic już zdziałać nie mogło: młodzieniec przyjął objaw serdeczności i po zamienieniu kilku wyrazów usunął się śpiesznie z siedziby dowódcy.

Szedł teraz szybko do swego namiotu, oddając podrodze wojskowe ukłony, którymi go pozdrawiali żołnierze, lub zamieniając powitania z oficerami. Wszędzie spotykały go przyjazne wyrazy i zapytania o zdrowie, znać, że miał sympatię wśród towarzyszków i ogólną życzliwość. Odpowiadał też z rzeczywistą serdecznością, nie wydawał się jednak, iż za niewielką chwilę opuści ich towarzystwo.

— Wypadłoby się z nimi pożegnać, otaczali mnie życzliwością, odbyłem w ich towarzystwie pierwszy chrzest krwi... — pomyślał sobie.

— To opóźni mój wyjazd... lecz nie mogę ich opuszczać jak dziki człowiek, bez pożegnania... Jakieżby mieli wyobrażenie o moim narodzie, o którym i tak z przekąsem się odzywają.

Rana mu wprawdzie dolegała, czuł, iż potrzebował wypoczynku, mimo to, zbliżył się do spotkanego oficera, z którym łączyły go bliższe stosunki zażyłości i rzekł:

— Radbym z wami pożegnalny kielich wychylić.

— Książę opuszcza szeregi? — zapytał zagadnięty.

— Jako niezdolny do boju — muszę.

— Kiedy?

— Dziś jeszcze. Pragnąłbym się tylko ze wszystkimi towarzyszami pożegnać, a rana i znużenie przeszkadza mi, ażebym po obozie odbywał pielgrzymkę.

— Za godzinę wszyscy zbierzemy się w waszym namiocie. Rannego i odjeżdżającego my żegnamy! — dodał młody porucznik i oddalił się śpiesznie, aby udzielić wiadomości towarzyszom.

Ranny tymczasem, pokonywując znużenie, przyspieszał kroku.

— Czego się też panicz włóczy, rana jeszcze nie zagojona, sił nie wiele, a już tego... Bóg wie po co... — mówił Grzegorz.

— Nie gderaj też stary, nie gderaj! zbieraj manatki, wyjeżdżamy!

— Tak, zaraz, z kopyta! — wyjeżdżamy... He! — gderał dalej, niedowierzając Grzegorz, oczy mu jednak zaświeciły radością.

— Wyjeżdżamy na święty nigdy! — dodał.

— Zaraz, dziś jeszcze! Mówię ci, zbieraj manatki i w drogę — odparł młodzieniec.

— Eh!

— Nie „eh“ tylko tak! rusz-że się stary! — dodał pan, kładąc zdrową rękę na ramieniu sługi.

— Księcia pana zawsze się jeno żarty trzymają, byleby starego wywieść w pole... — mówił Grzegorz, machnąwszy ręką.

— Mówię szczerą prawdę, zbieraj manatki! Za chwilę przyjdą oficerowie na pożegnanie; wypijemy strzemienne i w drogę! — rzekł wesoło książę.

— Tylko przedtem przemyj mi ranę, opatrz — zresztą rób co chcesz, byleby mi tylko nie dolegała!...

— Ba, teraz rób co chcesz, byleby mi nie dolegała! Było oto lepiej siedzieć spokojnie! — gderał po swojemu stary, idąc wszakże z uszanowaniem o kilka kroków za panem.



— Domin, szykować konie! — zawołał młodzieniec, spostrzegłszy tuż przy namiocie luzaka, czyszczącego gniadosza.

Domin spojrział z podziwieniem i uśmiechnął się, biorąc rozkaz ten za żart, rzucony mu dobrotliwie.

— Ruszaj się, wyjeżdżamy! — potwierdził Grzegorz.

Domin wytrzeszczył zdziwione oczy i z podniesioną do góry ręką, w której trzymał szczotkę, patrzył niedowierzająco.

— Szykuj konie i w drogę! — powtórzył wesoło książę.

— Najpierw chodź tutaj, opatrzymy ranę! — dorzucił Grzegorz.

Domin rzucił szczotkę, którą w mig pochwycił stojący za nim i przysłuchujący się ciekawie całej rozmowie Iwo, a popatrzywszy chwilę, począł czyścić stojącego spokojnie konia.

Rumak wyrzucił kształtną głowę, zastrzygł uszami, obejrzał się, czyja to ręka spełnia mu usługę, i powtórnie wyrzuciwszy głowę, zgodził się łaskawie na tę zmianę. Po chwili zarżał radośnie, jak gdyby po bliższej rozwaździe zrozumiał, dla czego uczyniono tę zmianę.

Lecz jeżeli koń rozmyślał, to tem bardziej Iwo rozważał usłyszaną rozmowę.

— Konie... wyjeżdżamy... — myślał sobie — wyjeżdżamy... przecie mnie nie zostawia... a gdyby... eh, nie... pójdę, i coś mi zrobią! — dodał stanowczo.

Chwiał jednak głową i co chwila się zamyślał.

Lecz ów dawny pastuch wyglądał już teraz inaczej. Włosy miał krótko ostrzyżone, a w miejsce zgrzebnej koszuli, wyrzuconej na takież same przykrótkie spodnie, miał teraz cienką bieliznę i sukienny kubrak.

Wprawdzie wszystko to było bardzo obszerne, a kubrak nawet, mimo opasania pasem, sięgał mu aż za kolana, pokrywał za to do połowy parciane spodnie, których

nie było czem zastąpić, bo takowych ani w garderobie pana, ani sług jego na razie nie znaleziono. Nogi też po dawnemu miał bosc, bo i tych nie miano czem obuć.

Ubranie to jednak zadawała biednego pastucha: zresztą, wszystko mu było jedno, jak i co nosił, pragnął tylko, by ten pan ranny nie odpędzał go od siebie.

— Mówi taką mową, jak moja matka! — powtarzał, osłuchując się coraz więcej z mową, którą się posługiwano między sobą w namiocie księcia. Chwytał też coraz lepiej wyrazy, znane mu najwidoczniej z najpierwszego dzieciństwa.

Tymczasem do namiotu ściągali oficerowie pułku. Dziwny to był pochód, każdy z nich niósł butelkę pod pachą, a idąc w takt wojskowym krokiem, rozmawiali głośno.

Iwo nastawił ucha.

— To inna mowa, nie taka, jaką mówiono w chacie gospodarza i tam hen; nie taką jaką mówią u księcia — rzekł sobie po chwili... — Ach ta mowa, co książę nią mówi, to inna... to moja! — zawołał głośno, z jakąś nieopisaną radością.

Obejrzał się, czy go kto nie słyszy. Lecz nie, nikt na niego nie zważał; oficerowie, rozmawiając głośno, wchodzili do namiotu księcia.

Zrobił się ogromny gwar, każdy podnosił do góry butelkę, odkorkowywał ją, nalewał złotawy płyn do blaszanego płaskiego kubka, mówił głośno, wychylał i od-

dawał drugiemu. Każdy zaś przytem z mówiących ścisnął dłoń księcia, i tak dalej i dalej.

Iwo, przytuliwszy się do namiotu, słuchał, a odchylwszy nieco spojenie płótna, przypatrywał się ciekawie. Korki z butelek wyskakiwały, płyn złotą smugą zciekał do kubków; Grzegorz odkorkował kilka butelek, będących w namiocie, nalewał z nich gościom i swemu panu, kolejka szła rażno. Im więcej wychylano kubków, twarze biesiadników nabierały gorętszych rumieńców, ruchy ich były gwałtowniejsze. Każdy machał rękami, podnosił prawicę do góry, przykładając ją do serca, lub chwytał zdrową rękę młodego gospodarza, potrząsając nią silnie. Najpierw mówił każdy z osobna, potem wszyscy razem, zrobił się gwar i hałas nie do opisania; najwprawniejsze ucho, znające doskonale język biesiadników, nie byłoby zdolne rozróżnić wyrazów.

Iwo tak był odurzony tym krzykiem, iż patrzył jak osłupiały, naraz jednak brzęk w blaszany kubek uciszył nieco wrzawę; poczęto wołać:

— Ruhig, ruhig! a pan jego, podniósłszy lewicę z nalany kubkiem, począł mówić.

— Aha, ten będzie mówił po naszemu! — pomyślał sobie Iwo.

Jakże się jednak zawiódł, gdy z ust księcia popłynęła ta sama mowa, którą się posługiwali jego goście.

— Czemu on nie mówi naszą mową? — pomyślał sobie z żalem. — Czemu? — zadawał sobie uparcie pytanie.

Grzegorz, będący ciągle w namiocie, wsłuchiwał się również z niechęcią w krzyki i rozmowę gości. Był on już czas jakiś wraz z panem w Austrii, ba! nawet i w innych krajach, połapał niektóre cudzoziemskie wyrazy, nie mógł jednakże nigdy pojąć, jaki wyraz do jakiej mowy należał. Wzruszał więc tylko ramionami, gdy oficerowie krzyczeli, z gościnnością jednak wytrawnego sługi nalewał kubki, starając się zawsze nalać paniczowi z innej, przygotowanej specjalnie dla niego butelki.

Dzięki temu, gdy goście z rozognioną twarzą belkotali niewyraźnie, książę wzniósłszy kubek, począł mówić płynnie, dobitnie, a Grzegorz, choć nie rozumiał wyrazów, potakiwał głową i uśmiechał się z zadowoleniem.

Gdy mówca skończył, przybyli poczęli go obejmować w ramiona, ścisnąć, urażając niejednokrotnie w niezagojone ramię. Grzegorz wtedy przybliżał się, wsuwał swoją szorstką rękę i z błagalną miną wołał:

— Kann nicht, krank, schmerz!

Na tę niemczyznę oficerowie wybuchali głośnym śmiechem, klepali po ramieniu starego z wielkim uznaniem i zwracali się ku księciu, krzycząc głośno:

— „Hoch“, „hoch“. — I chcieli go podnieść do góry.

Odgłos bębna obozowego przywrócił ich do równowagi; każdy chwycił za kaszkiet i w mgnieniu oka w namiocie było jak wymiótł.

Książę, podsycany wesołością i zabawą, nie czuł aż dotąd znużenia, teraz dopiero pobladł i rzucił się na łożo, wołając jednak:

— Dalej, dalej! zbierać manatki i w drogę!

Lecz Grzegorz zamiast spełniać rozkaz, przypadł do niego i począł z zafrasowaną wielce miną:

— Paniczu, cóż to znowu? przecie dawałem paniczowi wino rozcieńczone wodą, nie mogło upoić!...

Dotknął wszakże troskliwie jego głowy i poprawił wezgiłowie.)

— Dziś chyba nie wyciągniemy, niech panicz odpocznie; toć to dopiero czwarta doba, jakeśmy panicza na poły żywego przywieźli... — ciągnął dalej.

— Pojedziemy; odpocznę trochę, przemyjesz mi jeszcze raz ranę i w drogę — mówił stanowczym, choć nieco osłabionym głosem młodzieniec.

— To wszystko ta krew, co jej tyle z panicza wyciekło, ba i te szwaby, co niby z miłości, a naruszyli opatrunek! — gderał stary, zabierając się do poprawienia bandaży.

Domin tymczasem, raz uwierzywszy w wyjazd, z wielką radością krzątał się koło przygotowań do podróży. Konie czekały jeźdźców, a cały dobytek młodego oficera przytroczony był w tłumoczku do idącego luzem konia.

— W jaki tłumok zapakujemy ten nabytek? — zapytał luzak z najpoważniejszą miną, wskazując na Iwona.

— Powieziemy go bez tłumoka — odrzekł, uśmiechając się książę. — Koń, wiozący nasze manatki, nie jest zbyt obciążony, uniesie takiego jeźdźca — dodał.

— Co, ten przybędą z nami? — zapytał z oburzeniem Grzegorz.

— Zapominasz, mój stary, że winienem mu życie: opuścić go nie mogę! — rzekł stanowczo książę, wskakując lekko na konia.

— Dobrze przynajmniej, że mrok zupełny, nawet gwiazdy nie świecą, boć chyba człowiek spaliłby się ze wstydu, wiodąc z sobą takiego obdartusa! — gderał Grzegorz.

Rozchmurzył się jednak łatwo, ujrzawszy, że jego ukochany panicz po chwilowym wypoczynku rażno siedział na koniu i gdyby nie ręka, zawieszona na temblaku, niktby nawet nie poznał, że to jest ten sam, którego niepełna cztery doby znaleziono na polu bitwy umierającego.

Konie parskając radośnie, ruszyły. Serca jadących żywo biły radością, lecz najżywiej chyba kołatało serce serbskiego pastucha. Nie pytał, dokąd jadą i po co, cieszył się tylko, że ten, który mówi taką mową, jaką słyszał w dzieciństwie, pozwala mu być blisko siebie. W tej chwili czuł się prawdziwie szczęśliwym, a w jego napotyły dziecięcy i dziki umysł, powstawały myśli, z których sam sobie nawet sprawy zdać nie umiał.

Tymczasem w obozie po nagłym alarmie nastała zupełna cisza. Był to tylko alarm, który szef kazał czynić od czasu do czasu, ażeby się przekonać, czy wszyscy i wszystko jest w należytem porządku.

III.

W STOLICY.

Od bardzo dawna Warszawa nie widziała w swoich murach tylu dostojnych panów, co w roku 1788. Wszystkie pałace były zamieszkane, wszystkie gospody, a nawet pokażniejsze domy mieszczan od paru miesięcy zamówione dla tych, którzy domów własnych w stolicy nie posiadali. I nic dziwnego: w Warszawie miał się zebrać sejm, który niezwykle czynił zainteresowanie, a do którego z wielkiem namaszczeniem się przygotowywano.

Jeżeli zaś roilo się od szlachty i panów, a na ulicach było tłumno i gwarno, nierzadko wśród tego gwaru posłyszeć można było cudzoziemską, a zwłaszcza niemiecką mowę. Tak Prusy jak Austria korzystały z każdej sposobności, ażeby podpatrzeć, co się u nas dzieje, chętnie więc przysyłały swoich przedstawicieli.

Jakkolwiek sejm miał się rozpocząć dopiero 6-go października, już w połowie września w stolicy było ludzi jak nabił. Nie jeden przywykły u siebie do obszernych komnat, tutaj musiał się mieścić w ciasnej izdebce, a byli i tacy, co po dwóch i trzech w jednej zamieszkali, byleby jak najbliżej być wielkiego ołtarza.

Taka zaś chęć przybycia na sejm ogarnęła kraj cały, iż można rzec śmiało, że gorączka, która panowała w stolicy, udzieliła się najdalszym kraju zakątkom. Nie tylko zaś ojcowie rodzin, spieszących dla porównania zbierającego się sejm z dawnej odbywanemi, nie tylko młodzież, żadna zaraz z pierwszej ręki dowiedzieć się, co tam panowie radni postanowili i nad czem sobie głowy suszą, lecz i pleć niewieścia krzątała się około wyjazdu. Każda bowiem jejmość dobrodziejka rada była skorzystać ze sposobności i odwiedzić Warszawę.

Zawsze się bowiem znalazło w stolicy coś do załatwienia i zobaczenia. Były zaś i takie, które jej nigdy nie widziały, rade więc były na własne oczy przekonać się o tych wspaniałościach, o których od ojców, mężów lub od jakiejś szczęśliwej sąsiadki, przebywającej tam czas dłuższy, słyszały.

Nic więc dziwnego, że pani chorążyna Antoniowa Pokrzycka z Pokrzyki Wielkiej, z pod Szadka, zapragnęła również stolicę odwiedzić.

Pan Chorąży, który był zarazem posłem na sejm, nie tylko nie sprzeciwił się temu, lecz nawet ozwał się w ten sens:

— Jakbyś mi z ust wyjęła, moja Kornelko! Sam widzę, że dla naszych dziewcząt trzeba wyszukać jakąś stateczną osobę, któraby się ich edukacją zająła.

— Już ja to przeczułam, że jegomość nie zostawisz córek, żeby rosły jako proste dziewczki — odrzekła pani Kornelia, zadowolona, że małżonek podziela jej zdanie.

— Eh, nie rosną one jako dziewczki, boć ksiądz Eustachy uczy je pilnie słowa Bożego, a jejmość dobrodziejka do pracy niewieściej, a nawet do książki i pisma nakłania. Niechby tylko umiały tyle co matka i były do niej we wszystkim podobne, to i tak nie zginęłyby na świecie;— odparł pan Antoni z zupełnem przeświadczeniem.

Pani Kornelja zarumieniła się na tę pochwałę, rzekła jednak skromnie:

— Cieszy mnie, że jegomość braków we mnie nie widzisz — i zaraz dodała:

— Dowód to tylko twojego do mnie przywiązania, mój Antosiu! Ale powiem ci tak pod sekretem, że Olimpka nieraz zadaje mi pytania, które mię w kłopot wprowadzają, a i Justysia poczyną już czytać, a nawet francuskie wyrazy chwytą...

— Eh, za francuzczyzną to ja tam nie przepadam...— przerwał małżonek.

— Mój Antosiu! wiem ci i ja, że bez francuzczyzny można być uczciwą i bogobojną niewiastą, aleć jeżeli nam Pan Bóg dał możność wychowania córek, czemużby ich nie wychować starannie.

Pan Chorąży namotał sumiastego wąsa na palec i jakoś się zamyślił. Nie odpowiadał jednak nic na ten argument małżonki, która ciągnęła dalej:

— Przyjemnieć ci, mój Antosiu, że ja ile tyle zrozumiałam z francuzczyzny i nie rumienię się, gdy jaka jejmość przybywszy ze stolicy, coś niecoś tym językiem wtrąci.

— Ale byś się i bez tego obyła, boć nie francuzczyz-

na daje ci wartość, jeno rozsądek, którym się moja jejmość umie kierować.

— Toć francuzczyzna rozsądku nie ujmie...

— Kto to wie! — przerwał znów małżonek. — Widząc je takie panny, jak oto nie wytykając palcem nasze sąsiadki, co im francuzczyzna zupełnie w głowie przewróciła. Kaleczą ojczysty język, modlą się na francuskiej książce, a jak zobaczyła krowę, zaczęła uciekać, wołając: „V a c h e, v a c h e“ i trząść rękami, to jej jakaś dziewczka odpowiedziała: nie nasze, nie, — jeno pańskie; — przecie bym naszego do pańskiej obory nie zaganiała!

— Ii... mój Antosiu, toć rozmaite anegdotki o nich opowiadają — odrzekła, śmiejąc się chorążyna, aleć przecie zaufaj mi, że jakkolwiek pragnę, żeby naszym dziewczętom francuzczyzna obcą ne była, nie pozwolę im modlić się po francusku...

— Mówię też tylko, aby się pośmiać z niepotrzebnych pretensyi — przerwał Chorąży, sypiąc znów jakąś anegdotkę o swych sąsiadkach.

— Niechaj też Olimпка i Justysia skorzystają ze sposobności i zobaczą Warszawę — przerwała znów małżonka.

— Masz tam tobie! sprawdziło się przysłowie: pozwolić kurze grzędę! — zawołał, śmiejąc się, Chorąży. A któż tu mówi o wyjeździe dziewcząt! — dodał.

— A ja! — ozwała się rezolutnie chorążyna. — Może się dziewczętom nie zdarzy drugi raz taka dobra sposo-

bność zobaczenia stolicy, niechajże z dzieciństwa chociaż coś niecoś zapamiętają! — dodała.

Mąż uśmiechnął się tylko i stanęło na tem, że państwo chorążostwo z dwoma córkami: trzynastoletnią Olimpką i ośmioletnią Justysią oraz licznym dworem, jadącym na dwóch wozach, doskonale zapasami żywności i przyborami podróży zaopatrzonych, wyruszyli do stolicy.

Wyruszyć z domu, mimo tysiąca drobnych kłopotów była to fraszka, nawet przebyć z pod Szadka, mimo kilkorazowych noclegów i niewygód, jeszcze było pół



biedy; cała bieda rozpoczęła się dopiero w Warszawie.

Nieprawdopodobne bowiem, a jednak prawdziwe, że pan Chorąży, który już nie raz bywał na sejmach i wiedział, jak to trudno podczas wielkich zebrań o jakiś dach nad głową, o zamówieniu mieszkania na ten raz zupełnie zapomniał.

A może i nie zapomniał, jeno liczył, że w tak dużym mieście, jak Warszawa, zawsze się przyzwoiła gospoda znajdzie.

Zresztą, jakkolwiek bardzo pilnie wglądał w sprawy swojej rodziny i troskał się o jej losy, w tej chwili ob-

chodziły go głównie sprawy de publicis i tak niemi miał głowę zajętą, że wszystko po za tem uważał za marność nad marnościami.

Te marności teraz doskonale dały mu się we znaki. Wszystkie gospody były zajęte w śródmieściu, zwłaszcza też bliżej zamku: na Starem Mieście, ulicy Ś-go Jana, Piwnej, Senatorskiej, Miodowej i Długiej nigdzie ani kąta.

Wjchawszy więc od rogatek Sochaczewskich w głąb miasta, musiał wracać na przedmieście za kościół świętego Krzyża, boć nawet z takimi furgonami i czterokonną, ciężką kolasą trudno mu było kręcić się po mieście.

Przybyli w samo południe, i mimo licznych rozesłanych faktorów, o mało nie musieli wyjechać znów za rogatki, ażeby konie pomieścić, a sami chyba w kolasie noc przepędzić. Szczęśliwy jednak los zdarzył im zakrystyana od księży misjonarzy, który z Sieradza pochodził i o zacności domu Pokrzyckich z niemowlęctwa swego się nasłuchiwał. Ten wyjednał u księdza gospodarza, że wozy, dobytek i służbę w ogrodzeniu folwarcznem pomieszczono. Prócz tego miał brata, zamożnego mieszczanina a majstra kunsztu szewckiego, na Podwalu. Ten, przejeżdżany prośbami i sutą opłatą aż dziesięciu dukatów na tydzień, wyniósł się do sklepu z żoną i synem, czeladź w jakieś komórce w ciasnym podwórzu umieścił, a swoich dwóch bardzo skromnych pokoików panu chorążemu i jego rodzinie ustąpił.

Woń skór zmieszana z wonią jadła warzonego w jednym z dwóch pokoików, nie mile raziły powonienie pani chorążyny i jej córek. Pan Chorąży zaś utrzymywał:

— Wszystko to jest marność nad marnościami, wobec sejmu i spraw, które wszystkich powinny obchodzić.

Olimpka, przechyliwszy głowę na prawą stronę, wysłuchiwała tego z wielką powagą, niemniej prosiła matkę, żeby ją nieco lawendową wodą skropiła. Justysia za to, uczyniwszy minkę wzgardliwą, zawołała:

— Takie cudy opowiadali o stolicy, a tu nawet niema mieszkania; wolę naszą Pokrzykę!

— Jesteś dzieciak i nie rozumiesz się na takich sprawach — zgromiła ją siostra. — Widziałeś w swoim życiu takie wielkie domy i takie tłumy ludzi, jak tutaj?

— Tak, domy są, ale my mamy takie brzydkie mieszkanie! — odrzekła nieprzejednana.

— Wszystko to marność nad marnościami! — odrzekła Olimpka, naśladując ojca i wychylając swą ciemną główkę przez okno, bo właśnie usłyszała jakąś muzykę i gwar, który do nich dochodził echem zmieszanych głosów.

Że jednak mrok już zapadł i swej ciekawości nie mogła uczynić zadość, zsunęła się ze stołka i, nim się matka opatrzyła, na jakimś, na poły zaledwie rozpakowanym tłumoku obok siostry zasnęła.

Pan Chorąży zaś, zaledwie wszedł do owego mieszkania, rzekł:

— Kiedy mamy jakie takie na dzisiejszą noc schronienie, a i dobytek z łaski księży misjonarzy stoi chociaż w ogrodzeniu, pójdę na miasto...

— A jakże my tu same zostaniemy? — przerwała chorążyna, której dziwnie się jakoś smutno w tem przygodnem mieszkaniu zrobiło.

— Nie przyjechałem przecie, żeby was tutaj, moja jejność, niańczyć; de publicis rzecz główna. Trzeba z bracią szlachtą się spotkać, poznać, języka zasięgnąć. Zawsze wśród szlachty znajdzie się przecie jaki pocziwiec, co nam i w biedzie dopomoże i gospodę jaką uczciwą wynajdzie.

Ostatnie słowa uspokoiły nieco chorążynę. Chorąży zaś, uporządkowawszy podróżne ubranie, dodał:

— Śpijcie spokojnie, Bóg jutro co lepszego zdarzy, a nad waszem bezpieczeństwem czuwać będzie tymczasem ten pocziwy ciągni skóra. Niechno by co, głową mi odpowie! — rzekł, wychodząc z ciasnej izdebki.

Cóż było robić, trzeba było poddać się losowi i pani Kornelia, poleciwszy się opiece Bożej, smaczno na rozłożonych kilimkach i pościeli wraz z dziećmi zasnęła.

Pan Chorąży miał zupełną słusność, iż między bracią szlachtą zawsze się nie tylko znajomego lub krewniaka, lecz i radę w potrzebie znajdzie. Pociągnął więc pod wicheł, to jest słynnej winiarni na Starem Mieście u Fukiera.

Tam główna izba była już zajęta, gwar i gorąco zdała buchało; w jednej z mniejszych było również moc szlachty z rozmaitych okolic. Przy kilku stołach popijano miód lub wytrawnego węgrzyna i o sprawach, najbardziej ich obchodzących, gwarzono. Każdy tam znalazł stosowne dla siebie towarzystwo i miał czem serce

i umysł ucieszyć. Naturalnie mówiono de publicis, lecz przy tem i własne osobiste sprawy na stół wyciągano.

Panu Antoniemu Pokrzyckiemu po sprawach sejmowych najbardziej na sercu leżała w tej chwili mizerna siedziba, w której zostawił swoją rodzinę.



Kiedy więc w imci panu Bernardzie Mroczkowi, sędzim, bodaj z sandomierskiej ziemi, znalazł krewniaka swojej żony, ucieszył się tem niezmiernie. Ucieszył się zaś tem więcej, że pan Mroczek przy opowiadaniu o swojej rodzinie, natrafił, iż miała z nim przyjechać żona z córką, siostrą i narzeczoną tejże, lecz dla jakichś

spraw rodzinnych, o których wszakże Mroczek zamilczał, niewiasty doma pozostały.

— Wziąłem nawet mieszkanie po temu... — rzekł pan Bernard mimochodem...

— Bracie kochany, toćże mi je odstęp! — przerwał pan Antoni.

— Phii, są trzy wcale pokaźne komnaty... ale... alboż to nie macie, mości Choraży, siedziby? — spytał nagle.

— Jaka tam siedziba! — machnął ręką Choraży.

— Hm... dobrzeby wam wygodzić, ale się to już komu innemu obiecało, ba i odstępne niezłe...

— Dam większe! — rzucił Choraży, zmiarkowawszy, że grosze są słabą stroną nowego krewniaka.

— Dla nikogo bym nie uczynił, ale kiedyć Bóg zdarzył znaleźć w tobie, panie Choraży, familianta, toć chyba tamci nie mogą być krzywi, żem obietnicy nie dotrzymał — odrzekł pan Bernard, namyślając się nad każdym wyrazem i zająkując się, jak to było znać jego przyrodzonym zwyczajem.

— Ileż, ileż odstępnego? — nalegał Choraży...

— Czy mnie tam o to chodzi! — odparł sędzia — marne 30 dukatów nic nie znaczą, a znaczy koligacya, to grunt!

Choraży skrzywił się na tak wysoką sumę, że jednak lubił każdą rzecz szybko załatwiać i z każdym wychodzić honeste, a podwyżkę odstępnego obiecał, rzekł więc:

— Dam 40 i zaraz się wprowadzę...

— Ależ bracie, toć po nocy nie wypada, doczekajmy do jutra! — perswadował pan Mroczek, uszczęśliwiony z doskonałego zarobku, jaki mu wszedł w rękę.

I ciągnął dalej:

— Mieszczaninowi, który mi te trzy godne izby wynajął, zapłaciłem do nowego roku 65 dukatów w złocie, wszystko więc razem wyniesie, jak Choraży dobrodziej sam rzekłeś, 105.

Choraży się znów skrzywił, lecz nowy krewniak-dobroczyńca nie zważał jakoś na to i mówił dalej:

— Jutro przed południem sam do was przybędę i do przeprowadzenia zacnych moich krewnych dopomogę...

— Czemu nie zaraz rankiem? — spytał Choraży.

— Dobrodzieju mój, przecie muszę dla siebie jakie locum wynaleźć, a też i sprzęt przywieziony przenieść, na co potrzeba i czasu, ba i pieniędzy, — dodał, jakby do siebie Mroczek, ucinając nagle rozmowę i spoglądając na Chorażego.

Ten domyślił się spojrzenia, lecz nie był pochopnym do rozwiązania mieszka; rzekł wszakże:

— Może jegomość dobrodziej zechce jaką zaliczkę? chętnie udzieli. To mówiąc, wyjął z kieszeni trzy dukaty i położył przed mówiącym.

Z miny jednak i głosu Chorażego znać było, że sentyment jego dla nowego krewniaka nieco się obniżył.

— Trzy dukaty... no, cóż robić... powiem jednak Chorażemu dobrodziejowi, żem się tak jakoś wyszeptał przez tydzień pobytu... sukursu mi nie nadesłano... no,

i mieszkanie zapłaciłem, iż w tej chwili myślałem nawet o pożyczce...

— Wielka szkoda, że nie mam przy sobie więcej, no, ale jeszcze dwa mogę dołożyć; — odparł z obojętną miną Choraży i dodał:

— Jutro, jak tylko do mieszkania, narajonego mi przez waszmość dobrodzieja, się sprowadzę, zaraz sto dopłacę.

— Niech i tak będzie — rzekł Mroczek, chowając do kieszeni dukaty, które trzymał na dłoni, jakby o ich ciężkości chciał się przekonać.

— Ale to już i z pomieszczeniem koni, wozów i pacholków? — spytał nagle Choraży.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Mroczek. — Jak to znać, że Choraży dobrodziej nie często bywasz w stolicy i zgola siedzib mieszczańskich nie jesteś świadomy. Przecie to rymarz, do jego fachu koni mu nie potrzeba, więc też stajni i innych przynależności nie ma, podwórzec też jest taki, jak ze dwa razy ta izba, a na całej Piwnej wszystkie temu podobne.

Choraży skrzywił się, targnął niecierpliwie wasa z wielkiem niezadowoleniem, spojrzał na mówiącego i rzekł:

— A gdzieżeś jegomość swoje konie i wozy pomieścił?

— Jak się rzekło, przyjechałem sam jeden, a że nie lubię świecić zbytkiem, a mam czas jakiś dla spraw mego urzędu w stolicy zabawić, kolasę i wóz, com go miał

pod rzeczy, odesłałem z powrotem — odrzekł Mroczek, gładząc się po wygolonej brodzie.

— Nowy znów kłopot i koszt z pomieszczeniem wozów, koni i służby... — rzekł niechętnie Choraży, wychylając ostatni haust węgryna.

— Ale też Choraży dobrodziej w gorącej wodzie kąpany! — zakrzyknął Mroczek, ściskając go za łokieć.

— Znalazła się siedziba, znajdzie się i locum dla służby i dobytku, tylko l e n t e, l e n t e! mój dobrodzieju! — pocieszał Mroczek.

Choraży jednak nie rozchmurzył się wcale i rzekł:

— Więc czekamy waszmości jutro przed południem, ba, nie jutro, lecz dzisiaj, boć to, zda się, już dawno po północy, a bodaj i gwiazda poranna ukazała się na wschodzie firmamentu!

To mówiąc, Choraży skinął na usługującego pacholka i za wino zapłacił.

— A gdzieżby to waszmości na wszelki wypadek szukać? — zapytał Mroczka.

— Mój mości dobrodzieju, nie potrzeba mnie szukać, boć, jakom obiecał, zjawię się przed południem, oddam winny respekt chorażynie dobrodziejce i na nową siedzibę przeprowadzę — odrzekł Mroczek z odcieniem obrazy.

— No, niechaj tak będzie, — łatwo trafić. Szewiec, u którego stoję gospoda, zwie się Bartłomiej Łyczak, sklep ma okazały, nadedrzwiemi jego nazwisko wypisane, a dom zwie się pod Matką Boską, co dowodzi, że go ludzie pobożni i uczciwi fundowali — dodał Choraży.

— Wiem, wiem — odrzekł Mroczek, idąc jeszcze czas jakiś z nowym krewniakiem.

Choraży, pożegnawszy dość obojętnie Mrocza, skreślił w jedną z bocznych uliczek, prowadzących na Podwałę, a sędzia, uśmiechnawszy się nieznacznie, podążył na Piwną.

Czas też było już wracać! Na pogodnym wrześnie-
m niebie gwiazdy gasły jedna po drugiej, wiatr chłodny, wilgotny zrywał się z nad Wisły, przynosząc świeży powiew zaduszonemu wyziewami ludzkimi miastu.

Choraży zastał wszystkich śpiących snem sprawiedliwych a znużonych, tylko pracowity szewc wstał i krzając się po sklepie, odmawiał ranne pacierze.

Mimo znużenia, Choraży długo nie mógł zasnąć. Miał wprawdzie obietnice siedziby, lecz nic nie zasięgnął języka o sprawach publicznych i to go właśnie trapiło. Obudził się też wtedy, gdy już żona i córki dawno wstały i poczęły krzątać się wraz z klucznicą Kumosią około układania porozrzucanych rzeczy podróжных i przyrzadzania śniadania.

Olimpka jednak, ciekawa miasta, wyzierała wciąż przez okno i z radością oznajmiała:

— O, teraz przyjechał wóz, naładowany mięsem!

— O, o, co to chleba niosą w wielkich koszach! — wołała Justysia.

Z wielką wreszcie radością chorażyna przyjęła wieść o dogodniejszym locum, — a jako pobożna niewiasta, — rzekła:

— Trzebać przedewszystkiem iść do kościoła i podziękować Panu Bogu za Jego opiekę.

I wszyscy po śniadaniu wyruszyli do Fary.

Modlitwa ukoilią zatrwożoną duszę chorażyny, — gwar, ruch dały im zapomnieć o niewygodach podróży i niewygodnie przespanej nocy.

— O, o! jak ci panowie dziwacznie ubrani! — jakie mają białe włosy! — zawołała Justysia, wskazując na dwóch panów, ustrojonych we fraki, pończochy i trzewiki ze sprzączkami, pudrowane peruki i wążkie szpady przy boku.

— Cicho, daj spokój! Któż to słyszał palcami na ulicy pokazywać — zgromiła ją Olimpka.

— Widziałas przecie już tak ubranego pana Stolnikiewicza, tego, co był u nas niedawno, — dodała matka.

— Pamiętam — odrzekła zawstydzona nieco zgromieniem dziewczynka.

Po chwili jednak dodała:

— Pamiętam! taki był śmieszny, jak i ci, co idą przed nami, tak samo drobno chodził, tylko, że ci nie częstują wszystkich tabaczką.

Olimpka, idąca naprzód z siostrą, zgromiła ją znowu, żeby tak głośno nie mówiła, — lecz przy przejściu przez wąską uliczkę, gdy matka ujęła za rękę Justysię, a ona znalazła się obok ojca, spytała:

— Proszę tatki, czy ci wszyscy panowie, których tak pełno na ulicach, także na sejm przyjechali?

— Jedni przyjechali i będą radzić na sejmie lub tyl-

ko przysłuchiwać się obradom, inni mieszkają ciągle w Warszawie, bo są urzędnikami i doradcami królewskimi; inni zaś, jak rzemieślnicy i kupcy zajmują się rozmaitemi rzemiosłami lub handlem i również mieszkają ciągle w stolicy — objaśnił ojciec.



— Mój tatusiu, mnie się bardzo podoba miasto, ale zostać tutaj za nic w świecie bym nie chciała! — rzekła znów Olimpka.

— Czemu? — spytał ojciec.

— Bo, gdy chcę spojrzeć w niebo, muszę w górę głowę podnosić, a ludzie, chociaż ich dużo, ale tacy jacyś inni... Ciekawa tylko jestem tej szkoły kadetów, o której panowie, gdy przyjadą z ojczulkiem, rozmawiają — dodała.

— Pokażę ci tę szkołę, a i uczniów z niej nie trudno nam będzie spotkać. Mamy przecież w niej nawet krewniaka — rzekł ojciec.

— A dziewczynki uczą się także w tej szkole? — spytała Olimpka po chwili milczenia.

— Broń Boże! wszak to szkoła wojskowa, dziewczynki w wojsku nie służą! — rzekł ojciec z pewnem oburzeniem, nie mogąc jednak ukryć uśmiechu.

— Dziewczynki uczą się w domu lub w klasztorze — dodał.

— To szkoda! — westchnęła córka.

— Czego, że się nie uczysz w klasztorze?

— O, nie! — że nie mogę być w tej szkole wojskowej! — odrzekła.

Ojciec nie miał już czasu na odpowiedź, bo właśnie spotkali pana Mroczkę. Choraży, przywitawszy się z nim, podążył za żoną, która wyprzedziła ich o kilkanaście kroków wraz z Justysią.

IV

CHORAŻANKA

Nowa siedziba państwa chorążtwa przedstawiała się, jeżeli nie wspaniale, to przynajmniej dużo okazańiej od izdebki pocziwego Łyczaka.

Dwa obszerne pokoje na pierwszym piętrze z oknami i ciemna alkowa, oraz izba obok warsztatu rymarza dla służby na dole. Na piętro wchodziło się wprawdzie po bardzo ciemnych i wązkich schodach, które Olimпка drabiną nazwała, a Justysi bardzo się podobały. Pani chorażyna za to krzywiła się nieco, lecz Choraży wytłomaczył:

— To nie pałac, jeno dom pracowitego mieszcza-nina, my też nie magnaci, nie wielcy panowie, jeno szlachta urodzona, musimy się zadowolić tem, co mamy! Za izbę dla służby trzeba było dopłacić 15 dukatów, na co się Choraży skrzywił, zapłacił jednak, nie mówiąc nawet o tem żonie. W duchu zaś pocieszał się:

— Niech tam, nie zubożeję, stać mnie na to; jak raz ulokuję żonę i córki, będę mógł przynajmniej zająć się swobodnie sprawami *de publicis*, wysłuchać wszystkiego a i głos mój jako poseł wtrącić.

Oględziny mieszkania i gawęda z Mroczkim nie ma-ło zajęła czasu. Opatrzono się, że to już południe i każ-
dy oglądał się za posiłkiem, wrócono więc na Podwał.

— Możeby tam co z zapasów podróżnych przeką-
sić?... — spytała chorażyna.

— Gdzie zaś, tyle kłopotu, przeprowadzka!... pój-
dziemy bodaj do Francuza! — rzekł Choraży.

— Już ja tam z dziewczętami do żadnego Francuza
nie pójde! — oburzyła się chorażyna. Kumosia zakrzatnie
się, odgrzeje bigos u szewcowej na kominku; jest wę-
dlina a i kapłon pieczony jeszcze jeden nie ruszony! —
odparła stanowczym głosem chorażyna.

— Bigos! — cmoknął językiem Mroczek.

— Ja pomogę Kumosi! — ozwała się Olimпка.

— I ja i ja! — zawtórowała Justysia.

I obie zeskoczyły z ławy, na której stały przy oknie,
przyglądając się przechodniom.

Kumosia, stara sługa, prawa ręka chorażyny, bez
której się nigdzie z domu nie ruszano, poczęła się zaraz
krzatać koło posiłku.

— Dobrze, zem przynajmniej faszeczkę z bigosem
i coś niecoś z woza schwyciła! Coby to było, żeby jadła
zabrakło!—mówiła Kumosia do pomagających jej dziew-
czynek.

I tak jakoś się złożyło, że gdy rozszedł się nęcący
zapach odgrzewającego się bigosu, Choraży i Mroczek
nie poszli do Francuza, tylko na przysmakach podróż-
nych zostali.

— Mnie się tam wcale tutaj nie przykrzy, to tak

zabawne trzymać w ręku miseczkę i zajadać takie smaczne rzeczy!—mówiła Justysia, mając zapchane usta.

I mnie się nie przykrzy, tylko chciałabym jak najprędzej zobaczyć miasto! — odrzekła Olimpka, ogryzając kostkę od kapłona.

— Z okna widać ludzi, ale nie słyszać co mówią!—dodała Justysia.

W tem dał się słyszeć na ulicy bęben i głośnie wołanie:

— Hej, hej, cuda, cuda, kto ma pieniążki, niech je tu da!

— Co to, co to? — zawołała Justysia i porzuciwszy jedzenie, wskoczyła na ławę, stojącą przy oknie, za nią Olimpka z kostką nie dogryzioną w ręku i poczęły się pilnie rozglądać.

Na ulicy tłum otaczał dziwacznie poprzebieranych ludzi w czerwonych kaftanach, w czapkach z dzwonkami. Przed nimi szedł również jaskrawo ubrany dobosz, walczył w bęben pałeczkami, a obok niego drugi przygrywał na jakimś dziwnym instrumencie. Raz bowiem przykładł go do ust i dał z całej siły, drugi raz rznął smyczkiem po dość grubych strunach, krzycząc wciąż:

— Skoczek, brzuchomówca, wielkolud i karzeł.

— Nikt jeszcze nie widział takowych dziwadeł!

— Hej, cuda, cuda!

Justysia, patrząc przez okno, poczęła w takt słyszanej muzyki podskakiwać.

— Ucieszny jakiś ludek — rzekła, spojrzawszy w okno, chorażyna.

Brała ją ochota popatrzeć, boć na wsi takich widowisk nie pokazywano, wstrzymała jednak swoją ciekawość, a spostrzegłszy podskakującą Justysię, skarciła, mówiąc:

— A to co, skoczkiem chcesz zostać!? Nie wypada nawet razem z tłumem takim widowiskom się przypatrywać, jak będzie czas i pora po temu, to nas ojciec poprowadzi — dodała.

Olimpka i Justysia, chociaż nie bardzo chętnie, odeszły od okna, a Mroczek rzekł:

— Nie zbraknie imci pani dobrodziejce i chorażankom widowisk; takich wydrwigroszów kręci się pełno po ulicach i na placach swoje osobliwości i zręczność swych powyłamywanych kości pokazują.

— Nie zbraknie, nie!

Tak przy posiłku, gawędzie i dystrakcji, jaką skoczki sprawili, tak jakoś zeszło, iż już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy spakowywano rzeczy i ku nowemu mieszkaniu ruszono.

Naprzód szedł Mroczek, wskazując drogę, dalej wóz naładowany sepetami, za nim Kumosia z tobołkiem w ręku, oglądająca się na wszystkie strony, żeby kogo nie potracić, lub czego nie zgubić. W strachu też była, żeby nie zabłądzić i nie stracić z oczu Ambrożego, który był tak samo przybocznym pana, jak ona pani chorażyny.

Choraży z żoną i córkami szedł o kilka kroków za całym taborem. W tem, gdy skręcano w wąską bocznice, prowadzącą z Podwała na Piwną, musieli się zatrzymać, bo oto okazała karoca, otoczona kilkoma pieszymi i wóz naładowany zastąpił im drogę.

Wóz Chorażego przejechał, lecz on musiał się zatrzymać, za co Olimпка i Justyna wcale się nie gniewały i chociaż mrok już zapadał, rozglądały się ciekawie. Karoca, przecinająca przejście, posuwała się ostrożnie, dwóch ludzi podtrzymywało ją z każdej strony chroniąc od pochylenia i trzęsienia się po nierównym bruku. Cały zaś tabor wyglądał, jakoby z dalekiej podróży przybywał.

Zaciekawiło to Chorażego, więc przystąpiwszy do prowadzącego poczet, począł:

— A czy można zapytać waszmości, czyj to poczet?

— Jaśnie wielmożnego starosty Drzewieckiego z Jóźkowic.

— Z pod Krzemieńca? — zapytał Choraży.

— Z pod Krzemieńca — odrzekł dworak, spoglądając ciekawie na pytającego.

— A toć że to mój druż i krewniak! zatrzymajcież poczet, to się uściskamy.

— Trudno to będzie, wielmożny panie, boć nasz starosta, od roku niemocą tknięty, leży i słowa rzec nie może; szlak go trafił, czy cociś — mówił dworzaniin, nie zatrzymując stępaka, na którym jechał.

— Temci bardziej chciałbym go ujrzeć i kondolencję moją wyrazić — upierał się Choraży.

— Jest ci tam syn przy nim, młody nasz panicz, pan Józeć; od niego to wszystko zależy — odrzekł pytany.

— Choraży był charakteru twardego i jak sobie co postanowił, to nie ustąpił!

Poczet szedł bardzo powoli, łatwo więc Choraży podszedł do kolasy i zawołał:

— Mości Felicyanie! a toć niechże cię uściskam, a w twej niemocy pocieszę!

Karoca nie potrzebowała zwalniać bo konie szły nogą za nogą; odsunięto tylko zieloną firankę, a z za niej wychylił się wcale nie schorzały, lecz pełen sił i zdrowia szesnastoletni młodzieniec i rzekł, patrząc do koła wielkimi oczami:

— Rodzic mój niemocą złożony, powitać imci pana dobrodzieja nie może, ale niechże mam to szczęście, żebym mu miano druha i krewniaka oznajmił.

— Syn jego, boć podobny — rzekł Choraży, spojrzawszy na mówiącego. — A powiedzże mu młodzieńcze, że Antoni Pokrzycki, choraży i poseł ziemi szadkowskiej, a towarzyszył jego z ławy szkolnej, pragnie go widzieć.

— Antek, Antek! — ozwał się głos niewyraźny, bełgoczący z karety.

Syn sparaliżowanego Felicyana Drzewieckiego, Józeć, kazał stanąć, Choraży się przybliżył, poczęła się rozmowa, a raczej Choraży się wypytywał, na co chory tylko spojrzeniem lub niewyraźnem bełkotaniem usiłował odpowiadać, syn zaś ten bełbot tłumaczył. Długa chwila zeszła na tej rozmowie, tymczasem pani chorażyzna wraz z córkami przypatrywała się wystawom sklepowym. Olimпка i Justysia miały nawet wielką dystrakcję, bo przechodzili znów skoczki. Bili też w bęben, brzdąkali na swoim dziwnym instrumencie, lecz teraz mową niezrozumiałą wykrzykiwali. Justysi oczki się zaświeciły i mimowoli zaczęła podrygiwać w takt muzyce. Lecz

starościnscy ludzie uciszyli hałas, wskazując na karoce, przy której chorąży, stojąc rozmawiał ze schorzałym panem Felicyanem Drzewieckim i jego synem Józefem.

Skoczki umilkli, spojrzeli po obecnych panach i orszaku, a najstarszy z nich zaszargotał coś do kobiety jaskrawo ubranej niezrozumiałym językiem i poszedł dalej wraz z całą swoją wystrojoną drużyną. Wreszcie Chorąży skończył rozmowę, pacholek zamknął drzwiczki karoce, zasunął firanki i cały ten smutny orszak posunął się dalej ku Krakowskiemu Przedmieściu. Chorąży stał jeszcze chwilę i ciężko strapioną miną spoglądał za odjeżdżającym, a potem złączywszy się z córkami i żoną, począł, idąc w stronę nowej swojej siedziby, opowiadać o nieszczęściu swego przyjaciela.

— Zaczności to człowiek — mówił Chorąży do żony — pół roku temu został sparaliżowany i mowę mu odjęło; że jednak rzucono kalumnię jakoby Wołynianie przeciw królowi i mającemu się zebrać sejmowi powstawali, pocziwy Felicyan, posłem tej ziemi jeszcze przed chorobą wybrany, podąży do stolicy dla usprawiedliwienia swej ziemi. Cierpi biedaczysko okrutnie, ale z bohaterstwem znosi swoje cierpienia, ażeby tylko prawdzie i sprawiedliwości na sejmie zaświadczyć...¹⁾

— Tatuleńku, jakże ten poseł przemawiać będzie, jeżeli mówić nie może? — zapytała Olimpka, przysłuchująca się ciekawie opowiadaniu ojca.

— Ciesz się, że tak wszystko sobie rozważasz, moja córko — odrzekł Chorąży. I zaraz dodał:

¹⁾ Historyczne.

— Mówi on, chociaż bardzo niewyraźnie, lecz syn jego Józef, który z nim jedzie, nauczył się jego mowę doskonale rozumieć; otóż on w obecności schorzałego, na sejmie w imieniu ojca przemawiać będzie.

— Jakto, tatuleńku, ten co z nim jedzie? taki młody, toć on bodaj nie wiele starszy odemnie — zdziwiło się dziewczątko.

— Owa, wielkie rzeczy, jabyś też mówiła, żebym jeno umiała! — przerwała siostrze Justysia.

— Otóż to, żebyś umiała, ale ty moja duszko umiesz tylko przerywać innym! — zgromiła matka.

Ojciec zaś rzekł:

— Tak, tak, rzecz w tem, żeby umieć mówić a choćby cudze słowa powtórzyć, że jednak Józiek Drzewiecki, chociaż ma dopiero lat szesnaście, już chlubnie ukończył szkoły Krzemienieckie i ma głowę nie dla kształtu, jestem przekonany, że doskonale się wywiąże ze swego zadania.

Tak rozmawiając, doszli do owej nowej siedziby na Pivnej, gdzie już pod dozorem Kumosi, Ambrożego i udającego wielkie zainteresowanie całą tą sprawą Mrocza, wnoszono po wązkich i ciemnych schodach kufrы, walizy i tłomoki.

Chorążyna, obawiając się o córki, żeby jako nieprzyzwyczajone do schodów nie spadły lub nie zrobiły sobie szkody wśród ciemności, prosiła męża, aby szedł na przód; za nim szły Olimpka i Justyna, jakaś dziwnie poważna, a może przestraszona nieco ciemnością; na końcu postępowała ostrożnie chorążyna.

Gdy wreszcie weszli do mieszkania i resztki zach-

dżącego słońca wdarły się przez niewielkie okno i ozłociło dużą sklepioną komnatę, wszystkim się jakoś rażniej zrobiło.

Chorażyna, znużona wejściem i obawą o córki, usiadła na pierwszym lepszym nie rozpakowanym tłomoku a Olimpka, oparłszy główkę na jej kolanach, poczęła ręce jej całować a rozglądając się po obszernej komnacie, mówiła:

— Matuleńko, tutaj ładnie, bardzo ładnie i słońko zagłada — dodała, wskazując na promień migocący na białej ścianie.

— A tak, zapewne, dobrze nam będzie — odrzekła matka. — Ale gdzie jest Justysia? — spytała.

— Pewnie pomaga Kumosi, pójdę i ja pomagać — zawołało dziewczę, zrywając się od kolan matki.

— Przywołaj Justysię, nie widziałam jej po wejściu — rzekła matka.

— Poszukam ją — odrzekła Olimpka. — I w podskokach pobiegła do drugiej komnaty.

— Justysiu, Justysiu, mama cię woła!

Żaden jednak głos się nie odezwał, czasem tylko echo się odbiło od pustej ściany lub zginęło gdzieś w dole, na ciemnych schodach.

Służba wносиła ostatnie tłomoki. Choraży dawał rozkazy Ambrożemu i wyliczał dość niechętnie jakieś nadspodziewane talary Mroczkowi. Chorażyna, nie mogąc się doczekać Justysi, wstała z zamiarem skarcenia roztrzępanego, nie pilnującego się jej fałdów, dziewczęcia, a Olimpka szukała wciąż siostry, powtarzając:

— Aha, już wiem! Pewnie się skryła za ten wielki tłomok i chce, żeby ją szukać... ani myślę... siedź sobie!

— Justysiu! chodź tutaj zaraz! — wołała surowo matka, zaglądając za wszystkie kuferki.

— Justysiu, dość tych żartów! — zgromił ojciec.

Olimpka ze swe strony szukała po wszystkich kątach: w ciemnej alkwie, między pościelą, w głębi otwartych tłomoków, powtarzając jednak z powagą:

— Siedź sobie, siedź, kiedyś taka! Jeżeli myślisz, że cię będę szukać, to się bardzo mylisz!

Chorażyna zaś, przeszukawszy wraz z Kumosią wszystkie kąty, zaczęła się naprawdę niepokoić.

— Może zbiegła ze schodów — może się skaleczyła, albo i co gorszego, broń Boże; a może wyszła na ulicę i zabłądziła! — mówiła zatrwożona matka.

— Niech też jejmość dobrodziejka nie przypuszcza sobie nic złego; — Justysia, jak Justysia, zwyczajnie, roztrzępana a figlarna, siedzi sobie ukryta między pierzynami i śmieje się, że jej znaleźć nie możemy — uspokajała Kumosia, sama jednak wielce zaniepokojona tak długą nieobecnością młodszej chorażanki.

Przeżegnała się też w skrytości, żeby chorażyna nie widziała jej niepokoju i szeptać poczęła:

— Święty Antoni Padewski, obywatelu „niebiewski“, niech się święci chwała Twoja, niech się znajdzie zguba moja. — Powtarzała tę skuteczną modlitwę kilka razy, lecz w wielkiej alteracji zawsze się myliła.

Raz zamiast „niebiewski“ powiedziała „niebieski“, drugi raz: „niebiański“, to znów zamiast: „zguba moja“

„zguba nasza“ i t. p. Słowem, plątała się wciąż w modlitwie, co ją jeszcze większą trwogą napępniało. Boć wiadomo, jeżeli się modlitwę pomyli, święty patron rzeczy zgubionych nie wysłucha i nie przyczyni się do Najwyższego Pana o odnalezienie zguby.

Wzdychała też ciężko, ukradkiem ocierała łzy szeroką zapaską lub bandażami od czepka, powtarzała jednak wciąż:

— Niech się jejmość dobrodziejka nie martwi, znajdzie się znajdzie! Toć to już nie raz się tak skryła, jak oto wtedy za lamus w agrest cośmy ją bez mała półdnia szukali. Buzię sobie i rączuchny podrapała, a potem wyskoczyła, wołając: a tuś mi!

I tak dalej powtarzała rozmaite przygody, chcąc odwrócić myśl i rozerwać zaniepokojoną matkę.

W duchu zaś myślała sobie:

— Już ja to zawsze mówiłam, że z tą rozpustną dziewczyną przytrafi się jakie nieszczęście... i ot, jest!

Ambroży zaś, jak tylko przekonano się, że Justysi niema w pokojach, machnął ręką i mruknawszy:

— Ot, babskie gadanie — wybiegł szybko z pokoju.

Najpierw omacał ścielnie ścianę nad ciemnymi schodami, chcąc się przekonać, czy niema jakich ukrytych drzwiczek. Znalazł wprawdzie głęboką framugę tuż przy wejściu do mieszkania, omacał ją ścielnie, lecz zguby nie znalazł.

Wyszedł na ulicę, rozejrzał się, — nie wiele jednak mógł zobaczyć. Mrok ciemny zalegał ulicę, gdzie nie-

gdzie w oknach migotać poczęły drobne światełka, nie rozpraszając wszakże ciemności.

— Choćbym poszedł szukać, to i gdzie?... człowiek w tem mieścisku jak w lesie, — ba, gorzej!

Postąpił jednak kilkanaście kroków wzdłuż domów a potem zawołał:

— Hop, hop!

Lecz na jego hukanie odpowiedziało tylko przeciągłe smutne echo i śmiech jakiegoś wyrostka, który, przebiegając ciemną ulicę, przedrzeźniał:

— Hop, hop! chłop, chłop! a może baba!

Choraży też już od dawna poszedł szukać córki, nie mówiąc o niepokoju, jaki serce jego ogarnął.

Wybiegł też i Mroczek i kto tylko żył, — i syn ry-marza, sprytny piętnastoletni chłopak. Majster porozsyłał wszelką czeladź, nawet sam wdział kapotę, włożył rogatywkę, wziął kij gruby, którym się zwykł podpierać, i poszedł na poszukiwanie zaginionej. W mieszkaniu została tylko chorażyna z Olimpka i Kumosia.

Ta wydostała malowany na drzewie a zamykany obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, bez którego się nigdzie chorażyna nie ruszyła.

Postawiła obrazek na stoliku i zapaliła przywieszzone z sobą cztery woskowe świece w dwóch dwuramiennych srebrnych świecznikach. Przy tem zajęciu wciągała głośno nosem i ocierała ukradkiem łzy, które jej się gwałtem do oczu cisnęły. Mimo to powtarzała:

Znajdzie się, znajdzie!... niech się jejmość dobrodziejka nie frasuje!

Weszła też imci pani Szymonowa Lutakowa, żona rymarza, — a weszła, sromając się nieco i westchnąwszy z głębi piersi, rzekła:

— Ja bo tu przyszlłam, ażeby jaśnie wielmożną panią chorążynę pocieszyć; — mój stary poszedł a Janek już dawno poleciał. To taki chłopak, że wszystko choćby jak, tak, to wyszpera! Jak oto łońskiego roku zginął piekarzowi Kudłacz, to już myśleli, że przepadł, a Janek jak zaczął szukać, to psa przyprowadził!... — mówiła dalej. Zmiarkowała się jednak, że opowiadanie o psie nie było bardzo parlamentarnem, odchrząknęła więc i poprawiając się, rzekła:

— Przecież, uchowaj Boże, nikt jaśnie wielmożnej chorążanki nie równa z takim otr nic nie znaczącem stworzeniem, jeno się mówi tak na przykładkę; — niby co do Janka. A też słyszałam od mojej kumy, też rymarzowej, tej oto z przeciwka; — co jednym państwu zginęła dziewczeczka, nie przymierzając jak oto j. wielmożnym państwu. Wyszła nieboga na ulicę i nie mogła trafić. Zaszła aż do węglarza, co za miastem w borze węgle wypala i zabłądziła, a to się przydarzyło jak raz w dzień świętego Stanisława. Ojcowie lamentowali, bracia pojechali bodaj aż za morze szukać niebogi, a oto na Matkę Boską Siewną jakoś się odnalazła!

— Odnalazła?! — zapytała chorążyna, która, siedząc nieruchomie ze splecionymi rękami, nie słyszała może całego opowiadania, dopiero ostatni wyraz zadźwięczał jej w duszy.

— A gdzie się znalazła? — spytała Olimpka, siedząca dotąd w milczeniu, przytulona do kolan matki.

— A u węglarza, u węglarza, j. wielmożna panienko — odrzekła Szymonowa. — Jenoć zwyczajnie, jak u węglarza, usmoliło się niebożatko, zgrubiło, że ją ledwie rodzona matka poznała, ale poznała bo akurat miała znamie na lewem uchu; — po tem znamieniu ją poznano, — sprawiedliwie!

— Ach, ale Justysia nie ma żadnego znamienia — rzekła Olimpka.

— To nic, to nic, zawsze ją j. wielmożna pani pozna, gdy ją Matka Najświętsza powróci! — dodała, wzdychając, Lutakowa.

Ze wszystkich też piersi wyrwało się westchnienie. Chorążyna padła przed ołtarzem Częstochowskiej na kolana, za nią Olimpka, Kumosia i dopomagająca w serdecznej modlitwie i trosce, Szymonowa.

— „Matko strapionych,“ „Módl się za nami“ — wołały z pełni piersi.

I słowa litanii popłynęły, odbijając się o sklepienia pławiącej się w mroku komnaty.

Tylko świece, migocąc, rościerały koło modlących się smutne migotliwe blaski, a głos ich brzmiały rozpaczliwem błaganiem długo w noc powtarzał:

— „Módl się za nami,“ — „Módl się za nami.“

Do tego głosu dołączyło się wreszcie wezbrane boleścią wołanie Chorążego i smutne głosy służby całej...

Justysi jak nie było, tak nie było.

V

NA KSIAŻĘCYM DWORZE.

Im bliżej było dnia oznaczonego na rozpoczęcie sejm, tem więcej zaludniała się stolica. O każdej porze dnia, ba i długo w noc, tłumy snuły się po ulicach, przejeżdżały wozy naładowane sprzętem, ciężkie karoce, półkrytki i taratunki zdążających z gorączkowym pośpiechem. Na jednych znać było, iż daleką odbyły podróż, inne wyświeżone, błyszczące, świeżo sprowadzone z za granicy, lub kupione u Dangla, nadwornego powoźnika jego królewskiej mości, przebiegały z wielką fantazją ulice, śpiesząc do zamku lub na posiedzenie do którego z dygnitarzy. Nie brakło też i kupców cudzoziemców, przybywających ze wschodu i zachodu, którzy w wynajętych sklepach, lub wprost na placu około kolumny Zygmunta i na rynku starego Miasta stawiali sklecone z desek kramy i rozkładali swe różno-barwne towary.

Tam Francuz nęcił pięknymi cackami z porcelany, złotem lub złożonemi tabakierkami, bombonierkami, lub gotowem według najświeższej mody ubraniem.

Perukarz ustawił w oknie z całym kunsztem ufryzowane białe peruki, inny koronkowe żaboty i jedwabne pończochy.

Włoch obwoływał mydła i pachnidła; — paciorki błyszczące; — zachwalające się same przez się rzeczywiście piękne wyroby florenckie i weneckie, jak: pyszne zwierciadła, puhary, łańcuchy, łańcuszki, spinki, wachlarze; — rozmaite ozdoby mieszkania, stołu lub ubrania, w którym się wówczas lubowały niezmiernie nie tylko kobiety lecz i mężczyźni. Gdzieindziej znów kupiec przybyły z Lewantu¹⁾ połyskiwał różnobarwnemi jedwabnemi tkaninami, oponami na ścianę, pokryciem na meble, na męskie szlafroki lub kapami na konie.

Nie brakło też kataryniarzy z wykrzywającą się małpką; — skoczków, linochodów, wróżbistów, kabalarek i rozmaitego rodzaju wydrwigroszów, którzy przy tak wielkiem zjeździe chcieli na licznie zebranej publiczności zarobić i puste swe kieszenie napełnić.

Wobec tych wszystkich cudzoziemców, z pewną godnością zachowywali się rzemieślnicy i kupcy miejscowi. Każdy z nich, osiadły we własnym najczęściej domu lub przynajmniej dzierżawionym oddawna, nie potrzebował tułać się po ulicach i zachwalać towaru. Wiedział dokładnie, że ci, co u niego zwykle kupują, nie pójda do cudzoziemca, a jeżeli pójda, nabędą tylko taki towar, jakiego na miejscu trudno lub wcale dostać nie można.

Modą też było wówczas, ażeby kobierce kupować w świeżo założonej i przez samego króla popieranej fabryce na ulicy Elektoralnej; — trzewiki na Podwalu, a broń i uprząż u miejscowych puszkarzy, płatnerzy i ry-marzy.

¹⁾ Ze wschodu.

Skoczkom i linoskokom, jeżeli się kto na ulicy przyglądał, zachowywał to w tajemnicy, zostawiając te uciechy dla plebsu, a chowając oczy i uszy na teatr, który w owym czasie rozwijał się z woli najmiłościwiej panującego Stanisława Augusta i pod jego wyłączną protekcją.

Teatr ten mieścił się na zetknięciu ulicy Długiej z placem Krasieńskich, przytykając do ich pałacu. Dawano w nim sztuki bardzo zajmujące. Każdy więc, nie tylko był ciekaw widowiska w teatrze królewskim, lecz miał sobie za zaszczyt w nim się znajdować. Wszelkich więc sił używał, ażeby z wielkim kosztem i móżolem zdobyć sobie miejsce.

Byli wprawdzie i tacy, którzy zdobyć onego nie zdołali; pocieszali się więc widowiskami popisujących się w budach na obszernych zamiejskich placach linosków. Czynili to jednak w skrytości, wychwalając za to teatr, którego budynek zaledwie z wierzchu widzieli.

Wobec więc takiego zjazdu i tłumu trudno było nie tylko pomieścić się, lecz nawet przejechać przez przepełnioną najróżnorodniejszą nacyą stolicę.

Trudno było każdemu, lecz nie znajomemu nam oficerowi austriackiego pułku i jego otoczeniu.

Od tygodnia nawet poczet jego znacznie się powiększył. W Żywcu spotkał ich maleńki zbrojny oddziałek, złożony z dziesięciu ludzi i ogromnego woza, naładowanego rozmaitym sprzętem, potrzebnym w podróży.

Całym tym taborem dowodził imci pan Barnaba Wietrzański, który po połączeniu się z oddziałem, oddał młodemu panu listy, okazując przy tem wielkie uszanowanie.

Iwo ubrany już teraz w ciemnozieloną kurtkę, także spodnie i buty ze sztylpami; — z wygładzoną dobrym wiktem twarzą, z przyciętą krótko bujną czupryną, wyglądał zupełnie na sługę zamożnego pana.

Nie zostawiono go też bez zajęcia. Domin przyuczał go do służby około koni, a przy tej nauce posługiwał się nim chętnie.

O koniu, na którym odbywał podróż, musiał sam pamiętać. Domin jeżeli sam czasami zaniedbywał się w swoich obowiązkach, za to był bardzo wymagający względem powierzonego mu chłopca i bardzo skłonny do bratania się z uszami Iwona.

Lecz ten, raz otrzymawszy w tej formie napomnienie, zaczerwienił się cały, oczy mu zabłysły, pięść zacisnął i stanął w takiej postawie, jak gdyby gotował się do walki.

Czy Domin spostrzegł tę gotowość, czy też chłopak dokładniej spełniał swoje obowiązki, dość, że po tej gwałtownej scenie nie przyszło już do gwałtowniejszych, — i luzak kończył tylko na napomnieniu:

— Żeby książę o tem się dowiedział, ho, ho! wypędziłby cię bez pardonu!

Ta pogroźka była dla biednego przybłedy tak straszną, iż byłby wolał bodaj śmierć ponieść, niż na gniew księcia zasłuyć. Książę był dla niego taką świętością, tak się do niego przywiązał, iż uważał sobie za szczęśliwy dzień, jeżeli głos jego usłyszał, lub pozwolił mu spełnić jakąś przysługę.

— On tak mówi, tak mówi... — powtarzał sobie chło-

pak, nie mogąc dobrze sformować uczucia, jakie głos księcia i jego mowa na nim wywierała.

Grzegorz, Domin, cała służba, spotykani ludzie w drodze mówili tą samą mową, żaden jednak głos nie wywierał na Iwona takiego wpływu, jak głos księcia, który dlań dźwięczał najpiękniejszą muzyką.

Rozumiał teraz wszystko, co do niego mówiono, nie zawsze jednak mógł dokładnie wypowiedzieć swe myśli, które mu dziwnie szybko napływały do głowy, przypominając jakby kiedyś widziane obrazy.

I dawniej, gdy był sam z sobą i cielicami na polu, myślał tą mową, której go matka nauczyła, lecz teraz myślał nią coraz swobodniej i łatwiej mu wvrazv do myśli napływały.

Od chwili, gdy pan Barnaba przybył ze swoim noczem i z takim nadzwyczajnym szacunkiem zachowywał się względem księcia, Iwo jeszcze więcej utwierdzał się w przekonaniu, że dostał się na dwór królewski. Mówił więc sobie:

— Naprzeciwno wyjechali ludzie zbrojni z takim wielkim wozem i takim panem, co chociaż nimi wszystkimi pomiata i ma siwe włosy, przed naszym, choć młody, stoi pokornie i z uszanowaniem schyla głowę.

— To zupełnie jak w bajce Oryny... — myślał dalej, przypominając sobie opowiadanie matki swego gospodarza. — Taki piękny jak i tamten u Oryny... i tak samo leżał ranny... a może to ten sam...może... Pewnie nie co innego... pewnie też dla tego, tak wszyscy koło niego skaczą, że on się bił z Turkami, bo i tamten bił się z Turkami!... — myślał wciąż uparcie...

— Hej, mój mocny Boże, żebym to ja się tak bił!... — rzekł sobie w duszy.

I westchnął z pełni swej dziecięcej piersi, a jakieś nieznane mu dotąd pragnienie pierś tę rozsadzało. Pragnienie służenia księciu i pragnienie bitwy, pokonywania Turków, o których się od Serbów nasłuchiwał, nie dawały mu spokoju. Tem więcej zaś rozpieły jego umysł i serce, że myśli tych nie umiał wypowiedzieć i nie mógł się z nimi zwierzyć nikomu. Książę czasami z nim rozmawiał i coraz więcej w tem się utwierdzał, że to jakieś polskie chłopię, dziwnym trafem na pogranicze tureckie zabłąkane. Bujna wyobraźnia młodego oficera austriackiego snuła na tem tle najrozmaitsze obrazy, skłaniając coraz więcej serca dla małego przybłądy.

— Muszę go kazać uczyć i na dzielnego żołnierza wykierować! — kończył zwykle swe myśli, z którymi się nawet przed starym Grzegorzem nie wygadał.

— Panicz... chciałem mówić... jaśnie oświecony książę, wkrótce cały pułk z przybłądów uformuje — mówił po swojemu mrukliwie stary sługa, wzruszając ramionami.

— Ha, niechby i z przybłądów, byle był tylko pułk, a z dzielnych żołnierzy złożony — odpowiadał książę ze zwykłym sobie pobłażliwym uśmiechem.

Przybłąda tymczasem coraz więcej przywiązywał się do swego młodego pana, spoglądając ze czcią i uszanowaniem, równajacem się temu, z jakim spoglądał na obrazy w kościele, w którym raz jeden był zaledwie w życiu.

— On zupełnie podobny do tego świętego, co to potwora przebija! — myślał sobie, przywołując na pamięć

obraz świętego Jerzego, który mu się najwięcej w kościele spodobał.

I teraz już nie wiedział, czy pan jego jest owym księciem, o którym Oryna opowiadała, czy też świętym, który zstąpił z owego obrazu.



Gdy wjechali do stolicy i skierowali się ku zamkowi, górującemu nad rzeką, wspaniałość zamku olśniła go do szczytu, — przyjęcie zaś jakiego doznał orszak składający otoczenie księcia, wprowadziło go w prawdziwe zdumienie. Wszelkie opowiadania Oryny o wielkich koniach i zbrojach zbladło wobec przepychu, jaki mu się przedstawił.

Przecierał nawet oczy, obawiając się, czy złe nie wprowadziło go do jakiegoś zaczarowanego miasta.

Samo miasto, przez które przejeżdżano, wydało mu się wspaniałem, gdy zaś spuścili się z niewielkiej pochyłości i przez bramę Krakowską wjeżdżali w podwórzec zamkowy i stojący żołnierze sprezentowali broń przed jadącym na pięknym gniadym koniu księciem, pomyślał sobie:

— Król, — niechybnie król, ten sam z bajki.

Mylił się jednak przybłęda. Nie był to król, lecz ukochany królewski bratanek, książę Józef Poniatowski, przez Stanisława Augusta listem z pola bitwy z pod Sabacz do stolicy wezwany.

Teraz gdy książę zsiadł z konia, a Domin znalazł się tuż, aby wierzchowca odebrać, Iwo stał wpatrzony w owego księcia z bajki, dziwiąc się prawie, że go jakieś duchy lub rycerze z konia nie znoszą, tylko on sam, jak każdy inny z niego zeskakuje.

Widział go przecież tyle razy wsiadającego na konia i zsiadającego zeń, ale to tam w polu, w drodze...

— Lecz tu, w jego państwie, to co innego! — pomyślał sobie.

A książę, zeskoczywszy zwinnie i lekko ze swego gniadego rumaka, spojrzał na wpatzonego weń z niemem podziwieniem przybłędę i uśmiechnąwszy się łaskawie, rzekł:

— Cóż mały, spodobało ci się tutaj?

— Och! — wykrzyknął chłopiec w najwyższym zachwycie i wyciągnął przed siebie dłonie, jak się wyciąga do cudownego obrazu.

Chciał coś przemówić, otworzył usta, lecz nim to uczynił, uczył na ramieniu silną rękę i usłyszał rozkazu-
jący głos Domina.

— Ruszże się gawronie! czy myślisz, że ci konia poprowadzę do stajni!

Iwo ocknął się i leniwym krokiem poszedł do swego podjezdka, którego do jednego z licznych kółek, powbijanych w stojące rzędem słupy, tak samo jak inni przyboczni księcia przywiązał.

Lecz teraz każdy już swego konia odprowadzał do stajen, które nieco w dole ciągnęły się długim szeregiem. Tylko jego podjezdek stał samotnie, oglądając się za idącym rażno towarzyszami i za pełnym żłobem.

Iwo jednak mało zwracał na konia uwagi; on spoglądał na zamek i schody, po których wszedł jego ukochany książę. Lecz ten zniknął w ogromnym gmachu, do którego wciąż napływali jak fala strojni panowie, w wojskowe ubrani mundury lub też w trzewikach, pończochach, barwnych sukniach i białych wielkich perukach.

Takich strojów nie tylko nigdy na obrazie w kościele nie widział, ani też w opowiadaniach Oryny nie słyszał.

Było to dla niego dziwowisko, przechodzące wszelkie jego wyobrażenie.

A ludzie ci wchodzili lekko, zwinnie, podskakując;— i w dali, w zachodzącym słońcu, które smugami swemi złociło zamkowe podwoje, wydawali mu się jak zjawis-

ka, kołyszące się na tych promieniach słońca, a może z samej ognistej kuli, zawieszanej nad ziemią, zesłani.

Jakiś lęk go ogarnął, — przeżegnał się i postanowił nie spoglądać w ich stronę. Lecz przecież temi samymi drzwiami wszedł jego pan, jego ukochany książę.

Wreszcie fala zniknęła. Iwo odprowadził konia do stajni, oczyścił go z podróżnego kurzu i postawił obok konia Domina, jak to zwykł był dotąd czynić.

Wrześnie słońce, mignawszy jeszcze kilkakrotnie złotym uśmiechem, skryło się wkrótce, — następował mrok, mrok szary, przyciemniony ilością domów. Dym, snujący się z kominów, unosił się szaro-popielatą barwą nad miastem, przyśpieszając jeszcze zmrok szybko zapadający.

Służba księcia, uporawszy się z końmi, wesoło teraz rozmawiała. Nie jeden spędził tutaj długie chwile... Jedni więc cieszyli się, że zobaczą swoich, drudzy witali się z przybyłymi na ich spotkanie. Gwar, śmiech, rżenie koni mieszały się z odgłosami, idącymi zdala od miasta.

A miasto szumiało wielością głosów, oddechem tysięcy piersi, śmiechem radosnym wesołych i rozbawionych, lub łkaniem smutnych i cierpiących. Głosem tym wtórowała poważnym swym szumem płynąca u stóp zamku, szara, mętna, pienia się żółtymi falami, Wisła i powiew, idący od rozciągających się poza nią lasów.

Wśród tego wielkiego zbiorowiska ludzi, wśród tych najróżnorodniejszych głosów Iwo uczył się sam, sierotą. Tak strasznym sierotą, że aż lży dławili mu gardło i po-

częły spływać wielkimi kroplami po ogorzałych policzkach.

Wyciągnął dłonie ku zamkowi i z głębi zrozpaczonej duszy, ze zbolalej tęsknotą piersi, zawołał:

— Panie, panie, — nie opuszczaj sieroty!

Czy wyrazy te odniosły się do Stwórcy, czuwającego nad światem, czy do księcia, który zniknął w murach zamkowych, — nikt nie wiedział; — bo też i nikt nie słuchał wykrzyknika biednego pastucha.

Może i on sam w tej chwili nie wiedział, jakiej wyzywa potęgę. Nagle od zamku zwrócił oczy ku niebu i tymże samym rozpaczliwym zawołał głosem:

— Panie, panie, nie opuszczaj sieroty!

A gwary szumiały dalej. Wisła u stóp jego przelewała swe fale, z oddalonych lasów szła modlitwa i poważne głosy drzew, przynoszących zarazem powiew świeżości i niewysłowionej tęsknoty.

Iwo stał tak chwilę wpatrzony w niebo, znów zwrócił wzrok na zamek, a potem, uczyniwszy znak krzyża świętego, obejrzał się do koła i stanął w rozwartych podwojach Krakowskiej bramy.

Na usiane gwiazdami niebo wypłynął wielki pyzały księżyc, oblewając srebrnem światłem domy, ludzi i całe otoczenie, — strojąc je w jakieś fantastyczne kształty.

Domy wśród tego światła wyrastały wysoko, ku górze, ludzie — w olbrzymów dzwigających na swoich barkach mury miasta.

Oszolomiony gwarem i nieznany mu dotąd widokiem, stał oniemiały, wpatrując się w dal głęboko, ku

Wiśle. Nagle drgnął, jakby zbudzony: doszedł go krzyk gwałtowny, krótki, a w krzyku tem zdawało mu się, że usłyszał:

— Mamo, mamó!

Nastawił uszy.

Jak nagły był krzyk, tak nagle ucichł, stłumiony jakby w połowie wyrazu.

W tej samej chwili trzech ludzi spokojnie przechodziło koło rozwartej bramy. Mieli na sobie długie opończe, dwaj nieśli długie drągi, trzeci — zwinięty duży tobolek pod pachą. Szli pewnym krokiem, nie oglądali się za siebie i byli zupełnie podobni do wielu innych przechodniów.

Nie wiedzieć jednak dlaczego, wzrok Iwona pobiegł za nimi. Zdawało mu się, że to właśnie z pomiędzy nich wybiegł ten rozpaczliwy krzyk i wołanie nagle stłumione.

— Chłopcy, jak się patrzy, gdzieżby tam który z nich takim cienkim głosem wołał — pomyślał sobie.

— Chociaż to tutaj wszystko inaczej! — dodał w myśli.

Krzyk jednak i wołanie tak mu utkwilo w uszach i taką bolesną skargą pozostało w piersi, iż oczu od owych ludzi oderwać nie mógł.

Schodzili oni ku Wiśle; nagle ten, co niósł tobolek, potrząsnął nim, a z pod szmat wywinęła się mała dziewczynka, którą chłop postawił na ziemi.

Zdawało mu się, że to ona tak krzyczała, że i teraz krzyczy choć on nie słyszy jej głosu. Zdawało mu się,

że ten wysoki cień szarpie ją za rękę, że ona się wydzie-
ra i chce uciekać...

A chociaż przy złudnem świetle księżycy i w dosyć znacznej odległości, nie mógł dokładnie widzieć, wyobraźnia podsunęła mu tak straszny obraz, iż postąpił kilka kroków i chciał biedz na pomoc... Opamiętał się jednak; prostą drogą nie mógłby się tam dostać: nizki mur, za którym właśnie przechodzili owi ludzie, spuszczać się ku rzece, przecinał mu przejście.

— Zostawić przecież dziecka bez ratunku nie można! — pomyślał sobie i poszedł wezwać na pomoc Dominę.

— Czego chcesz?... — zawołał tenże, budząc się ze smacznego snu, którym się raczył po sutym poczęstunku z towarzyszami.

— Tam, tam, ku rzece jacyś ludzie ponieśli dziecko, — małą dziewczynkę; — teraz ją szarpia, biją, — ona krzyczy...

— Idź do czarta — zawołał pacholek, machnąwszy ręką z taką gwałtownością, iż byłby wymierzył potężnego szturchańca, gdyby się Iwo na bok nie usunął.

Lecz chłopak nie dał za wygraną i przysunawszy się, począł znów ciągnąć ślepego za rękaw:

— Moiściewy, mój złoty, chodźcie ino... sam nie podołam.

— Idź do czarta, póki ci mówię po dobroci! — zawołał po raz wtóry Domin. — A to ci namolna bestya!

— Bójcie się Boga. toć tak nie można!... dziewczucha krzyczy, — chce uciekać, szarpia ją... — mówił, nie ustępując Iwo.

— Czyś oszalał! co ci do tego? to nie nasze sprawy! — zawołał rozłoszczony Domin.

— Czego on chce? — zapytał jeden ze stajennych, który, usłyszawszy rozmowę, przybliżył się do nich.

— Tam, tam, biją jakieś dziecko, dziewczynę... — począł znów Iwo.

— Ha, ha, ha!... a tobie co do tego! — zaśmiał się stajenny — skoro zasłużyła, niech ją biją!

— Bójcie się Boga! Oni ją przynieśli w tobołku, pod pachą!

— A niech ją tam niosą i na plecach, cóż nas to obchodzi! — roześmiał się Domin. — To głupi — jemu się zdaje, że książęcy ludzie to pacholcy miejscy, żeby pilnowali porządku! — dodał.

Jemu się zdaje, że nasz książę wszvstkie przybłędy po świecie będzie zbierał! — zaśmiał się stajenny.

— A gdzież to widział? — na księżycu? — zapytał, śmiejąc się i położywszy rękę na ramieniu Iwona, przypatrywał mu się z drwiącą miną, jak gdyby go dopiero po raz pierwszy obaczył.

Przyszeli jeszcze jeden i drugi i dalejże wszyscy przedrwiwali z Iwona; lecz ten, widząc, że pomocy nie uzyska, wyrwał się i uciekł, pędząc wprost na to samo miejsce w Krakowskiej bramie.

— A to ci głupi!

— Mieliśmy z niego przynajmniej uciechę!

— Miał też kogo nasz pan przygarnąć!

I posypały się śmiechy, przezwiska i żarty.

Iwo, przyszedłszy do bramy, nie zastał już na tem

samem miejscu owych ludzi; cisza była do koła, przerywana od czasu do czasu odgłosem grzechotki stróża nocnego. Leczą, czy rozbijała jego wyobraźnię, czy też rzeczywiście ujrzał tych samych ludzi w oddali, idących wzdłuż płynącej rzeki i ciągnących za sobą ową dziewczynkę.

— Nie, tak być nie może, — oni ją utopili! — pomyślał sobie.



I dając jakimś wewnętrznym głosem i pragnieniem obronienia nieszczęśliwej, zbiegł po kamiennych schodach. Nie oglądając się, biegł wzdłuż cichej opustoszałej ulicy, na którą tylko księżyc kładł białe swe srebrne plamy, przyglądając się z góry śpiącemu miastu.

Nagle Iwo poczuł na karku dłoń, pod której ciężarem ruszyć nie mógł.

— A tuś mi! — zawołał głos jakiś nad uchem.

Chłopak, zaskoczony zniechęca, obejrzał się trwożnie i ujrzał wysokiego draba, który go trzymał za kołnierza.

Oprzytomniał jednak zaraz i spojrzawszy śmiało, rzekł:

— Panie, tam, tam nad rzeką jacyś ludzie prowadzą małą dziewczynkę... biją ją... ona krzyczy, trzeba ją ratować.

— Ho, ho! znam ja się na takich wybiegach! Pójdiesz tymczasem ptaszku ze mną! — odrzekł stróż nocny.

I zawiesiwszy grzechotkę u pasa, chwycił Iwona silniej jeszcze za kark i pchał prze sobą.

— Ależ ja jestem sługa księżcy, tego księcia, co dziś przybył do zamku! — tłomaczył się wystraszony chłopak.

— A bądź sobie sługą jakiego chcesz księcia, mnie tam nic do tego! — odrzekł stróż, nie przestając popychać Iwona.

A potem mruknął do siebie:

— Juści, sługa księżcy! pewnikiem księcia złodzieji!

— Cóż to wy sobie myślicie, mojego pana złodziejem przezywać! — zawołał chłopak z najwyższem oburzeniem. — Ja wam tu pokażę!

I szarpnął się z taką gwałtownością, że drab musiał użyć całej siły, ażeby go w garści utrzymać.

Wpił mu też prawie wszystkie pięć palców w kark i mimo oporu poprowadził do kozy.

VI

STRYJ I SYNOWIEC.

Serdeczne było powitanie króla Stanisława Augusta z bratankiem; — serdeczniejsze może niż kiedy. Król, słabej woli, charakteru miękkiego, niewieściego, potrzebował koniecznie kogoś, przed którym mógłby się wygadać, uzalić z kobiecą iście tklivością. Księżę Józef był synem rodzzonego jego brata Andrzeja, generała wojsk austriackich i hrabianki Teresy Kińskiej. Urodził się 1763 roku t. j. na rok przed wstąpieniem na tron Stanisława Augusta.

Józef Poniatowski od najmłodszych lat zdradzał siłę charakteru i dzielność rycerską. Przymioty te rozwinęło wychowanie i wczesna służba w wojsku austriackiem. Przymioty te, jakby dla przeciwieństwa z charakterem miękkim i zniewieściałym króla, zjednały mu wielkie u niego łaski.

Słaby monarcha umiał cenić w wzrastającym młodzieńcu przymioty dzielnego męża, obdarzał go zaufaniem i rad był w każdej trudniejszej chwili widzieć go przy sobie.

Dwie te postacie, tak zbliżone a tak różniące się charakterem, dopełniały się wzajemnie. Nic więc dziwnego,

że i w przededniu sejmu wezwał go z pola bitwy gdzie jako syn generała austriackiego walczył w cesarskich szeregach.

Po sztywnem urzędowem przyjęciu w dzień przyjazdu, wezwał król młodzieńckiego bohatera zaraz na drugi dzień rano do swego buduaru, gdzie po odbytej rannej kąpieli zwykł był pić filiżankę czekolady.

— I cóż, odbyłeś chrzest krwi, bardzoś ucierpiał? — zawtał król łaskawie, wpatrując się w dorodną postać młodzieńca.

I wskazał mu miejsce naprzeciw siebie przy małym stolicku, gdzie stała druga filiżanka czekolady.

Młody oficer skłonił się dwornie, porzucając zaś ceremoniał przynależny dla monarchy, siadł na wskazanem sobie miejscu i odrzekł:

— W pierwszej chwili bardzo — zwłaszcza gdy leżałem na polu, między rannymi, wśród piekących promieni i wstrętnej woni ciał poległych które od zbytecznego upału zaraz rozkładać się poczęły...

Stanisław August powąchał leżącą przy nim amforę, jak gdyby woń owa przeniknęła do jego wytwornego buduaru, i z grymasem sobie właściwym westchnął:

— To okropne! żałuję cię!

— Teraz już zapomniałem o cierpieniu i ranie! — odparł wesoło młodzieniec.

I zaraz dodał:

— Przykro mi tylko....

— Co takiego? przerwał król ciekawie.

— Żem tę ranę odebrał za cudzą nie za swoją sprawę, odrzekł książę.

— Hm, — odrzekł król uśmiechając się.

— Nic to nie szkodzi, — wyuczyłeś się w obcych szeregach, by swoim chlubnie przewodzić! dodał, przypatrując się bratankowi.

— Ale, któż cię opatrzył, kto z pola bitwy uniósł — zapytał.

Młody oficer opowiedział znany nam epizod i cudowne przez pastucha ocalenie.

— Romantyczna historia, jak w hiszpańskiej lub niemieckiej balladzie — odrzekł król! — To polskie chłopię, zabłąkane dziwnym trafem w obcą stronę... no, no!

I tak gorąco wspominające matkę i miłujące jej mowę! Tem mnie właśnie ujął — dodał książę.

— Dziwnie uczuciowa, a energiczna i wytrwała natura — mówił dalej — pragnąłbym mu się za jego pomoc odwdzińczyć i wyrobić z niego dzielnego żołnierza.

— Ależ to jeszcze, jak powiadasz, dzieciak — odrzekł król. — Trzebaż go przedewszystkiem kształcić; często z takich wyrastają ludzie uczeni, poeci, jak na przykład Janicki. Pragnąłbym żeby moje panowanie uświetnione było jakim niezwykłym geniuszem, może właśnie Opatrzność zsyła nam taki geniusz w postaci rumuńskiego pastuszka. — Mówił dalej król, zapalając się do swych myśli, jak to było w jego zwyczaju.

— Tak, tak, stryju kochany, a miłościwy monarcho, w tym względzie chcę właśnie zasięgnąć Twojej rady.

— Jako stryja, czy jako monarchy? — spytał król z uśmiechem.

— Jednego i drugiego — odparł książę z przymilem iście dziecięcym.

— Stryj uczyni wszystko co zechcesz; — monarcha — co będzie w jego mocy — odrzekł Stanisław August.

— A gdyby go tak oddać do szkoły wojskowej? — zapytał książę.

— Jako stryja przystałbym na to, gdy do lat dojdzie, jako monarcha widzę trudności.

— Do szkoły wojskowej przyjmują tylko młodzież szlachecką — dodał.

— Któż wie, czy mój wybawca nie jest szlachcicem?

— Otóż to, któż wie! — powtórzył król.

— Hm, — zamyślił się książę.

— Hm! — powtórzył król.

— Najjaśniejszy pan swoją powagą, rozkazem mógłby wyjątkowo go umieścić — począł książę.

— Tak, tak! zapewne; ale widzisz, są rozmaite trudności...

— Jakież? — nalegał synowiec.

— Trzeba naruszyć ustawę, — rozkazać — mówił wahająco król, który nie lubił przełamywać przeszkód.

— A jednak wierzę w dobroć serca stryja i powagę jego królewskiej mości i jestem pewny, że mój protegowany zostanie kadetem! — odrzekł książę stanowczym głosem, osładzając go dworskim ukłonem i schyleniem głowy przed ukoronowanym stryjem.

Łagodna twarz króla zasępiła się nieco, a na czole zarysowała się zmarszczka, jak zwykle gdy myśli smutne trapiły jego umysł.

Książę wpatrywał się w niego, jak gdyby wzrokiem chciał go skłonić do powzięcia stanowczości.

— Hm, — zrobi się to, zrobi... — rzekł, budząc się z zamyślenia.

— Jest wszakże ważniejsza w tej chwili sprawa — dodał, podnosząc wzrok na bratanka.

Książę Józef spojrzał badawczo na stryja. Oczy jego pogodnie wyrażały pytanie, którem chciał przeniknąć myśli monarchy.

Nie pytał jednakże.

— Sejm ma uradzić powiększenie wojska, chętnie się na to zgodzę i tobie nad tem wojskiem chciałem powierzyć dowództwo; — dziś mianuję cię generałem lejtenantem.

Twarz księcia oblała się rumieńcem, oczy zapalały zadowoleniem, serce zakolało niezwykłą radością a pierś, obciśnięta w mundur austriackiego oficera, podnosiła się bezmiernem wzruszeniem.

Była to jednak zaledwie bardzo krótka chwila. Rozradowana twarz młodzieńca zasepiła się po niejakiem czasie powaga, oczy spojrzały w jakąś dal bezmierną. Serce mu kołatało, lecz innem zupełnie biciem, a z piersi wydobyło się westchnienie.

— Eh bien, es tu satisfait, Pepi? — spytał stryj.

— Podziękuj mi — mówił dalej, wyciągając dłoń z łaskawością monarchy i pieśczętą stryja.

Młodzieniec nie kwapił się jednak z podziękowaniem. Schylił się wprowadzić, lecz bardzo chłodno dotknął ustami białej wypieszczonej królewskiej ręki.

Stanisław August porzucił sztywność monarszą i z serdecznością prawdziwą objął głowę synowca, przytulając ją do piersi okrytej perskim rannym szlafrokiem, wygarniowanym koronkami.

— Tak, tak, masz zacięcie rycerza, pragnę cię widzieć naczelnym wodzem; — tyś moją chlubą i nadzieją wśród przeciwności, spadających na moją biedną głowę! To mówiąc, król dotknął suto nafałdowanej czapeczki, z pod której wymykały się siwiejące dobrze włosy.

— Tak, tak, młodzieńcze, ani wiesz, ani możesz zrozumieć, ile trosk spada na twego koronowanego stryja... jak ciężka jest ta korona.

— Czemuż jej nie rzucisz, stryju kochany, i na polu nauki nie szukasz chwały — odrzekł książę Józef.

Stryj gorzko się uśmiechnął i porzucając ton dotychczasowy, rzekł wyniośle:

— Nie na tom przyjmował koronę, ażeby ją rzucać! Spełnię do dna kielich goryczy i danej przysięgi nie złamię.¹⁾

Książę Józef podniósł oczy na mówiącego i przenikliwym swym wzrokiem chwilę zawisł na jego twarzy, jak gdyby chciał się przekonać, czy słowa wymawiane mają rzeczywiście podstawę w głębokiem przeświadczeniu i prawdziwem postanowieniu.

— Tak, tak, obejmiesz naczelne dowództwo, będziesz mojem ramieniem... Uważam, że do rządów konieczny potrzebny rycerz i dyplomata, — niestety, rycerzem nie jestem, — zostawiam sobie dyplomacya: —

¹⁾ Historyczne.

wzajem będziemy się dopełniać — mówił monarcha, więcej do siebie, niż do obecnego synowca.

Cały ten monolog był raczej głośną myślą, niż rozmową.

To też synowiec nic mu nie odpowiadał; — patrzył tylko z jakimś bolesnym wyrazem, a przez młode jego oblicze przechodziły najrozmaitsze uczucia, w których przebijała litość i zwątpienie. Na jego pięknem pogodnem czole narysowała się głęboka zmarszczka, dodająca powagi i rycerskości jego młodzieńczej postawie i czyniąca go wielce podobnym w tej chwili do króla.

— Na pierwszym posiedzeniu sejmowem oznajmie, iż mianuje cię głównym dowódcą; — ty zajmij się skompletowaniem właściwego uniformu... Musi być piękny, wspaniały, olśniewający; — życzę sobie, żebyś się w nim na posiedzeniu sejmowem już ukazał.

— Miłościwy panie, stryju kochany, czyż podołam tak wielkiemu zadaniu? Młody jestem, czyż potrafię udźwignąć obowiązki, jakie na mnie wkładasz...

— Cóż za niewłaściwa skromność! Właśnie potrzeba nam sił młodych; — mam oko, które mnie nie zawodzi; — przecucie, które mnie nigdy nie myli. Będiesz wodzem i to sławnym wodzem; — w kolebce bodaj już ci to sądono.

W tej chwili wszedł kamerdyner Ryx, który miał przywilej wchodzenia do komnaty królewskiej bez meldowania.

Zresztą była to godzina, w której zwykle król się ubierał, zmieniając ranną toaletę na strój wykwintry,

w którym pozostawał aż do wieczora; — poczem znów go zmieniał na przyjęcie wieczorne.

Gdy ulubiony kamerdyner się ukazał, książę Józef od razu przyjął postawę dworską, sztywną, jaką zwykle przybierano na posłuchaniach królewskich. Nie lubił Ryxa jeszcze z lat pacholących i na każdym kroku rad mu był swą niełaskę okazać. Nie spojrzał też nawet na niedawno kreowanego starostę piaseczyńskiego, i z dworskością pełną głębokiego uszanowania oddał ukłon królowi. Uważając zaś posłuchanie skończonem, usuwał się z królewskiego buduaru.

— Proszę pamiętać o ostatnim punkcie naszego rozkazu — zawołał król za odchodzącym.

Książę Józef zatrzymał się i skłoniwszy głowę, wyrzekł zwykłą dworską odpowiedź:

— Stanie się według woli jego królewskiej mości! — poczem, cofając się w tył, zniknął za błękitną portyera.

Stanisław August powiódł za nim wzrokiem pełnym zadowolenia i dumy, w której przebijała tkliwość i serdeczne uczucie, jakie rzeczywiście miał dla synowca.

Ryx biegającym i przenikliwym okiem śledził wszystkie ruchy tak odchodzącego, jako i swego dostojnego pana.

Chytry, lecz rzeczywiście szczerze przywiązany dworzakin chciał przeniknąć, jakiej treści była między stryjem i synowcem ta nader poufna rozmowa. Posiadając nadmierne zaufanie króla, zazdrosnym był wprost, ilekroć ktoś dłużej sam na sam z nim rozmawiał. Synowiec królewski od dziecięcych lat nie budził w nim sym-

patyi, a raczej, widząc doń przywiązanie króla, pałał, jak i do wszystkich krewnych monarchy, tajoną niechęcią.

— Nikt mnie jednakże przy nim nie zastąpi! — pomyślał sobie dla uspokojenia.

— Właśnie dlatego, że się starzeje! — dodał.

Król wstał i osłaniając się długim szlafrokiem trzymając w ręku amforę, poszedł do szatni.

W ruchach jego znać było pewne znużenie, a na twarzy ożywionej teraz rozmową z synowcem rysowała się cała sieć zmarszczek, znamionujących daleko więcej niż 54 lat, których właśnie dobiegał.

Ryx z układnością wyćwiczonego dworaka postępował o trzy kroki za monarchą, trzymając w ręku miśternie wyrobioną szyldkretową szkatułkę, którą wziął z jednej z licznych etażerek, przepelniających królewski buduar.

Łokaj, stojący przy drzwiach szatni, odsunął ciężką błękitną z żółtem zasłonę, a król, przejrawszy się po drodze w stojącym nad kominkiem zwierciadle, wszedł do ubieralni.

Tam z wielkiem uszanowaniem oczekiwał go cały sztab różnego wieku i narodowości ludzi, pełniących obowiązki przy tualecie króla.

Byli tam krawcy, fryzyerzy, szewcy, szatni i cały zastęp ich pomocników. Każdy z nich trzymał berło swojego fachu i każdy miał inne zajęcie przy ubraniu monarchy.

— Czasami na sukni, którą najjaśniejszy klient miał już na sobie, okazało się nagle jakieś zagięcie, które mistrz

igły umiejętnem pociągnięciem wygładził. Sprzączka u trzewika pochylała się nieco, nadając niepożądany kształt nodze, mistrz szlachetnego kunsztu szewckiego w mgnieniu oka temu zarządził.



W tej chwili jednak król skinął i cała ta rzesza usunęła się do poczekalni, pozostali tylko fryzyerzy.

Teraz mistrz, monsieur Letour, ze zręcznością sobie tylko właściwą zarzuciwszy biały pudermantel na ramio-

na króla, począł otwierać rozstawione na gotowni puszeki i puszcзки, flakony i pudełka, a biorąc z nich wonne olejki, nacierał twarz monarchy.

Pod wprawną ręką mistrza swego fachu znikwały zmarszczki a twarz monarchy nabierała świeżej, młodeńczej prawie cery.

Ryx, od czasu gdy został starostą piaseczyńskim, osobiście nie dokładał ręki do ubierania króla, asystował tylko przy gotowni, stojąc z miną ministra, słuchającego sprawozdania urzędników. Wejrzeniem jednak dawał wskazówki.

To też monsieur Letour spoglądał nań często, a na twarzy jego rozlewało się błogie zadowolenie, gdy kamerdyner starosta okazał ruch zadawalający.

Często też i monarcha podnosił wzrok na ulubieńca, wtedy Ryx zbliżał się i delikatnym puszką pociągał po twarzy monarchy, lub dawał znak głową, że wszystko w porządku.

Po tym pierwszym akcie, trwającym około pół godziny, nakładano na dostojną głowę wielką białą misternie ufryzowaną perukę z harcapem w tyle. Ryx przypatrywał się jeszcze twarzy królewskiej i lekkim pędzelkiem dodawał jakiś szczegół przy brwiach, przeciągnięciu oczu lub załamaniu ust, stosownie do potrzeby.

Cała ta operacya, podobna do balsamowania egipskiej mumii, miała w sobie coś dziwnie grobowego. Odbywała się bowiem w milczeniu, ze skupioną uwagą na odmłodzenie króla. Żaden szept nie przerywał tej ważnej czynności.

Król rzeczywiście był teraz pięknym i młodym; i sztuka dokonała tego, co zab czasu i troski nadszarpała i zniszczyła. Lecz mimo przywróconej urody, pozostała dziwna martwota.

Fryzyer z pomocnikami się oddalił, weszli inni. Ryx pozostał.

Teraz dopiero zrobiło się gwaro i wesoło. Ryx opowiadał rozmaite anegdotki, a każdy dorzucał jakieś słówko, starając się rozweselić monarchę.

Była to chwila, w której obrabiano bardzo poważne sprawy, częstokroć obchodzące kraj cały, przeplatając je najpowszedniejszymi zdarzeniami. Wchodzili nawet niektórzy dygnitarze, nie wchodził jednak żaden z szanujących się i pracujących prawdziwie nad sprawami, które miały być przedstawione na sejmie.

Nie widziano więc tutaj nigdy ani Stanisława Małachowskiego, marszałka sejmu, ani Hugona Kollataja, byłego rektora szkoły głównej koronnej, a w owej chwili referendarza litewskiego; — ani żadnego z Czartoryskich, — chociaż ostatni byli tak blisko spokrewnieni z monarchą.

Wchodziła zwykle, za protekcyą ulubionego kamerdynera, cała falanga ludzi, chcących łatwym sposobem wybić się na stanowisko. Ci, korzystając z każdej chwili kładli w uszy łatwowiernemu i zbyt uczciwemu królowi najrozmaitsze wieści.¹⁾

Ryx wieści te na swój sposób przedstawiał i w naj-

¹⁾ Z pamiętników Ryxa.

dogodniejszym dla siebie i swego otoczenia świetle okazywał.

W owym dniu jednak żadnych ważniejszych figur nie było. Wszedł tylko generał Komarzewski, drugi ulubieniec królewski, i po zwykłym dworskim powitaniu, które w szatni miało mniej ceremoniału, począł:

— Co to może siła i urok waszej królewskiej mości.

— Ze złej beczki poczynasz!... — rzucił król niechętnie.

— Najjaśniejszy pan raczy łaskawie wysłuchać, potem wyda wyrok — odparł dworus.

Król milczeniem przyzwolił.

Komarzewski, przybrawszy stosowną pozę, począł:

— Weź łoże swoje i pójdź! — rozkazał Chrystus. i stał się cud! — chory powietrzem ruszony poszedł za mistrzem. Tutaj wprawdzie cud uzdrowienia się nie spełnił, lecz spełniła się wola monarsza. Poseł wołyński, Felicjan Drzewiecki, sparaliżowany przeszło od pół roku, dowiedziawszy się, że jego królewska mość życzy sobie od niego pewnych wyjaśnień, przebył uciążliwą kilkudziesięcio-milową drogę i posłuszny rozkazom najmiłościwszego pana, wczoraj wieczorem stanął w Warszawie.

— Poseł wołyński? poseł? — przerwał król, przypominając sobie. — A tak, tak, rzeczywiście pragnęliśmy z ust jego usłyszeć wyjaśnienie w sprawie zebrani przedsejmowych — mówił król, podając lewą rękę nadwornemu chirurgowi, który począł mu starannie polewować paznokcie.

— Jedno tylko ciekawe, jak znaczny ten obywatel zdoła zdać sprawę, paraliż mu bowiem odjął mowę — rzekł Komarzewski.

— Jest z nim syn, podobno wielkich nadziei młodzieniec, który ma za niego przemawiać — wtrącił Ryx.

Król spojrział z upodobaniem na ulubieńca, Komarzewski skrzywił się nieco i spojrział z ukosa na starostę piaseczyńskiego.

— Powiadasz, że się nazywa? — spytał król, zwracając się do generała.

— Felicjan Drzewiecki.

— Zda mi się jakiś Drzewiecki był nam przedstawiony przez którąś z pięknych pań. Tak tak, kręci się w towarzystwach... Ale, jeżeli mnie pamięć nie myli, to jakiś firecyk, nie wygląda na mówcę, któryby mógł tak ważną sprawę przedstawić — rzekł król dość obojętnie.

— Ze starostą Drzewieckim przyjechał syn jego Józef, młodzieniaszek, który co tylko ukończył szkoły i ten ma być rzecznikiem całej sprawy — wyjaśnił Ryx.

— Szczególnie, szczególnie! młodzieniaszek, powiadasz? Zaczyna mnie to zaciekawiać i bardzo interesuje. Lubie młodzież, lubie i szczerze się cieszę, jeżeli wcześniej występuje w szranki życia publicznego — mówił król z ożywieniem. — Pragnę poznać tego młodzieńca — dodał.

— Stała się też wczoraj na ulicach stolicy dziwnego rodzaju, a nawet dramatyczna przygoda — rzekł Komarzewski, zwracając w inną stronę rozmowę.

— Cóż takiego? — spytał monarcha, wstając od gotowalni.

— Jednemu z posłów — bodaj z ziemi Szadkowej — niejakiemu Pokrzyckiemu zginęła z ulicy ośmioletnia córka.

— Szczegółne upodobanie, żeby się z małemi dziećmi wozić do stolicy! — rzucił król, nie wiele zwracając uwagi na wypadek.

I przejrzał się w zwierciadłach, które były tak ustawione, że król mógł na wszystkie strony strój swój podziwiać.

— Córka imci pana Pokrzyckiego nie z ulicy, lecz wprost z domu zginęła. Co zaś szczególniejsze, że z pod oka matki i licznej służby zdołano ją uprowadzić — dorzucił znów Ryx, przypinając królowi ordery.

— Jakże się to stało? — spytał monarcha.

Ryx opowiedział ze szczegółami smutne zdarzenie, a trzeba mu przyznać, nic nie ujął i nie dodał:

— Rozpacz rodziców ma być nie do opisaniania!... dziecko miało być nadzwyczajnej urody i niezwykłego animuszu — zakończył, wzdychając.

— Hm! — rzekł król i zamyślił się.

Na jego pięknem jeszcze czole osiadła zaduma a wyraz smutku oblał twarz całą.

— Biedni rodzice! — rzekł po chwili. I dodał, zwracając się do Komarzewskiego:

— Mój generale, zanieś nasze monarsze żądanie, ażeby właściwe władze dołożyły wszelkich starań do wyszukania zaginionego dziecka.

Komarzewski skłonił się, chcąc w tej chwili spełnić rozkaz królewski.

— Pięćdziesiąt dukatów z mojej szkatuły za odnalezienie! — rzucił król za odchodzącym.

I majestatycznym krokiem skierował się do sali mniejszej audyencyjonalnej, gdzie panowie radni i urzędnicy mieli mu przedstawić sprawy dnia i podać papiery do monarszego podpisu.

Ostatnie wyrazy króla zrobiły niemałe wrażenie na pozostałych w szatni; wszyscy jednogłośnie z całym zachwytem poczęli sławić zainteresowanie się królewskie troską nieszczęśliwych rodziców, unosząc się nad jego dobrocią i wspaniałomyślnością.

— Trzeba umieć tylko uderzyć w czułą strunę naszego najmiłościwszego, a wszystko z nim można zrobić! — dodał Ryx z pewną wyższością, wydymając dumnie, wązkie, zaciśnięte zwykle usta.

I pożegnawszy skinieniem ręki kłaniającą mu się drużynę, wyszedł, naśladowując ruchy swego pana.

VII

K R Ó L.

— Grzegorzu, każ zawołać Iwona! — rzekł książę, odpasując szpadę i zdejmując z siebie mundur, po powrocie z przeglądu pułku, którego był szefem.

Grzegorz odebrał szpadę, podał domowe ubranie i zajął się tak pilnie oglądaniem zdjętego munduru, jak gdyby go pierwszy raz widział.

Książę jakiś czas siedział, odpoczywając po przebytym na placu mustry ranku i czekał cierpliwie, aż Grzegorz zdecyduje się zawołać chłopca.

— Grzegorzu, prosiłem, żebyście kazali zawołać Iwona. Trzeci dzień już po powrocie, a ja go dotąd nie widziałem — dodał jakby do siebie!

— Chyba panicz... chciałem mówić, wasza książęca mość już go nie zobaczy! — odrzekł stary sługa, zdmuchując pył z haftów na mundurze.

— Jakto? — zapytał żywo książę, zrywając się z miejsca. — Co się z nim stało?

— A któż go wie! — rzekł obojętnie Grzegorz, wzruszając ramionami.

— Ale to tak zawsze! co się łyse urodzi, to i łyse zejdzie! — dodał.

— Mówże raz, jak się należy! gadaj, co się z nim stało? — zawołał książę, podchodząc do starego z oznaką zniecierpliwienia.

I oczy zapalały mu gniewem.

— Chyste Panie! toćby to człek myślał, że Bóg wie co! — odrzekł stary, wzruszając ramionami i patrząc wyblakłymi oczami na rozgniewanego młodzieńca.

— Gadaj mi zaraz, coście z nim zrobili! — zawołał książę, miarkując się w uniesieniu.

— Co kto miał zrobić! Uciekł oto i tyła! — odrzekł Grzegorz, rozkładając po swojemu ręce.

— Kiedy? — co? — jak?

— Ba, jak? — a któż go wie? Konia nie wziął, to pewnie piechotą — mówił z udaną obojętnością Grzegorz, choć w duszy żal mu było przybłądy, bo się już do niego przyzwyczaił.

— Czemużście mi o tem zaraz znać nie dali! — zawołał książę z gniewem.

— Niby to tak łatwo do waszej książęcej mości teraz przystąpić! Toć byłbym powiedział, ale wiem, że są ważniejsze sprawy...

— Nie wykręcaj się, stary! Zniknięcie chłopca, który mi życie ocalił, którego szczerze polubiłem i któremu przyrzekłem opiekę, jest bardzo ważną sprawą.

— Ba! — mruknął Grzegorz.

— Kiedy zniknął? — spytał książę.

— Zaraz pierwszej nocy, bo go rankiem już nikt nie widział.

— Ale przyjechał razem z nami? — pytał dalej

książe, przypominając sobie wszelkie okoliczności przybycia.

— A jakże! i oto zaraz z wieczora przyszedł do stajni, budził Domina, plótł coś, że nad rzeką kogoś biją, że jakaś dziewczyna krzyczy; prosił, żeby kto poszedł ją ratować. Zwyczajnie, oto nie znający miasta! — Pomieszało mu się w głowie. Domin i inni powiedzieli mu, żeby szedł spać i nie mieszał się w nieswoje sprawy. Wyleciał ze stajni jak szalony i odtąd ani go oko! — zakończył Grzegorz.

— Szukać mi chłopca! Wołać Domina! — krzyknął książę podniesionym głosem.

I nie czekając na spełnienie rozkazu, wybiegł jak stał z komnaty.

— Toć niechaj wasza książęca mość weźmie choć czapkę — wołał Grzegorz, pośpieszając za nim i mrużąc po drodze:

— Jak był roztrzepaniec i impetyk, kiedym go jeszcze na kolanie huśtał, takim i został. Ale serce zawsze złote! — dodał z zadowoleniem.

Na rozkaz księcia rozbiegła się służba, dano znać do policyi, a książę cały wzburzony, dostrzegłszy, że godzina pierwsza dochodzi, a o tej porze miał się stawić na obiad u króla, wrócił gniewny do swego pokoju.

Sapiąc i nic nie mówiąc, przywdziewał właściwe ubranie, lecz miny wesołej i swobodnej, mimo najszczerzej chęci i rozumienia dworskiej etykiety, przywdziać nie mógł.

Zmarszczka na męzkim jego czole dowodziła, że jakaś troska w głębi go nurtuje.

Za przybyciem na królewskie pokoje mówił mało, nie zwracając nawet należytej uwagi na pytania pięknych pań, które przy tym poufałym w małym kółku obiedzie zasiadały do królewskiego stołu.

Stryj-król bacznie zwracał na synowca wejrzenie. Obok przyjemności zaprezentowania młodego bohatera w ścisłym kółku, miał jeszcze na celu zjednanie mu ogólnej sympatji, jako przyszlemu dowódcy wojsk koronnych. Była to może jedyna chwila, gdzie król pragnął dyplomatycznie postąpić, i przez damy wielkiego świata, które wówczas rej wodziły, przysposobić umysły zasiadających na sejmie, ażeby wniosek jego, co do mianowania księcia Józefa szefem, — przysposobić.

Wśród zaproszonych na ten poufny obiad znajdowała się marszałkowa Stanisławowa Lubomirska, z domu Czartoryska, krewna króla i jej dwie córki: pani Ignacowa i Stanisławowa Potockie.

Jakkolwiek marszałek już nie żył, wdowa po nim, jako niepospolitego umysłu matrona, miała wielki wpływ w zajmujących się polityką kołach. O nią też najwięcej królowi chodziło. Tymczasem młody bohater z pod Sabacz, jakkolwiek z całą atencją odpowiadał na jej pytania, znać było, że myślą błądzi gdzieindziej.

— Ach, ta młodość! — westchnął król — nie umie utrzymać na wodzy swych sentymentów i wzrok swój zwraca tam, gdzie Pallas i Wenus panują! — dodał, zwracając się do pań Potockich, którym na dworze nazwę owych bogiń nadano.

— Myli się jego królewska mość; — książę za jakąś nieznaną nam boginią czy gwiazdą błądzi! — odrzekła pani Ignacowa.

I zaraz dodała:

— Mości książę, w jakiej konstelacyi znajduje się jego gwiazda?

— Oczy moje i myśli tak trzymają się ziemi, że objawieniem ich nie śmiałbym obrazić bogiń, którym blasku gwiazdy zazdroszcza! — odrzekł młodzieniec, zwracając się dwornym wykwintnym ruchem ku mówiącej.

— Jeżeli jego królewska mość pozwoli, wnoszę zdrowie za dobry obrót tych poziomych myśli, których nam książę nie chce objawić! — rzekła żywo pani Stanisławowa Potocka, Pallas zwana.

— Pallas umie przenikać myśli wojowników i rycerzy, jako swych poddanych. Kapituluj więc, młodzieńcze i wyjaw swą tajemnicę! — rzekł król wesoło.

— Posłać księciu kupidyna ze strzałami, czy też kazać mu schować je w kołczan? — zapytała, żartując Wenus.

— Na ten raz nie skorzystam z łaskowości bogini — strzały kupidyna na nicby mi się nie przydały — odparł książę.

— Oh, oh! — zdziwiła się Wenus.

— Pallas więc ma przyjść w pomoc? — zapytała pani Stanisławowa, zaciekawiona skrywaną przez młodzieńca tajemnicą.

— Niestety w tej chwili i wszechwładna Pallas nie znajdzie leków — odrzekł znów książę.

— Głębokiej znać natury jest twoja troska, młodzieńcze — wtrąciła dobrotliwie pani marszałkowa, przypatrując mu się z upodobaniem.

— Nie drażnijżeż ciekawości pięknych i łaskawych na ciebie dam i odkryj nam swą tajemnicę — rzekł król, jedząc powoli maleńką łyżeczką, podawaną obficie na jego stół, konfiturę z róży.

— Jeżeli jego królewska mość pozwoli, a zacna pani marszałkowa i piękne panie nie będą miały za złe, iż tak pospolitemi rzeczami zaprzęgam ich umysł, chętnie to uczynię — odrzekł książę z ukłonem.

Król skinął białą, obrzuconą koronkami dłonią zezwalająco, panie mocno zaciekawione, zrobiły minę gotową do słuchania.

— Krótka to historia i bardzo pospolita. Pasterz serbski ocalił mi życie na pobojo-wisku...

— Oh, que. c'est romanesque! — szepnęła Wenus.

— Wziąłem go z sobą, a raczej on wsunął się potajemnie do mego namiotu i okazując mi najwyższe przywiązanie, a szczególnie zainteresowanie się i wielką miłość dla naszej mowy, nie chciał mnie opuścić.

Król jadł powoli konfitury, zagryzając je biszkoptami, z miną dającą poznać, iż mu znana ta historia. Że jednak panie z wielkiem zaciekawieniem patrzyły na mówiącego, zdradzając ruchami głów i wachlarzy ciekawość, — przez wysoką galanterię nie przerywał opowiadania.

— Mam słusne podejrzenie, że chłopiec musiał być dziecięciem jeszcze zabrany na pogranicze tureckie; wyrazy polskie znane mu były. Od razu, gdy usłyszał naszą mowę, począł wołać: „Matka, matka, mówiła“...

— Pocziwa dziecina! — westchnęła pani marszałkowa.

— Nie tylko więc powodowała mną wdzięczność za ocalone życie, lecz uważałem sobie za obowiązek zając się pastuszkami. Przyzwyczaiłem się też do niego — on zaś wprost okazywał mi bałwochwalcze przywiązanie. Gotów zawsze na moje skinienie, byłby wskoczył w ogień czy wodę na moje rozkazy.

— Pokaż go Trembeckiemu, napisze o nim ode! — rzekł król.

— Spełniłbym rozkaz jego królewskiej mości, lecz chłopiec ów wczorajszej nocy zginął bez wieści.

— Zginął? — zawołały panie z wielkiem zainteresowaniem.

— Voilà une toute nouvelle histoire, — rzekła Pallas.

— C'est encore plus romanesque! — szepnęła Wenus.

— Singulier! — rzucił król, pokręcając głową.

— Kazałeś go szukać? — spytała pani marszałkowa.

— Przed godziną dopiero dowiedziałem się o tem i poleciłem, żeby go na wszystkie strony szukano — odparł książę.

— Trzeba za nim rozesłać; to bardzo interesująca historia — zawołała żywo pani Stanisławowa Potocka.

— I bardzo interesująca postać! On nie może, nie powinien zginąć — dorzuciła jej siostra.

Król skinął na marszałka stołu i dał mu jakieś zlecenie, które tenże w mig powtórzył urzędnikowi, oczekującemu jak zwykle rozkazów królewskich w przybocznym pokoju.

Panie Potockie żywo zajęte opowiadaniem, wypytywały księcia o zaginionego, wyrażając żal swój po polsku i po francusku i przystosowując niezwykle wypadek do przeczytanych francuskich powieści lub słyszanego zdarzenia, — naturalnie, — w obcym a bardzo odległym kraju.

Marszałkowa tymczasem podniosła wzrok swój łagodny na króla i rzekła:

— Na każdym kroku i w każdej chwili miłościwy pan okazuje się prawdziwie miłościwym.

I ciszej z prawdziwym rozczeniem szepnęła:

— Poznaję w tem znaną dobroć naszego Stasia!

Król z wielkiem zadowoleniem odpowiedział uśmiechem na subtelny komplement, a potem z serdecznością ujął ramię sędziwej ciotki i również przyciszonym miękkim odrzekł głosem:

— Gdybyż mnie wszyscy tak znali, jak ty, kochana ciotko!

Towarzystwo przeszło z jadalnej sali do przybocznego gabinetu, gdzie według obyczaju, wniesiono lody, rozmaite słodczyce i w wysokich, wąskich filiżankach płyn czarny, rozlewający przyjemną narkotyczną woń po eleganckim buduarze.

Była to kawa czarna, wchodząca zaledwie w użycie; pijano ją wprowadzie już od lat kilkunastu, lecz zwykle białą, czarną używano jedynie na pańskich wykwintnych stołach.

Panie nie smakowały w tym gorzkawym płynie, że jednak król lubił czarną kawę i ze szczególną predylekcyą nią się lubował, damy starały się również niezwykle w niej upatrywać zalety. Pani marszałkowa, wziawszy filiżankę, nie kwapiła się z wypiciem kawy, lecz z prawdziwą elegancyą damy światowej rzekła:

— Jakto znać, że monarcha dba o rozwój przemysłu i podniesienie bogactwa wśród poddanych, kiedy na jego stole obok cudnych wyrobów zagranicznych znajduje się serwis z fabryki krajowej.

I poczęła się przypatrywać filiżance, pochodzącej z niedawno otworzonej fabryki przez Czartoryskich w Korcu¹⁾, w czym i jej ojciec nie mały pod koniec życia brał udział.

Król, który rzeczywiście wszelkie krajowe fabryki protegował i rozwój ich leżał mu bardzo na sercu, rzekł ze znanym wogóle uprzejmym uśmiechem.

— Muszę pomówić z właścicielami fabryk, pragnąłbym przyczynić się do ich rozwoju. Sprowadziłbym nawet chętnie modelarza i rysownika, któryby na wzór francuskich delikatnych wyrobów, nadał właściwy kierunek wyrobom naszym. Bo niech tylko pani marszałkowa raczy zwrócić uwagę, jakkolwiek koreckie wyroby są

¹⁾ Korzec, po wygaśnięciu Koreckich, przeszedł na Czartoryskich.

bardzo piękne, nie mogą jednak konkurować z fabryką w Sèvres. Coż to za delikatny rysunek, jaki prześliczny układ osób, utrzymany w właściwym tonie koloryt — dodał, biorąc własnoręcznie ogromną filiżankę z etażerki, na której przedstawiona scena pasterska wykończona była z prawdziwym artyzmem.

— Tak, miłościwy królu, to arcydzieło! Zważ jednak, iż gdybyśmy na wyrobach naszych, przedstawiali podobne sceny, zatracilibyśmy charakter wyrobów krajowych.

— Kochana marszałkowa zapomina, że nie mieliśmy dotąd wyrobów porcelanowych i fajansowych, musimy więc wzorować się na francuskich, które przecież całemu światu za model służą.

— Kochany mój ukoronowany siostrzeniec również zapomina, że wprowadzie nie mieliśmy fabryk porcelany i fajansu, lecz mieliśmy w odległej starożytności wspańnięle wyroby z gliny, które nam świadczą o rozwoju sztuki w czasach bardzo odległych — odrzekła marszałkowa.

— Nie mogę zaprzeczyć, ani sprzeczać się z osobą, która zajmuje się ceramiką, to nie moja specjalność; pozwól jednak, marszałkowo, w fabryce koreckiej wprowadzić modele francuskie, czem ja już sam się zajmę.

— Miłościwy królu, mogę tylko schylić głowę i podziękować w imieniu tych wszystkich, którym rozwój przemysłu krajowego również jak mnie leży na sercu — odrzekła matrona, okraszając twarz swą uprzejmym uśmiechem.

— Zostawimy rozwój czysto narodowy fabrykom tkanin lnianych i wełnianych — rzekł król — te, bodaj, uprawiane były u nas oddawna. W dywanach jednak trzeba również zaprowadzić pewną zmianę, nadając im gust i, że tak powiem, lekkość francuskiego rysunku.

— Pragnęlibyśmy nawet we wszystkich okolicach kraju przemysł ten rozszerzyć! — mówił król dalej, zamysławiając się nad powziętym zamiarem.

— Miłościwy monarcha dał już ku temu początek w stolicy — rzekła marszałkowa, podejmując myśl króla. — Nie trudno mu teraz będzie zamiary swe przeprowadzić, sejm zapewne na jednej ze swych obrad chętnie się ku temu przychyli, a kraj zakwitnie nie tylko cywilizacją i oświatą, lecz i prawdziwym dobrobytem pod twym panowaniem! — odparła marszałkowa z najzupełniejszym przeświadczeniem.

I z pewną dumą podniosła wzrok swój bardzo jeszcze przenikliwy na ukoronowanego siostrzeńca.

— Hm, hm! — mówił on w zamyśleniu, bawiąc się tabakierką.

— Sejm, sejm... — dodał przyciszonym głosem — ach, jakbym pragnął, żeby wszystkie jego obrady jak najpomyślniejszy skutek wzięły!

— Wie marszałkowa, mianowałem go generał-lejtnantem — mówił, zbliżając się do ciotki — a pragnąłbym go widzieć dowódcą wojsk koronnych — dodał, wskazując na rozmawiającego z paniami opodal synowca.

— Czy nie za młody? — spytała marszałkowa.

— Dowódca powinien mieć oprócz osobistej odwagi, siłę i energję, która nie jest nas starszych przymiotem.

— A doświadczenie? — spytała również szeptem marszałkowa.

— Nabędzie go z laty, a z wady młodości, którą i nam wyrzucał nieoceniony satyryk, poprawi się tak samo, jakeśmy się i my niestety poprawili! — rzekł król, wzdychając.

I dalej z marszałkową wiódł na pół przyciszoną rozmowę. A im bardziej stawiała się przyciszona, tem głośniejszą była rozmowa reszty towarzystwa. Główną osobą w tem towarzystwie był książę Józef, do którego skierowane były zapytania pań, zapominających w tem maleńkiem poufałym, familijnem kółku o wszelkiej dworskiej etykiecie. Rozmawiano więc z wielkiem ożywieniem, przyczem siostry-bratowe Potockie piły kawę bardzo delikatnie, przelykając zaraz potem łyżeczkę lodów. Ta manipulacja powtarzała się bardzo krótko, to jest dopóki monarcha nie zajął się rozmową z ich matką, zostawiając je swemu synowcowi. Nie gniewały się o to piękne panie.

Pani Stanisławowa wstała pierwsza od stolika i zostawiwszy nie dopita filiżankę kawy, rzekła:

— Dość tych goryczy! i tak smutek przejął mą duszę, a cała drzę o los owego serbskiego pastuszka.

— Któremu zawdzięczamy życie naszego bohatera! — dodała jej siostra z uśmiechem, podnosząc wzrok na księcia.

— Opowiedz nam, bohaterze, jak to było, jakim sposobem ocalił ci życie — nalegała Wenus.

Książę rozpoczął opowiadanie znanych nam już szczegółów, które piękne panie często przerywały westchnieniami i wykrzyknikami.

— Ależ Iwo zginąć nie może, powieść byłaby nieukończona! — zawołała żywo pani Ignacowa.

— Pragnąłbym, aby Wenus, jak jest piękną i wszechwładną, była i wieszczą! — odrzekł książę z ukłonem.

— To szczególnie, w jednym dniu, czy też nocy zginęło dwoje dzieci — mówiła, zamyślając się pani Stanisławowa.

— Prawda, słyszałam... jednemu z posłów zginęła podobno córka — przerwała jej siostra.

— To jeszcze więcej czyni cały ewenement nadającym się do powieści! — dodała.

— Powinien który z naszych literatów wszystko to opisać — mówiła dalej żywo pani Ignacowa.

— Któremu z poetów miłościwy monarcha poleci opisanie całego zdarzenia? — rzekła, zwracając się do króla.

— Jakiego zdarzenia? — spytał tenże, kończąc rozmowę z marszałkową i podnosząc wzrok na jej córkę.

— Ah, mon Dieu! tych dwojga zaginionych! — wytłumaczyła pani Ignacowa.

— Szczególne, szczególne... — mówił król, zamyślając się głęboko. — Prawda, dwoje naraz zginęło i to w chwili, kiedy tak ważne sprawy mają być oddane pod

ogólne obrady... Zaprzątnie to umysły sejmujących. Prywatne sprawy bardzo ich zawsze obchodzą.

— Zaginione dzieci są wprawdzie prywatną sprawą, nie dziw jednak, że mogą zająć umysły; dzieci, to przeszłe jednostki społeczeństwa — rzekła pani marszałkowa.

— Zły to omen, zły! — powtarzał król, który był bardzo przesądny i w każdym niezwykłym zdarzeniu upatrywał jakąś przepowiednię.

— Owszem, dobry, — rzekła Wenus — uświetni ono panowanie jego królewskiej mości nowym utworem poetycznym.

— Niech tylko jego królewska moc poleci jednemu z tych panów opisanie całego zdarzenia — nalegała dalej.

— Żądanie bogini jest dla śmiertelnych rozkazem — odrzekł król z uśmiechem.

— Bogini zginie w zapomnieniu rzece, a król Stanisław August, mając sam miejsce wśród nieśmiertelnych, pociągnie za sobą tego, który na jego dworze i z jego rozkazu unieśmiertelni swe imię napisaniem poematu! — odrzekła z dworskim ukłonem Wenus.

— Oh! oh! quelle modestie! — odrzekł król, chwiejąc upudrowaną peruką.

— Zróbmy więc przegląd wśród służebników muz — ozwała się pani Stanisławowa.

— Pallas, łącząca w sobie mądrość Minerwy, niechaj zaczyna! — przyzwolił król.

Pallas zamyśliła się nieco i rzekła:

— Trembecki?...

— Nudny — rzucił król.

— Krasicki?...

Król skrzywił się i rzucił przez zęby:

— Książę Umizgalski!

Wielki satyryk nie był już w owym czasie w łaskach.

— Karpiński?...

— Wyleje morze łez i będzie uważał, że poemat jego nie dość oceniono! — robił król dalej uwagi.

— Naruszewicz?...

— Nie pozwolę mu przerywać historii.

— Przypomnij mi kogo! — szepnęła pani Stanisławowa do siostry.

— Kniaźnin! — rzekła zagadnięta.

W tej chwili dworzanin, będący na służbie, zameldował, że wysłany urzędnik chce zdać raport jego królewskiej mości.

Zamiast urzędnika ukazał się młody oficer, będący w straży królewskiej i rzekł, salutując.

— Według rozkazu jego królewskiej mości chłopiec, imieniem Iwo, należący do dworu jego książęcej mości, został odnaleziony i oczekuje w antykamerze.

— Gdzie? co? jak? — sypnęły pytaniami damy, zominając o etykiecie.

Oczy księcia Józefa zabłysły nieklamana radością; postąpił kilka kroków, jak gdyby chciał wybiedz dla ujżenia swego ulubieńca. Powstrzymał się jednak, czekając na rozkazy monarchy.

— Wprowadzić go tutaj! — rozkazał król.

Damy wydały okrzyk radości, zwracając wzrok uwielbienia na dobrotliwego monarchę.

Książę spojrział z wdzięcznością na ukoronowanego stryja i założywszy ręce, stanął w głębokiej framudze okna, patrząc niecierpliwie na drzwi, w których się miał Iwo ukazać.

Nie trzeba było nań długo czekać, znajdował się tuż w przedsionku. Przyznać też trzeba, że oficer i wogóle wysłańcy królewscy nie wiele w tej sprawie zadali sobie trudu. Iwo wprawdzie przesiedział w areszcie policyjnym całą dobę, po przybyciu jednak właściwego urzędnika i wysłuchaniu obwinionego o czyhanie na cudze dobro wśród nocy, przekonano się, że ten niebezpieczny włóczęga wcale nie miał zamiaru naruszenia publicznego porządku. Owszem, mógł nawet dopomódz do odnalezienia dziewczynki, o zaginienu której wszystkie władze zostały uwiadomione z dodatkiem, iż za odszukanie jej suta nagroda z rozkazu królewskiego została przeznaczona.

Urzędnik, badający chłopca, pilną nań zwrócił uwagę. Byłby go nawet może tak śpiesznie nie wypuścił, chcąc odeń mieć jak najlepsze wskazówki, lecz powoływanie się Iwona wciąż na księcia, zmuszały policję do jak najszybszego sprawdzenia tożsamości uniewinniającego się chłopca.

— Jak ci na imię? — spytał urzędnik.

— Iwo.

— Nazwisko?

Chłopiec wielkie oczy zrobił na pytającego, lecz nie odpowiadał.

— Czemu nie odpowiadasz! Jak się nazywasz? — zawołał surowo urzędnik.

— Nie rozumiem! — odrzekł z prostotą Iwo.

— Nie wiesz, jak się nazywasz? — spytał zniecierpliwiony urzędnik, a pacholek miejski, zbliżywszy się, miał ochotę pytanie poprzeć kulakiem.

— Iwo — powiedział chłopiec z przeświadczeniem.

— To imię, ale jak się twoi rodzice nazywają?...

— Nie wiem...

— Jak cię nazywano, gdyś przyszedł do jego książęcej gości?

— Książę, mój pan, wołał zawsze „Iwo“, a ci tam od koni nazywali mnie „Przybłęda“.

— Zapisać „Przybłęda“ — rzucił urzędnik sekretarzowi, spisującemu zeznanie.

Mrucząc coś pod nosem i zestawiając sobie całe zeznanie Iwona, polecił:

— Dwóch pacholków odprowadzi rzeczonoego Iwona Przybłędę do książęcej rezydencji, sprawdzi jego tożsamość, dowie się o jego sprawowaniu i zastrzeże sobie u zawiadującego służbą, dostawienie onego, gdy się okaże potrzeba.

Iwo nie bardzo pojmował, co urzędnik mówił, zrozumiał jednak, że jest wolnym.

— Pilnować, żeby nie uciekł w drodze! — przykazywał urzędnik.

— Mam wrócić do mego pana i miałbym uciekać! — pomyślał sobie chłopiec, a serce kołatało mu najwyższą radością.

W chwili więc, gdy Grzegorz zbierał się wysłać za mniemanym zbiegiem i kiedy wyszedł rozkaz królewski, aby szukano zaginionego, pacholcy wprowadzili go na podwórzec zamkowy, rozglądając się, komuby oddać powierzono im chłopca.



Oficer więc, który spełniał polecenie króla, nie bardzo się utrudził. Pozwolił Iwonowi tylko posilić się i przebrać i wziął do zamkowego przedśionka. Zabawił się też nieco wypytywaniem go, a gdy uznał, iż ubiegła godzina była dostateczną na wyszukanie zaginionego, oznajmił o nim monarsze.

Gdy Iwo wszedł do komnaty królewskiej, oczy jego spotkały się ze wzrokiem księcia. Nie zważając więc na otaczających, podbiegł i rzucił mu się do nóg, wołając:

— Panie, panie mój!

— Oh, que c'est charmant!

— Qu'il est reconnaissant! — zachwycaly się panie Potockie.

— Pocziwy jakiś dzieciak! — rzekła ich matka.

Lecz książę podniósł chłopca i rzekł:

— Jesteś przed majestatem królewskim, najjaśniejszemu panu podziękuj!

Iwo spojrzał osłupiałym wzrokiem na króla.

— Padnij do nóg najjaśniejszemu panu! — rozkazał książę.

Iwo spełnił rozkaz, lecz pomyślał sobie:

— Król!? — to taki król!? taki król!...

VIII.

L I S T.

Księżna marszałkowa Lubomirska, jako też obie jej córki, panie Potockie, szczerze się zajęły Iwonem, chociaż każdą inne względy kierowały ku temu.

Pani marszałkowa, jako matrona wielkich cnót i wielkiego miłosierdzia, rada była każdemu sierocie dopomódz, — pani Ignacowa Potocka upatrywała w nim bohatera i nieomal byłaby go pchnęła na rozmaite przygody, aby tylko życie jego mogło posłużyć współczesnym poetom do wysnucia bardzo nieprawdopodobnego, lecz bardzo rozczulającego utworu.

Pani Stanisławowa chętnie przystawała, ażeby Iwo został bohaterem powieści, pragnęła jednak pierwej dopomódz mu, ażeby przyrodzone swoje zdolności nauka rozwinął, w czem najzupełniej popierała myśl księcia Józefa.

Obiedwie dużo o przybłdzie opowiadały swym mężom, kłopotząc im głowę, co z protegowanym swym zrobić i jak go pokierować.

Że zaś hrabia Ignacy Potocki stał na czele Rady nieustającej, zasiadał w Komisji edukacyjnej i zajmował się

nakreśleniem planu dla szkół, poczynawszy od elementarnych; — musiał więc z urzędu wysłuchać wszelkich projektów małżonki, nie zgadzających się częstokroć z najprostszą nawet logiką.

Pan Stanisław Potocki również zasiadał w Radzie nieustającej, przygotowywał się do wzięcia czynnego udziału w mającym rozpocząć się sejmie, nie przeszkadzało to jednak jego żonie do opowiadania przy każdej sposobności o niezwykłym pastuszkach i wykładania, że najpilniejszą sprawą ze wszystkich jest zajęcie się jego losem.

— W przyszłości może to być doskonała głowa i wielka podpora dla Rzeczypospolitej; obowiązkiem więc jest panów radnych nie dać zaginać tym wielkim zdolnościom i niepospolitemu charakterowi.

— Tak! tak! — odpowiadał małżonek, myśląc najczęściej o czemś innym.

Książę Józef, zajęty rzeczywiście ważnemi sprawami, znalazł zawsze chwilę na zamienienie kilku słów z oddanym sobie chłopcem. Namyslał się jednak, co z nim zrobić, gdzie go oddać, gwoździł wyrobienia z niego w przyszłości dzielnego żołnierza.

I wśród tego wszystkiego Iwo mógł być rosnąć jak najpospolitsza dziczka, lub zepsuć się do szczytu pomiędzy królewską i książęcą służbą, gdyby król nie zagadnął raz synowca:

— A cóż się dzieje z twoim pastuszkiem?

— Czekaj na łaskę waszej królewskiej mości! — odrzekł książę.

— Cóż chcesz, żebym z nim zrobił? — spytał stryj.

— Wasza królewska mość obiecał szkołę wojskową...

— Ależ do korpusu kadetów przyjmują dopiero od szesnastego roku życia i to szlachtę, a twój pastuszek jest dzieciak, czytać nie umie! — rzekł król nieco zniecierpliwiony.

Księciu nagle rozświeciło się w oczach.

— Przebac mi, stryju kochany, — pragnąłem mego wybawcę jak najprędzej na wojaka wykierować i zapomniałem, że chcąc budować dach, trzeba najpierw fundamenty założyć.

Król, rozbrojony tem przyznaniem się do winy, uśmiechnął się łaskawie i rzekł:

— Zawsze byłeś, mój Pepi, roztrzepańcem!

— Zacznijsz więc, mój generale, budować fundament. Oddaj twego ulubieńca do szkoły elementarnej, a sam zajmij się położeniem innych fundamentów — kończył monarcha.

— Do twarzy ci w generalskim mundurze! — dodał, spoglądając z przyjemnością na chylącego się do jego ręki synowca.

Mundur ten, książę Józef włożył po raz pierwszy. Jakkolwiek upłynęło już blisko dwa tygodnie od jego powrotu, na zrobienie jednak mundurów trzeba było czasu, ile, że król kilkakrotnie zmieniał w nim niektóre szczegóły, lub dodawał. Podziwiać należy, skąd monarcha miał czas na takie drobiazgi. Zajmował się przecież bądź co bądź sprawami kraju; mający za dni kilka rozpocząć się

sejm przysparzał również pracy, sprawy literackie i naukowe leżały mu na sercu, szczegóły jednak ubrania uważał za tak ważne, iż żadnego nie zostawił na uboczu, — żadnego nie pominął.

Tutaj zaś wyjątkowo pragnął, ażeby wszystko było wykończone według raz nakreślonego planu.

Synowiec przedstawił się w całym blasku, a urodą i dzielnością postawy olśnił Komisyę wojskową.

Każde więc naszycie na granatowym, z pasowemi wyłogami i złotym haftem, krótkim obcisłym mundurze, naszycie na rękawach, szlify i akselbandy, jako i pendent do szpady był poddawany pod ścisły rozbiór jego królewskiej mości.

Teraz stryj-król z wielkiem upodobaniem patrzył za odchodzącym, któremu rzucił na drogę z pobłażliwym uśmiechem miano roztrzępańca.

W tej chwili jednak ksiązę Józef najmniej na to zasługiwał; twarz miał głęboko zamyśloną i niespokojnie tarł trzy pierwsze palce u lewej ręki, co było dowodem, iż myśl powziętą pragnie w czyn jak najprędzej wprowadzić.

Zaledwie jednak przeszedł salę przytykającą do królewskiego buduaru, w którym stryj raczył z nim poufnie rozmawiać, dogonił go służbowy oficer i salutując, oznajmił:

— Jego królewska mość wzywa waszą ekscellencyę z powrotem...

Małe zniecierpliwienie przebiegło po twarzy młode-

go generała, lecz był to błysk zaledwie. Gdy wszedł do buduaru królewskiego, miał już uśmiech ujmujący i twarz wypogodzoną.

— Dziś podczas obiadu polecę twego wychowanka naszemu historykowi, on zawsze ma pod ręką kogoś z młodych początkujących pedagogów, któremu powierzymy przyszłego kadeta — rzekł król, przypatrując się znów synowcowi.

— Jeżeli łaska jego królewskiej mości! — odparł ksiązę z ukłonem.

W duszy jednak pomyślał:

— Wolałbym go oddać do której ze szkółek parafialnych... pomówiwszy jednak z księdzem Naruszewiczem, pogodzimy tę sprawę! — pocieszał się ksiązę.

— Jutro zaraz twój ptaszek rozpocznie żywot ucznia — dodał król, wstając.

Synowiec złożył ukłon dziękczynny i śpiesznie się oddalił.

Na ten raz nie zwrócono go z drogi.

Gdy przybył do bocznego skrzydła zamku, które miał przeznaczone na mieszkanie, Grzegorz, pełniący wciąż przy nim służbę i nie dający się łatwo wyrugować, rzekł z poufałością starego sługi:

— Naznosili tu listów... będzie ich bodaj parę tuzinów, cały pokój od nich przepachniał!

To mówiąc, wskazał na biurko, na którym obok rozmaitych urzędowych korespondencyi widniało kilka listów z pięknego delikatnego papieru, złożonych bardzo misternie, lub zwiniętych w tutkę kilkakroć przegnićcio-

ne. Z tych właśnie wydziela się owa woń mocna i odurzająca, która rzeczywiście cały pokój przepelniała.

Subtelne i wrażliwe powonienie łatwo odróżnić mogło rozmaite zapachy, każda bowiem z dam używała innych perfum, któremi i papier był przesiąknięty.

Dominował jednak zapach róży, wśród którego unosił się zapach lawendy i rozmarynu.

Książę nie potrzebował otwierać listu, ażeby dowiedzieć się, przez kogo był pisanym, zapach mu o tem powiadał.

Sięgnął ręką po tutkę, woniejącą różą i rozwinawszy ją, wyczytał:

...Nim małżonek mój zdecyduje się na umieszczenie w jakiej szkole protegowanego jego książęcej mości, — mam doskonałego nauczyciela, którego w każdej chwili mogę mu przedstawić. Jest to Francuz, co tylko przybyły ze swej straconej wewnątrzni rozruchami ojczyzny, który, sądzę, doskonale się wywiąże ze swego zadania.

Hr. Ignacowa Potocka.

Książę wzruszył ramionami i odrzucił z niechęcią bilecik.

Sięgnął po drugi i tak samo go odrzucił.

Kilka innych tenże sam los spotkał.

— Jakiż brak logiki, a nawet najprostszego zrozumienia rzeczy. One wszystkie takie! Pastucha chcą uczyć po francusku! — dodał, zabierając się do czytania listów urzędowych i wielu innych.

Były to sprawozdania dzienne z pułku, — były prośby o protekcję do króla, — rachunki z zarządu dóbr, któremi był z łaski stryja obdarzony; najwięcej jednak było prośb o przyjęcie do pułku, na czele którego stanął.

Były to prośby ochotników, pragnących służyć pod rozkazami młodego bohatera, którego sława rozeszła się bardzo szybko, jako też i wieść o jego dobroci względem lwona, o której Grzegorz szeroko rozpowiadał każdemu, kto tylko dawał powolne ucho.

Stary takie miał przywileje, że i teraz, Kiedy książę zajęty był czytaniem, Grzegorz, chociaż usunął się do drugiego pokoju, zwanego szatnią, nie zamknął jednakże drzwi za sobą, tylko krzątając się, spoglądał na swego panicza, jakgdyby z jego twarzy chciał zrozumieć treść odebranych papierów.

W miarę też rozmaitych uczuć, jakie pod wpływem czytania ukazywały się na twarzy księcia, i twarz starego sługi podobny przybierała wyraz.

Kiedy więc książę odrzucał pierwsze listy z niechęcią, Grzegorz robił ruch ręką, jakby odrzucał irchę, którą wycierał złote ostrogi.

Raz nawet ujrawszy, że książę prawie z gniewem cisnął jakieś pismo, tak się przejął tem oburzeniem, iż machnąwszy ręką, wypuścił ostrogę. Upadła z brzękiem i narobiła hałasu. Książę nasrożył się i spojrzał z niezadowolaniem. Wtedy Grzegorz, jak skarcone dziecko, schował się za drzwi, przymknął je, podniósł ostrogę, a przekonawszy się, że nie uszkodzona, zaczął ją karcić po swojemu:

— Potrzeba ci to było robić tyle hałasu! jakbyś się była złamała, byliby cię wsadzili w ogień... świecie wsadzili! Ale to pogański pazur, turecka jucha, wyśliźnie się i już.

— Nie będziesz mi się ty świecić, ty łbie tatarski! — mówił dalej, trac ją z całej siły.

I wysunawszy się na swój punkt obserwacyjny, spoglądał znów na czytającego.

— Teraz to z pewnością list od tego rymarza z Piwnej, co chce syna na żołnierza wykierować... czy go też przyjmie... ba, czemużby nie! Chłopak jak świeca, bary jak cepy... jakby nie... to już ja w tem... byleby tylko na dobry humor trafić!

Książę, odłożywszy znów jakieś pismo, wziął list bardzo niezdarnie złożony, zaadresowany wielkimi literami, dziecinnyim niewprawnym charakterem, którego czerwone litery porozlewały się, tworząc trudną do od czytania mozaikę.

— Aha, to ten list przyniósł Jasiek od rymarza, ale nie chciał powiedzieć od kogo, jeno o swoim mi rozpowiadał — mruknął stary.

I wyszedłszy po cichuteńku, postawił na małym stoleczku w kącie parę butów, do których przytwierdził świeżo wyczyszczone błyszczące ostrogi. Postawił i spoglądał ciekawie na swego pana, udając, że poprawia coś koło wysokich cholew i żółtych sztylpów.

Książę tymczasem, przypatrzwszy się adresowi, list rozpieczętował.

Zaledwie nań rzucił okiem, twarz jego rozjaśniła się

uśmiechem, a w miarę czytania uśmiech, połączony ze zdziwieniem, malował się na twarzy.

Najdroższy i wielce przezemnie uwielbiony
Książę Panie Dobrodzieju!

„Jestem bardzo nieszczęśliwa, siostrę moją, Justysię, ukradli jacyś źli ludzie; — chciałabym ją odszukać, ale mi wychodzić z domu nie pozwalają. Proszę więc kochanego księcia dobrodzieja, aby mnie przyjął do wojska, do swego pułku. To nic, że jestem dziewczynka; jestem duża, — przebiore się po męsku, będę dobrym żołnierzem i będę mogła szukać Justysi. Ja ten list piszę pokryjomu, — niech kochany pan książę nie powie przed mamą, a niech mi odpisze, kiedy mogę wstąpić do wojska. Bardzo kochanego pana księcia proszę o odpis.

Jako zawsze grzeczna i kochająca

O l i m p k a P o k r z y c k a.

1-e post scriptum. List ten piszę krwią z serdecznego palca, który związałam nitką i nakłułam, ażeby kochanemu panu księciu pokazać, jak serdecznie pragnę, ażebym jak najprędzej została do wojska przyjęta.

2-e post scriptum. Niech się kochany pan książę nie gniewa, że tak brzydko piszę, ale mi ręka drży, tak się boję mamy dobrodziejki, a po drugie, krew nie chce ściekać z pióra, a lży mi kapią na papier.

O l i m p k a.

Książę, czytając ten list, wciąż się uśmiechał. Znać

jednak, że ta naiwność, pełna serdecznej prostoty, podobiała mu się, a nawet rozczułiła, bo przebiegł list raz jeszcze, a na jego twarzy obok uśmiechu ukazał się wyraz smętny i rzewny.

Teraz już Grzegorz nie wiedział, co to znaczy; z początku uśmiechał się tak samo, jak i pan, w końcu, widząc ów wyraz rzewności, nie mógł go pochwycić; zamyslił się więc tylko i dotykając palcami czoła, pomyślał:

— Od kogoby mógł być ten list, od kogo?

W tej chwili zapukno do drzwi bardzo delikatnie.

Grzegorz, dla którego przymusowa blisko godzinna cisza stawała się nieznośną, pośpieszył, ażeby się przekonać, kto ją nareszcie przerywa.

— Ale, — książę pan zajęty... myślisz, że to tak, jak w obozie, albo w drodze, coście leżli o każdej porze, a panisko się nie gniewa! — mruczał stary przez uchylone drzwi do przybysza.

— Kto tam? — rzucił książę, nie odwracając się od biurka.

— To proszę pan... te... jego eksellencyi. — Iwo...

— Gdzie jest? Niech wejdzie!... — rzucił książę i odwrócił się ku wchodzącemu.

Twarz chłopięcia wybielała już i zaokrągliła się nieco, lecz drobna jego szczupła postać w szaraczkowej, z zielonemi wyłogami kurtce, wydawała się jeszcze mniejszą, niż wtedy, gdyśmy go w zgrzebnej spotkali koszuli. Oczy tylko patrzyły śmiało, bez najmniejszej obawy, owszem, z wielką przenikliwością.

Podniósł je teraz na księcia z zachwytem, z jakim zawsze na niego spoglądał. Nagle jednak oczy te skierowały się w ciemny punkt pokoju, gdzie świeciły stojące na stolku buty z błyszczącemi złotemi ostrogami.

Jakie uczucia zrodziły się w tej chwili w sercu chłopięcia i zamigotały w jego ciemnych źrenicach, ani on sam, ani nikt nie umiałby wypowiedzieć.

Serce mu nie kołatało, lecz wprost trzepotało się jak ptak z gniazda spłoszony; kolana pod nim drżały, a wyrazy, które miał wypowiedzieć, uwieźły mu w gardle głęboko.

— Czego chcesz, mały? — spytał książę łagodnie, przypatrując się drobnej postaci swego wybawcy.

— Rzeczywiście, na kadeta za mały... do szkoły elementarnej prawie. Ale, czy będzie z niego kiedy żołnierz?... — przemknęło jak błyskawica przez myśl młodego generała.

— Czego chcesz? — powtórzył, nie mogąc się doczekać, ażeby jego protegowany wykrztusił jakiś wyraz.

Chłopiec wstrząsnął się, jak gdyby chciał zrzucić z siebie myśl, która go się uparcie czepiała.

— Jego ekscellencja nie ma czasu, mów! — szepnął Grzegorz, potrząsając go za ramię.

— Mów śmiało! — zachęcał książę.

Chłopiec podniósł wzrok na księcia i wykrztusił:

— Przyszli po mnie, żebym powiedział, com widział tam nad rzeką... o tej dziewczynie...

I zaraz, jakby go co ciągnęło, przeniósł znów wzrok na błyszczące ostrogi.

— Kto przyszedł? — spytał książę.

Lecz chłopiec, jakby nie słyszał pytania, wpatrywał się chwilę jeszcze w przedmiot błyszczący, a potem upadł do nóg księcia, wołając:

— Przebacz mi, panie! przebacz!

— Co takiego? — spytał książę.

A Grzegorz wzruszywszy ramionami po swojemu, odwrócił się i szepnął:

— Ten bestya zawsze komedye wyprawuje!

Chłopiec leżał u nóg księcia i szlochał, drżąc na całym ciele.

— Czego on chce? — rzucił książę.

Grzegorz uważał za stosowne wmieszać się w tę sprawę. Zbliżył się więc do leżącego wciąż u nóg księcia i podnosząc go, zwołał:

— Nie zajmuj czasu jego ekscellencyi! Gadaj! czego chcesz?!

Chłopiec stał teraz, słaniając się i gdyby nie silna dłoń Grzegorza, kto wie, czyby znów nie runął na ziemię.

Podniósł wreszcie twarz zalaną łzami i rzekł wyciągając dłonie:

— Miłościwy panie, miłościwy panie... jam nie godny waszej dobroci... jam was chciał okraść!...

— Oo! oho! — zawołał Grzegorz, kiwając głową i patrząc na księcia z takim wyrazem, jakby chciał powiedzieć:

— A co, nie mówiłem?

Książę jednak nie zwracał uwagi na ten niemy wy-

rzut starego sługi, tylko, zbliżywszy się do chłopca, położył rękę na jego głowie i rzekł łagodnie:

— To źle, mój mały! ale powiedz, jak to było?

— Gdyście leżeli tam, na pobojoisku, a ja myślałem, że już życia w was niema, chciałem zabrać o te!... —



zawołał, wskazując na patrzące nań z ciemnego kąta złotym blaskiem ostrogi. — Próbowałem odjąć i gdybyście nie drgnęli, dziś byłbym złodziejem, szkaradnym złodziejem!...

No, mój mały, pokonałeś się, nie wzięłeś ostrogi, a ocaliłeś mi życie, — nie masz więc czem się trapić — rzekł książę z uśmiechem.

Lecz Iwo nie słuchał zgoła jego mowy, tylko chwyciwszy się oburącz za głowę, wołał z rozpaczą:

— Ach, te ostrogi, te ostrogi! — powtarzał, zapominając do kogo mówi i gdzie się znajduje.

— Tak ci się podobają? — spytał książę zdziwiony.

— Ja nie wiem, czy mi się podobają, ale od owej chwili ciągle mi stają na myśli. Gdzie się tylko obróce, wszędzie je widzę, a teraz, gdy tu wszedł, zaraz je spostrzegłem; serce mi zakolatało i przebac mi, przebac, excellencjo! jakieś złe poczęło mi szeptać: „musisz mieć złote ostrogi“.

— To chyba nie złe, lecz dobre ci szeptało, mój mały! — rzekł książę. — Możesz sobie zdobyć złote ostrogi, ale trzeba, żebyś był dzielny żołnierzem. W bitwie możesz odnieść zwycięstwo, odznaczyć się znakomitą czynem, choćby z największym narażeniem życia. Rozumiesz mnie, mój chłopcze? — dodał książę.

Iwo patrzył rozszerzonymi oczami na mówiącego, w końcu padł mu znów do nóg i wołał:

— Życie swoje oddam... oddam, ale...

I urwał nagle.

— Ale co? — spytał książę zainteresowany tem naiwnem serdecznym wyznaniem swego wychowanka, jako też i gorącym pragnieniem złotej ostrogi.

— Ale, ja wiem, że książę pan mój nie tylko dla złotej ostrogi walczył! I ja... ja chciałbym tak samo!... — wołał chłopak, czepiając się nóg swego pana.

— Oh, oh! patrzcie go! no, no!... pozwolić kurowi grzędę! — mruczał Grzegorz.

Lecz książę rzekł wzruszony:

— Piękne i szlachetne masz myśli, mój mały! a teraz wstań i słuchaj: od jutra zaczniesz się uczyć!...

— Zaczne się uczyć? — zawołał Iwo i twarz jego rozjaśniła się takim rozradowaniem, że radość ta odbiła się w szlachetnem sercu jego dobroczyńcy, który sobie pomyślał:

— Będzie z niego człowiek!

— Juści, juści!... zamiast się ubierać to bajdurzy, Bóg wie co! Zawsze jednakowy, choć ostatnią koszulę odda, byleby drugim dopomódz! — mruczał wciąż pod nosem Grzegorz.

Lecz mimo marsa, jakiego nastawił, znać było w nim zadowolenie.

W tej chwili zapukano do drzwi.

Grzegorz znów je uchylił.

— Domin melduje, że już drugi posłaniec przyszedł z ratusza, żeby Iwo siedł na świadka—rzekł stary, oznajmując.

— A, prawda... Domin! — zawołał książę.

— Idź z nim i oddaj tę kartę! — dodał, nakreśliwszy następujące wyrazy:

„Iwo, chłopiec nieznanego nazwiska, zostający pod moją opieką, stawia się na każde żądanie prześwietnej komisji.“

Po zbadaniu proszę go odesłać do służby.

X. Józef Poniatowski
gen. lejtnant.

IX

OPOWIADANIE IWONA.

Iwo, zaopatrzony kartą jego książęcej mości, stał się od razu ważną osobą. Spoglądano nań z pewnem uszanowaniem, a w komisji, zasiadającej w sprawie o zaginioną imci pannę chorążankę, Justysię Pokrzycką, naradzano się długo, czy chłopca poleconego przez jego książęcą mość, nazywać „Przybłądą“.

— Trzeba mu jednak dać nazwisko, a że jego ekscelencya wymienia wyraźnie: „niewiadomego nazwiska“ cóż więc zrobimy?

— Hm, hm?!

Zapytano dokoła z pewnem powątpiewaniem.

— Sądzę, iż nie obrazi to jego książęcej mości, że jego protegowany urzędownie nosić będzie nazwisko „Przybłąda“ jeżeli przy pierwszym badaniu sam podał takowe — rzekł wreszcie pan komisarz.

— A, a!

— A, a! — potwierdziło otoczenie.

— A więc, Iwone Przybłądo, powiedz co to byli za ludzie, których widziałeś w nocy z dnia 18 na 19 września, niosących dziewczynkę i dokąd się udali.

— A skądże ja mogę wiedzieć, co to byli za ludzie i dokąd się udali, kiedy ich nie znam — odrzekł chłopiec.

— Czemużeś zaraz nie dał znać, jeżeliś widział, że nieśli dziecko i słyszał, że ono krzyczało? — zapytał znów przewodniczący.

— Nie wiedziałem, komu o tem powiedzieć, chciałem biedz za nim, ale mnie złapano i wsadzono do kozy! — odpowiedział coraz śmiejiej mały świadek, czując teraz za sobą opiekę księcia.

— Byłby ją znalazł! byłby ją znalazł! Czemuż go schwytano! — jęknął głos nieszczęśliwego ojca, który był przytomny każdemu badaniu i czepiał się każdej myśli, mogącej naprowadzić na ślad zaginionej.

— Ależ mości Chorąży, nie trzeba ufać jakiemuś przybłądzie! Bóg wie, może był z nimi w zмовie i umyślnie kręci! — szepnął mu Mroczek.

Lecz strapiiony ojciec nie zwracał uwagi na przygodnego przyjaciela, który się go wciąż trzymał, tylko wstawszy, zawołał:

— Prześwietny panie Komisarzu, pozwól mi zbliżyć się do małoletniego świadka i zadać mu kilka pytań!

— Proszę! proszę!

Chorąży, wyszedłszy z ławy, zbliżył się do stojącego pokornie przed sędziami Iwona i spytał:

— Czy mógłbyś mnie poprowadzić tą drogą, którą szli ci ludzie, co uprowadzili moją córkę? — spytał ojciec.

— Chętnie pójdę!

— Jeżeli ją odnajdziesz, dostaniesz sutą nagodę! — dodał.

— Ja nie chcę nagrody! — mnie jej tak było żal, że poszedłbym na koniec świata; — opuściłbym nawet mojego kochanego księcia, byleby odebrać tę dziewczynkę, co tak krzyczała! — zawołał Iwo z całą szczerością, patrząc śmiało w oczy pytającemu.

— Poczciwy dzieciak!!! — szepnął Choraży — pójdziemy!

— Jaśnie wielmożny pan pozwoli, że obecnemu tu małoletniemu świadkowi zadamy jeszcze kilka pytań! — ozwał się prezydujący.

Choraży musiał się zgodzić i stojąc obok badanego, w milczeniu mu się przypatrywał.

Lecz wszelkie pytania, które były tylko powtórzeniem zadawanych mu już kilkakrotnie, nie rozjaśniły sprawy i nie naprowadziły na ślad zaginionej. Wszelkie też poszukiwania, rozsyłanie ludzi na wszystkie strony, obiecywanie sutej nagrody, były również bezowocne.

Gdy już badanie skończono, Choraży wziął za rękę Iwona i rzekł:

— Prowadź!

Zaledwie jednak wyszli z sali, zbliżył się do nich Domin.

— Przepraszam imci pana dobrodzieja, ale jego excellencya, książę Józef Poniatowski, a pan mój dał pismo zabezpieczające tego oto chłopca, za którego całość odpowiadam całą moją osobą.

— Nic mu się też złego nie stanie, odprowadzisz go niebawem — rzekł Choraży. — Za oczekiwanie masz tu sobie! — dodał, wyjmując tynfa.

Domin czuły był na monetę, uśmiechnął się więc bardzo przyjemnie i już miał wyciągnąć rękę po datek, gdy spotkał roziskrzony wzrok Iwona.

Zawstydził się jakoś tego spojrzenia i rzekł:

— Ii, poczekam bez wszystkiego!

Pomyślał jednak sobie:

— To ci sztuka z tego Przybłędy! Zdaje mu się, że jest księciem!

Głośno zaś dodał:

— A gdzież mam czekać?

— Idziemy tam nad rzekę, tam gdzie to widział onych ludzi! — objaśnił Iwo.

— To chyba i ja pójdę, bo gdzież cię spotkam.

Choraży był tak przygnębiony, że nawet nie zwracał uwagi na ich rozmowę. Po chwili jednak zaczął rozpytywać Iwona, który nie mógł mu nic innego powiedzieć, jak to, co już tyle razy powtarzał.

— Tak rozmawiając, zaszli nad Wisłę. Iwo pokazywał parkan, przy którym szli owi ludzie, nareszcie wydłame nad Wisłą, skąd usłyszał krzyk dziecka.

Dalej jednak nic już nie wiedział. Ślady po owych ludziach dawno już wiatr zasypał i deszcze splukały.

Stał chwilę na tem miejscu Choraży, patrzył na przelewające się fale rzeki, — na tratwy, posuwające się wartko po jej wezbranych w tej chwili wodach, — na zbrukany piasek przy brzegu i gromadę dzieci wylawiających z błota rozmaite odpadki. Patrzył wzrokiem, który usiłuje dożyć upragniony przedmiot, lecz tego, co go otacza zgola

nie widzi. Wreszcie, budząc się z odrętwienia, westchnął i rzekł:

— I tu jej niema! pójdźmy.

I tak w milczeniu szli jakiś czas pod górę, aż nareszcie siedli na kłodzie drzewa, których moc nad rzeką leżało.

Choraży nie puszczał ręki Iwona. Zdawało mu się, że ten chłopiec, który widział choć zdala jego ukochaną Justysię, jest jakimś łącznikiem czy drogowskazem, przy pomocy którego ją odnajdą.



Iwo też ze swojej strony tak był przejęty całą tą sprawą, tak mu żywo stanęła w pamięci owa straszna noc i krzyk przeraźliwy dziewczynki, iż widząc zrozpaczonego jej ojca, bolał z nim razem, szukając w swej nieudolnej głowie wyrazów, któreby mógłby go pocieszyć.

— Przecież ona musi się znaleźć! — rzekł wreszcie z taką pewnością, jak gdyby miał już po nią tylko sięgnąć ręką.

— Skąd wiesz? — zapytał nieszczęśliwy ojciec.

— Bo, bo przecież i książę i król już wie o tem! — odrzekł na poparcie swoich, niczem nieuzasadnionych, wyrazów.

— Pójdź do nas, opowiesz to wszystko, coś mi mówił, jejmość pani chorażynie, żonie mojej, może się choć trochę uspokoi i nabierze otuchy.

I wstawszy, pociągnął za sobą Iwona.

Domin, który, przysiadłszy na drugim końcu leżącej kłody, słuchał w milczeniu rozmowy, ozwał się teraz:

— Ależ ja mam go odstawić do zamku!

— Mój przyjacielu, ja go sam odprowadzę, bądź o niego spokojny! — upewnił Choraży.

— Ba, kiedy książę pan nie kazał go na krok odstępować! — rzekł Domin.

Nie oponował jednak i poszedł za Iwonem.

— Widzicie go! ten pastuch, co nawet porządnej koszuli na grzbiecie nie miał, gotów teraz wyjść na panieicza! — mruczał Domin.

— Przybłęda jakiś, przywałęsało się to, Bóg wie skąd, nie umiało to stanać, ni po ludzku zagadać, a teraz po równi z panami, a wszystkiemu winien nasz książę, za pan brat z nim... to tak u nas zawsze! — dodał w myśli, naśladowując gderanie Grzegorza.

— Eh, mój Boże, jednemu szydła gołą, drugiemu i brzytwy nie chcą! Ja teraz bodaj u niego za pacholka! — zakończył swe myśli, wzdychając.

Jakoż właśnie doszli na Piwną i gdy Domin pozo-

stał w izbie ze służbą, Iwo wprowadzony przez Chorażego, wszedł do pokoju.

Chorażyna siedziała, jak zwykle od zaginięcia córki, z utkwionemi w ukrzyżowanego Chrystusa oczami, ręce miała splecione, a usta powtarzały modlitwę. Powtarzały, lecz w sercu jej zrobiła się taka pustka, że nawet na gorące słowa modlitwy zdobyć się nie mogła. Postarzała też biedaczka przez ten czas niezmiennie. Z hożej, kwitnącej wesołością i zdrowiem niewiasty zrobiła się prawie staruszka. Czepiec nasunięty na czoło, suknia byle jak włożona, jupka, którą się owinęła, jakby ją wciąż zimno ogarniało, a przedewszystkiem zgnębienie, malujące się w całej postaci dodawało jej lat nie mało. Na wchodzących nie zwróciła nawet uwagi, dopiero siedząca u nóg jej Olimpka podniosła na nią oczy i rzekła:

— Mateńko, ojciec przyprowadził jakiegoś chłopca!... I wpatrzyła się z ciekawością w przybyłego.

— Przyprowadziłem chłopca, który widział, jak uprowadzali naszą Justysię.

— Jak?! co!? mów! — zawołała nieszczęśliwa matka.

I zerwawszy się, pochwyciła za obie ręce przybyłego.

— Mów! mów! ja pójdę, odbiorę, — wołała, opadając znów na krzesło, lecz nie puszczaając rąk Iwona.

— Gdzieś ją widział!? — spytała, stojąc przy nim Olimpka.

Przybiegła też zaraz Kumosia, Ambroży i kto

tylko żył ze służby, każdy nastawiał ucha ciekawie, nawet Domin ośmielony ogólnem zamieszanem, uchylił drzwi i spoglądał na otoczonego ze wszystkich stron Iwona.

Zaczął się znów opowiadanie tych samych szczegółów, które chorażyna przerywała wciąż wołaniem:

— Znajdź ją, znajdź, chłopcze, wszystko co mam, oddam ci za moją Justysię.

— Niech jejmość dobrodziejka nie płacze przy pomocy Bożej znajdzie się, znajdzie Justysia. Nasz książę pan taki dobry, a taki odważny, on sam chyba pójdzie jej szukać! — upewniał w swojej naiwności chłopiec.

— A widzi mama, widzi mama! Ja mówiłam, że byleby książę Józef chciał poszukać, zaraz odnajdzie Justysię! — przerwała Olimpka.

W duszy zaś dodała:

— Już ja go prosiłam, i ja z nim pójdę!

I oczy świeciły jej niezwykle blaskiem.

— Już ja wiem, że nasz pan pójdzie jej szukać — ciągnął dalej Iwo — on taki dobry! I mnie takiego biedaka wziął z sobą, nauczył mowy, którą moja matka mówiła.

— Jakto, co?! — spytał Choraży.

A Olimpka przysunęła się jeszcze bliżej mówiącego i usta na poły otworzyła, jak gdyby tem chciała sobie dopomódz do lepszego słuchania.

Iwo zaczął znów opowiadać znane nam już szczegóły, wspominając wciąż o matce, która na widok chorażyny i tulącej się do niej Olimpki stanęła mu teraz jesz-

cze żywiej w pamięci. Pamiętał, jak z nim uciekała z jakiegoś domu, gdzie wszyscy byli dla nich niedobrzy; mówili tak, że ich matka nie rozumiała, a potem bili okrutnie.

— Matka wzięła mnie jednej nocy na ręce i uciekła daleko, daleko! nie pamiętam, jakeśmy się wydostali, bo spałem wtedy. Gdym się obudził, leżeliśmy w zaroślach w rowie, ja począłem płakać, ale matka kazała mi być cicho i pójść zaraz za sobą.

— Toś już umiał chodzić!? — spytała Olimpka.

— Duży już byłem chłopiec i rozumiałem co się koło mnie dzieje — mówił dalej Iwo. — Matka mnie pieściła i uczyła pacierza, ale wtedy ciągle płakała i ja płakałem, bo byłem głodny, ale płakałem cichutko.

Tak szliśmy wciąż, a straszne było gorąco. Matka chciała mnie nieść, ale nie miała siły i upadliśmy oboje w wielkim lesie pod drzewem.

— Biedna matka! — westchnęła chorażyna.

Westchnienie również wydobyło się z piersi całego otoczenia.

— Aż jednego dnia obudziłem się w chacie u tego gospodarza, od którego z księciem uciekłem. Płakałem za matką, pokazano mi, że matkę w dół schowano, zacząłem jeszcze bardziej płakać, wtedy gospodyni i stara Oryna głaskały mnie i dawały mleko. Ale ja wciąż płakał i mowy ich nie rozumiał, a oni śmieli się z tego, com do nich mówił!

Przestał na chwilę i lzy zabłysły w jego oczach. Rozrzewniona chorażyna położyła rękę na jego głowie.

Choraży ze wzrastającym zajęciem spoglądał to na opowiadającego, to na żonę, którą przecież cośkolwiek rozbudzało z niemego odrętwienia, w jakim wciąż pozostawała.

— A potem, potem, rozumiałem ich mowę — mówił po chwili Iwo — ale tej mowy, którą matka mówiła, zapomniałem zupełnie. Z początku mówiłem pacierz, wykrzykiwałem rozmaite wyrazy i śpiewałem pieśń, którąśmy z matką śpiewali, ale potem, potem, gdy się ze mnie inni przy bydle śmieli i pokazywali na czoło, że mągli, przestałem śpiewać, przestałem wymawiać wyrazy, tylko pacierz mówiłem codzień... I tak powoli zapomniałem mowy matki mojej — mówił dalej, smutnie kiwając głową.

— Ale nie! jam jej nie zapomniał! — zawołał nagle. — Ta mowa była tu głęboko schowana w piersi mojej, a gdy usłyszałem mówiącego księcia, zaraz ją odnalazłem tę ukochaną mowę, — mowę matki mojej... — wołał coraz goręcej, wyciągając ręce przed siebie, jak gdyby tam, gdzieś daleko widział cień tej ukochanej rodzicielki, która mu zostawiła najpiękniejszą i najdroższą spuściznę.

— Mowę i modlitwę!

Chorażyna słuchała go z wrastającym zajęciem, zdawało się, iż słuchając tego prostego opowiadania, zapomniała na chwilę o swoim cierpieniu, wreszcie rzekła:

— Ja ci teraz będę matką!

I przygarnęła chłopca do siebie.

Iwo przytulił się do niej i lzy rzewne twarz mu zalały.

Choraży patrzył na całą scenę wzruszony, targając niecierpliwie wąsa.

— Będę dla ciebie bardzo dobrą siostrzyczką! — ozwała się Olimpka.

— Zostaniesz zaraz u nas! — dodała.

— Nie, panienko, nie, pani moja!... książe mnie wziął. on moim panem, ja go nie odstąpię! — rzekł Iwo, — smutnie potrząsając głową.

Wszyscy wzruszeni ocierali lzy z oczu, nasłuchując jednak ciekawie, jak się to wszystko skończy.

Nawet Domin z za uchylonych drzwi, cały zasłuchany w opowiadanie Przybłedy, zapomniał o swojej ku niemu niechęci i refleksyach przed chwilą czynionych.

— Więc nawet tej pociechy mieć nie będę!... on ostatni słyszał głos naszej Justysi... chciał ją ratować... on by ją może odszukał!... — mówiła przerywanym głosem chorażyna.

— Książe Józef nam ją odnajdzie! — rzekła Olimpka — niech matuchna będzie spokojna, już ja wiem, że ją odnajdzie! — upewniała dziewczeczka z wielkiem przeświadczeniem.

— Skąd wiesz o tem? — zawołała matka, chwytająca się każdej myśli, w której choć błysk widziała nadziei.

— Hm, widzi matuchna... ja wiem... to jest... słyszę, że on jest bardzo dobry i gdy go poprosić, zaraz uczyni... — mówiła, jaskając się, Olimpka.

— Przecież on musi wiedzieć o naszym nieszczęściu,

cały świat już chyba wie o niem! — mówiła rozbolełym głosem matka.

— Czasem Bóg przez usta dziecka nasuwa myśl dobrą! — dodała.

— Pójdę, padnę do nóg królowi, księciu, błagać ich będę, żeby nie żalowali trudu! — zawołała, zrywając się, jak gdyby biedz chciała dla spełnienia swej myśli.

Lecz Choraży ujął ją za rękę i rzekł łagodnie:

— Król jest już o tem powiadomiony, książe również. Król wyznaczył nawet sutą nagrodę za ujęcie zbrodniarzy; na najbliższej sesji sejmowej sprawę tę poruszą i w całym kraju a nawet za granicą szukać będą naszej zguby! Ufaj mi, kochana moja Kornelko. Nie szczędzę trudów i starań! — mówił nieszczęśliwy ojciec, przytulając do piersi zbolełą głowę żony i gładząc ją po zmizerowanej twarzy.

— Ale tak, tak, matuchno! Książe Józef z pewnością jej szuka — przekonywała Olimpka, mrugając oczkami i rumieniąc się po same uszy.

— Uspokój się, uspokój! odpocznij chwilkę, pójdę do księcia, może Iwona będziemy mogli wziąć do siebie! — uspokajał dalej małżonek, obiecując jej wszystko, jak choremu dziecku.

Teraz jednak chłopiec musi odejść do swego pana, i tak przetrzymaliśmy go za długo! — dodał, zwracając się do Iwona.

Nastąpiło tak serdeczne pożegnanie, jak gdyby Przybłeda żył się z nimi od dawna, należał do rodziny, lub jak gdyby rzeczywiście mógł przyczynić się do odnalezienia zguby.

Olimpka tak się kręciła koło odchodzącego, iż zdołała mu szepnąć:

— Czy książę odebrał list krwią pisany?

Iwo spojrział na nią zdziwiony, odrzekł jednakże:

— Ja nie wiem o żadnym liście...

— Dowiedz się, to ja ten list pisałam! ale cyt! nie mów nic nikomu!

I przybiegła do kolan matki, utuliła na nich swą główkę, jak gdyby i rumieńce i wielką tajemnicę chciała tam ukryć.

X

OLIMPKA.

— A to powiadam wam, że z tym naszym Przybłędą istna heca! — mówił Domin do swoich towarzyszy.

— Abo co? — spytał któryś.

— A no, — nie wiele trzeba, a książę weźmie go na pokoje, a bodaj i do stołu ze sobą posadzi!

— Ee!

— To ci! — dziwiono się.

— Juści, i zaraz, do stołu! — rzucił któryś.

— Ba, jak naszemu panu przyjdzie fantazya, to rozmaite cudactwa wyprawuje, — zwyczajnie młody, — to tam nie wiele na co zważa, byleby na swoim postawić! — mówił jeden ze starszych stajennych, pozostający od dawna w służbie książęcej.

I począł opowiadać jakąś dykteryjkę.

Nie wiele go jednak słuchano, lecz zwrócono się do Domina.

— Cóż ty dzisiaj tak dyszysz na tego pastucha?

— Nie dyszę, co mi tam, nie krzyw mu jestem; — ale powiadam wam, że on niedługo będzie po równi z panami za psi pazur mieć nas nie będzie, jeno będzie pomiatał, jak starem pomiotłem.

— Ho, ho!

— Niedoczekanie jego! — krzyknęto.

— Juźci, że mu się nie damy, aleć gdybyście widzieli i słyszeli to, co ja, tak samo byście sobie rozważali! — zaostrzał ciekawość słuchaczy Domin.

— Powiadajże, powiadaj! — nalegano.

Domin zaczął opowiadać o wszystkim, co go zastanowiło, gdy chodził z Iwonem, — o domu chorążtwa, opowiadanie chłopca o matce; — a chociaż nie powtórzył tego ani tak barwnie ani tak serdecznie, słuchający jednak wzdychali, powtarzając:

— Biedactwo! Chudзина!

— No, no i ktoby się tego spodziewał!

— Niech mu tam Pan Bóg wynagrodzi za to wszystko!

I tak, jak przed chwilą odgrążali się na Przybłędę, teraz każdy życzył mu jak najlepiej, a nawet sam gotów był przyczynić się do polepszenia jego doli.

Tymczasem król, jak przyrzekł, zaraz tegoż samego dnia przy obiedzie zagadnął Adama Naruszewicza.

— Polski nasz Herodocie,¹⁾ co zarazem sprawujesz urząd pedagoga, poradź naszemu synowcowi, co ma zrobić z nauką chłopca, o którym już cała stolica opowiada sobie cudowne baśni.

— Wśród takich pastuchów często zjawia się niepospolity geniusz do poezyi, wziąłbym go na poetykę! — odrzekł Naruszewicz.

¹⁾ Wszystkim uczonym i literatom owego czasu nadawano nazwy greckich lub rzymskich uczonych.

— Znać zaraz zapalonego nauczyciela poetyki — zaśmiał się król.

— Rozmijacie się jednak z księciem, bo on chce mieć z niego żołnierza! Wszakże nauczcie go czytać najpierwej! — dodał, zwracając rozmowę na reformę i utworzenie nowych szkół, nad czym miano również obradować na sejmie.

— Nim owe szkoły wejdą w życie, chłopak siwych włosów doczeka! — zrobił ktoś uwagę sąsiadowi na ucho.

Mylił się jednak ów niedowiarek co do szkół i co do nauki chłopca, bo gdy wstano od stołu, ksiądz Adam Naruszewicz zbliżył się do księcia i wszczął zaraz sprawę jego wychowańca. Po kilku zamienionych wyrazach stało na tem, że Iwo zjawi się przed zacnym pedagogiem, a ten odda go w opiekę jednemu z biednych żaków, który go przygotuje do szkoły parafialnej przy kościele Panny Maryi na Nowem Mieście.

Tak więc w chwili, gdy Iwo znajdował się u chorążtwa, na królewskim dworze radzono o jego losie. Teraz można było sumiennie powiedzieć, że chłopiec mimo całej biedy, jakiej już zażył, urodził się pod bardzo szczęśliwą gwiazdą.

Księżciu też to postanowienie zrzuciło kamień z serca, a zrzuciło w samą porę.

Sejm bowiem rozpoczął się od dni kilku, każdy kto żył zajmował się obradami, podając sobie postanowienia sejmujących, dyskutując nad niemi na swoją rękę. Myśli wszystkich skupiały się koło sejmu, kto żył, rozpytywał:

— A co tam? co mówiono, co uradzono?

Zdawało się, że stolica, ba, nawet kraj cały nie miał spraw mych, tylko te, które sejmujących zajmowały.

Wszyscy oddychali, jakby będąc łożym na jego naciąg, który miał nowe życie kręcić, do lat dojdzie, zabiorę go i zrobię

Wśród nich za. W powiększeniu. Ci, którzy tej dopiero ostatecznie zatwierdzone postanowienia ku temu były już w całej pełni. Wieści zaś o powiększeniu onego rozbiegły się wcześniej, niż sejmujący radzić poczęli.

Pragnienie powiększenia wojska żyło znać w każdej piersi, a pragnienia te rozsiewano z taką pewnością, że książę Józef, jako mający stać na czele nowych szyków, odbierał wciąż prośby piśmiennicze o przyjęcie ochotników.

Miał więc nie mało, a co dopiero, gdyby się prośb wysłuchać, i wreszcie resantów.

Zaraz na drugi dzień — jakby się spodziewano — zjawił się Chorąży.

Chorąży, który był posłem, oznajmił oficjalnie, że...

— Aa! — szepnął...

— Jego ekszellenca... nie...
ciu, jakie nas spotkało — poczęli...

— Wiem, wiem... — odparł książę.

— Najjaśniejszy pan... nawet nieszczęście imci

pana do serca, polecił zarządzić ściśle poszukiwanie. Ja sam, gdybym mógł, przyłożyłbym do tego... nie widzę sposobu, w czembym mógł dopomóc... — mówił dalej książę z powagą, jak było w jego zwyczaju.

W... odcień serdeczności... nie njmował.

... jest dobroć... lachetność...
... excellencyi — odparł z ukłonem...
ciec. — Wiem, że do odnalezienia ukochanej córki, chyba sam Bóg może nam dopomóc, — nie przychodzę więc błagać jego excellencyi w tej sprawie, lecz inną prośbę zanoszę.

Słucham! — odrzekł książę, odkładając papier, który trzymał w ręku i spojrzał na przybyłego uważnie.

— Po wyroku w sądzie przecięwanego jego excellencyi...
Przybędą, wziąłem go do...
... o ludziach, którzy...
... pocieszył tem

... rwał książę, chcąc

... pod... owa... rzekł:

... oboje upo... oboje...
... nie zatrzymać. Dziś...
... przynadze...
... czyżby nam...
... pacholka...

— Oh, nie, —
... i przyrzekłem go...
wychować! — zawołał...

Twarz Chorążego...

— Nie... — oddać wam nie mogę — rzekł książę po chwili, — ale wiesz co, mości Choraży, ja nie mam czasu, ażeby się zająć wychowaniem chłopca, którego radbym dobrze pokierować, — niech więc wasza jejmość da mu macierzyńską opiekę, a ja mu dam naukę i wychowanie. Ale, gdy... z niego żołnierza...

— Dzięki... dzięki ekscellencyo! — zawołał Choraży.

— Mogę go zaraz zabrać? — zapytał.

— Możesz, możesz. — mości Choraży... jest on teraz u księdza Naruszewicza, który mu da nauczyciela, — poślij więc i zabierz! Tylko pamiętaj jegomość, że ilekroć zawołam, musi się stawić, a wszelkie koszty do mnie należą!

— Tak, tak, będzie to nawet lepiej — dodał, wstając i chodząc po pokoju — tutaj między dworskimi mógłby się zepsuć, tam będą mieli na niego baczenie.

To rzekłszy, usiadł znów przy biurku i, otworzywszy szufladkę, napełnioną papierami, począł w nich przebierać.

Choraży, uważając posłuchanie za skończone, zbliżył się kilka kroków, oddał ukłon i zabierał się do wyjścia..

— Poczekajno jeszcze, mój mości dobrodzieju! — rzekł książę, nie przestając szukać w papierach.

Choraży zatrzymał się.

— A jest! — rzekł książę, trzymając list w ręku. —

Wszak macie córkę Olimpię? — spytał książę, przebiegając list, który trzymał w ręku.

— Mamy, ekscellencyo! — odparł zdziwiony zapytaniem Choraży.

— Radbym ją poznać, rezolutna to musi być panna — rzekł młody generał.

— To jeszcze dziecko, ma dopiero rok trzynasty — odpowiedział z jakimś nie ledwie przestachem szlachcic.

— Właśnie dla tego, chciałbym ją poznać, że nie wyszła z lat dziecięcych, a ma już taki dowcip i energię! — zawołał książę z uśmiechem.

Pan Pokrzycki szeroko oczy otworzył i spojrzał na mówiącego, coraz to więcej zdziwiony.

— Zkądże jego ekscellencya wnosi o dowcipie mojej córki? — zapytał wreszcie.

— No, nie przestraszajże się mój jegomość, a daj mi słowo, że o tem, co ci powiem i pokażę, nie rzekniesz nikomu ani słowa, nawet własnej małżonce! — domagał się książę.

Choraży spojrzał ciekawie na mówiącego, a ujrzawszy pocziwy, prawie roztkliwiony wyraz na jego twarzy, rzekł po chwili:

— Po zacności charakteru jego książęcej mości wnoszę, że na rzeczy niegodne i mało ważne, nie wymagalby odemnie słowa.

— Bądź waszmość spokojny! — odparł, uśmiechając się, książę.

— Daję więc słowo honoru, że rzecz, o której mi jego

ekscellencya raczy powiedzieć, w zupełnej tajemnicy pozostanie! — odparł uroczyście Choraży.

— Czytaj więc, — rzekł książę, podając list trzymany w ręku.



— Co? — zawołał Choraży, patrząc na podpis.

— Kiedyż ona miała czas na to... skąd znalazła posłańca! Matka ją tak strzeże — mówił zafrasowany ojciec, czytając znany nam już list Olimpi.

— Mój mości dobrodzieju, dziewczyny nikt

nie ustrzeże! — mówił żartobliwie książę, patrząc na czytającego.

— I ucz tu pisać dziewczynę, ucz! — mówił Pokrzycki, trzymając list w ręku.

— Sam byłem zatem, żeby ją czegoś nauczyć, a ona tak sobie poczyną! — szepnął wielce zafrasowany.

— I dobrześ zrobił — rzekł książę.

— Roztropna to znać panna z tej waszej Olimpi, trzeba więc jej przyrodzony dowcip kształcić i rozumnie pokierować, może być z niej z czasem dzielna niewiasta! — pocieszał dalej wielce strapionego ojca.

— Przyznasz jednak, mój mości dobrodzieju, że ja, jako grzeczny kawaler, listu tego bez odpowiedzi zostawić nie mogę — dodał.

I siadłszy przy biurku, pisać począł.

Choraży przez cały czas to spoglądał na piszącego, to, jakby niedowierzając własnym oczom, przeglądał list trzymany w ręku.

Książę, złożywwszy swe pismo, zapieczętował sygnetem i zaadresowawszy, oddał stojącemu wciąż w zdziwieniu Pokrzyckiemu.

— Przez ręce ojca do córki; — a jak jej to mości Choraży doręczysz, nie zdradzając tajemnicy, nie moja już rzecz — rzekł książę wesoło.

Choraży skłonił się i trzymając oba listy, zabierał się do odejścia.

— Ten do mnie należy — rzekł książę, wyciągając rękę po papier nakreślony czerwonymi literami.

— Takie listy chowa się na pamiątkę — dodał, zabierając go z rąk Chorażego.

Ten był wciąż tak zdziwiony i tak zaciekawiony co list księcia zawierał, iż na chwilę odwróciło mu to nawet myśl od jego nieszczęścia.

Oglądał na wszystkie strony doręczone mu pismo, na którym czerwieniała pieczęć z wyciskiem książęcego sygnetu, zamykająca całą tajemnicę.

— Ale przez kogo ona swój list posłała?... — myślał, wracając do domu... — Nie mógł się wszakże domyśleć winowajcy.

— I strzeż tu dziewczynę... rób co chcesz, a nie ustrzeżesz!... — zakończył, wchodząc na Piwną.

— I przez kogo ja ten list doręczę? — trapił się dalej.

Wtem nawinęła się jakaś babina, która wyciągnawszy rękę, rzekła:

— J. wielmożny dobrodzieju, opatrzcie też jałmużną biedną podróżną...

— Dam ci tynfa, ale zanieś ten list, ot tam do tego domu, oddaj Jaśkowi, synowi rymarza i powiedz, żeby go doreczył pannie chorażance.

I wraz z listem wręczył babie tynfa.

Ucieszona datkiem kobiecina podniosła nań zaczerwienione maleńkie swe oczki i rzekła:

— O niechże Bóg Najwyższy zsyła na mego dobrodzieja wszelkie pociechy, a od wszystkich smutków go uchroni!

I poszła do wskazanego domu, a Choraży, zatrzymawszy się przed kościołem Augustyanów, westchnął i pomyślał sobie:

— Niechże Bóg choć Olimpkę od złej drogi uchroni.

Po dość długiej chwili, gdy ujrzał babinę wychodzącą i oddalającą się w przeciwną stronę, przyspieszył kroku. Wchodząc we drzwi, spostrzegł rzeczonoego Jaśka, który oglądał doreczony mu papier, a na widok wchodzącego skrył go skrętnie za nadro.

— Byłem pewny, że mi list odda... kryje się z nim... co to znaczy?... nikt, tylko on był doreczycielem listu Olimpki?... — utrwaliło się w sercu Chorażego podejrzenie.

— Trzeba nań pilnie uważać i żonę ostrzedz, o przyczynie nie mówiąc... nie chybi on!... — upewniał się w swem podejrzeniu, widząc, że Jasiek, który mu zawsze

ukłon oddawał, skrył się teraz śpiesznie do warsztatu, jakby chciał wzroku jego uniknąć. Za wejściem zaraz żona obrzuciła go pytaniami, czy nie przyniósł jakich wieści o Justysi i czy książę przyobiecał w wyszukaniu jej swą pomoc.

Choraży zdawał sprawę ze swej bytności u księcia, powtarzał niemal każde słowo, uspokajał jak mógł zrozpaczoną małżonkę, zamilczał tylko o liście Olimpki.

Ta przez cały czas opowiadania ojca słuchała z bardzo zaciekawionemi oczyma, a gdy rodzice mniej byli zajęci zaginioną, może byliby zwrócili uwagę na jej wykrzykniki:

— Oh, ja wiem, książę jest bardzo dobry, bardzo dobry! on wszystko dla nas uczyni!

— A Iwonowi pozwolił u nas zamieszkać? — spytała, uprzedzając matkę.

— Pozwolił — odrzekł Choraży, powtarzając znów wszystkie warunki.

— Czemużeś go nie przyprowadził? — spytała nagle chorażyna.

Pan Antoni przypomniawszy sobie teraz dopiero, iż według rozkazu księcia miał zaraz pójść do księdza Naruszewicza, u którego w owej chwili Iwo się znajdował. Tak jednak był zajęty listem Olimpki, iż o tem poleceniu zapomniał.

Namyślając się, jakby to uchybienie naprawić, odrzekł z pewnem wszakże roztargnieniem:

— Przyjdzie, przyjdzie niebawem.

— A czy książę nic więcej nie mówił, o nic więcej się nie pytał? — zagadnęła Olimpka.

— O cóż się miał pytać? — rzekł ojciec, spoglądając badawczo na rumieniącą się pod jego wzrokiem córkę. Dziewczynka spuściła oczy i zarumieniwszy się jeszcze więcej, usunęła się w ciemny kąt pokoju.

— Przedzej czy później wygada się ze swoją winą! — pomyślał Choraży.

Myśl tę jednak zaraz zastąpiła inna, a mianowicie, kogoby posłać po Iwona. Sam bowiem z powodu posiadzenia sejmowego, na którym i on, jako poseł miał się znajdować, musiał się przybrać przystojnie. Nie miał więc czasu na pójście po Iwona.

Że zaś to była godzina obiadowa, zjawił się Mroczek, który jakoś zwykle w tej porze ich odwiedzał, zwłaszcza jeżeli nie miał jakichś spraw ważniejszych, któreby mu więcej, niż południowy posiłek przynosiły.

Przychodząc miał w zanadrzu pełno rozmaitych wiadomości, najczęściej bezzasadnych, które umiał tak opowiadać, iż wyciągnął jakiś prognostyk w odnalezieniu Justysi.

Choraży nie bardzo tym wieściom wierzył i wogóle coraz mniej miał sympatyi do natrętnego przyjaciela, że jednak żonę opowiadanie to zajmowało, przyjmował w swym domu Mroczka.

Owego dnia powitał wchodzącego nawet bardzo uprzejmie i rzekł:

— Przybywasz mi, mości Mroczek, w samą porę.

— Szczęśliwy jestem, ilekroć mogę się przysłużyć

panu Chorażemu dobrodziejowi — odparł z ujmującym uśmiechem przybyły.

— Przywiedziesz nam Iwona owego protegowanego księcia Józefa — mówił Choraży.

Mroczek wydał policzki i skierował wzrok w ten sposób, ażeby ujrzeć koniec swego wielkiego nosa, co zawsze czynił, ilekroć nie znalazł na razie odpowiedzi lub był czem zakłopotany.

Choraży, nie zważając na jego minę, począł opowiadać jak i gdzie ma go szukać.

— Zajdziesz mój mości do księdza Naruszewicza i dowiesz się zaraz, jak z jego nauką postanowił, ażeby wszystko według woli jego książęcej mości było spełnione — zakończył pan Antoni.

— Do księdza Naruszewicza! — wykrzyknął Mroczek, — w to mi graj! Niczem mi nie mogłeś więcej dogodzić, jak tem poselstwem, mój mości dobrodzieju! Toć to ksiądz Naruszewicz mój dobry znajomy jeszcze z tych czasów, kiedym był w szkołach u jezuitów w Pułtuskum a on tam jakiś czas przebywał. Dawne to już lata, dawne! młody był jeszcze wtedy bardzo, a dziś personat. Zawszem się zbierał go odwiedzić i jego pamięci przypomnieć...

— Więc przypomnijże się zaraz! — przerwał Choraży i począł się na posiedzenie sejmowe ubierać.

— A może tam od księdza Naruszewicza jaką wieść o Justysi jegomość nam przyniesiesz! a może i księcia Józefa spotkasz... dorzuciła Olimpka.

Czy ksiądz Naruszewicz przypomniał sobie w Mro-

czku byłego ucznia szkół jezuickich i czy spotkał księcia Józefa, nie opowiadał o tem za powrotem, lecz Iwona przyprowadził.

Przyniósł też wieść, że zaraz jutro przyjdzie młody nauczyciel, który chłopcu codziennie przez parę godzin pierwszych początków będzie udzielał i odkrywał przed nim wszelkie arkana, ułatwiające wejście do szkoły parafialnej.

Mroczek z przybycia Iwona i z owego nauczyciela wcale nie był zadowolony. Gdy szedł po niego, miał nadzieję, że przynajmniej zmieni postanowienie i sam będzie mu mentorował; gdy zaś wszystko to się nie udało, wracając starał się zyskać przychylność chłopca i po drodze nauk mu swoich nie szczędził.

Iwo słuchał z wielką pokorą, od czasu do czasu jednak błysnął na mówiącego ciemnymi oczami z niedowierzaniem, z czego wynikało, że Mroczek rzekł sobie:

— To zupełnie głupi chłopak, nigdy z niego dworak nie będzie!

Szeptał też i chorążynie, że chłopakowi źle z oczu patrzy i trzeba go setnie pilnować, lecz ta odrzekła:

— Nie musić on być zły, jeżeli chciał naszą Justysię ratować; — a co Bóg da, to będzie!

I zajęła się przybyłym.

Razem z przybyłymi wszedł do służbowej izby Jasiek, syn rymarza, i przez otwarte drzwi dawał jakieś znaki Olimpcie. Wysunęła się też zaraz, aż do sieni na schody, a Jasiek, oddając list rzekł:

— Jakaś baba, żebraczka, czy cosii... Nie chybi od księcia... sygnetem zapieczętowany.

Olimpka wzięła list z bijącym sercem i drżącymi rękami chciała go zaraz rozpieczętować.

— Niech panienka w domu przeczyta, tu ciemno — rzekł przezorny Jasiek, a jeżeli tam jest, że mnie książę przyjmie na ochotnika, to mi panienka powie. To mówiąc, zbiegł szybko ze schodów, jakby go nie było.

Olimpka stała na razie oniemiała. Że zaś obawiała się ciemności, a na schody nawet przez otwarte drzwi nie przeciskało się żadne światło, bo i na ulicy już mrok był zupełny, powróciła śpiesznie do pokoju.

Była tak roztargniona i tak drżała, że aż Kumosia, przystąpiwszy do niej, ze zwykłą sobie czułością spytała:

— Co to mojej pieściotce, czyś aby nie chora, broń Boże? zgotuję zaraz bżowych ziółek...

— Nie, nie trzeba, moja Kumosiu! — odrzekła dziewczynka.

I zarzuciwszy ręce na szyję pocziwej sługi, sama nie wiedząc czemu, rozplakała się serdecznie, przyciskając jednak list, który włożyła przedtem w zanadrze.

— To czegoż płaczesz, moja jagódko?

— Nic nic, moja Kumosiu, ale tak mi jakoś! — odrzekła.

Wysunęła się z jej objęć, poszła w najciaśniejszy kąt pokoju i w wielkiem zamyśleniu usiadła.

— Uchowajże też, Boże, od nowego nieszczęścia — myślała sobie Kumosia, poprawiając wiecznie płonącą lampkę przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej

i poszła na wszelki wypadek przyrządzić jakie leki. Chorażyna w drugiej komnacie zajęta była świeżo przybyłym Iwonem.

Olimpka skorzystała z tego, a przysunawszy się do lampki, rozpieczętowała list i czytała:

„Mościa panienko Olimpko Pokrzycka!

„Zaszczycony jej zaufaniem mam honor odpowiedzieć: Komisja wojskowa nie pomyślała dotąd o utworzeniu pułku z panien; jak tylko otrzymam właściwe ku temu polecenie, będę miał zaszczyt imci pannę chorażankę zaraz o tem zawiadomić. O odnalezienie siostry Jej, Justysi, troszczy się sam Król Jegomość, a ja ze swej strony przepytywać się będę. Jako zaszczycony zaufaniem mości panny Olimpki radzę Jej, by do robót i nauki pći Jej właściwych jak najpilniej się przykładła. Rzeczpospolita bowiem, nietylko dzielnych żołnierzy lecz zacnych dziewic i rozumnych białych głów do uszczęśliwienia swego potrzebuje.

Co wyraziwszy, piszę się szczerem Imci panny przyjacielem.

Jozeł Poniatowski
Książę

Dan 18 Octobra anno 1788.

Olimpka w miarę czytania, to bladła, to różowiała. Łzy nabiegały jej do oczu i gniew zalewał serce.

— Drwi sobie najwyraźniej ze mnie... każe mi się uczyć... — mówiła, wczytując się w list po raz wtóry.

I z gniewem miała go w rękę.

Po chwili jednak wyprostowała list i wsunęła za obraz.

— Ach, Boże mój, Boże, pocom ja to pisała... co o mnie książę teraz sobie myśli... jak się zmartwią rodzice, gdy się dowiedzą...

— Olimpko — zawołała matka z drugiego pokoju.

Dzieweczka zbudzona ze swego dumania, pobiegła natychmiast, a nie bacząc na znajdujące się osoby, przypadła do kolan matki i rzewnie płakać poczęła.

— Co ci się stało? — spytała przerażona matka.

— Ach, jam bardzo nieszczęśliwa! popełniłam coś okropnego! coś okropnego! — wołała.

Iwo spojrzał rozszerzonymi oczami i o mało się też nie rozplakał.

Mroczek patrzył ciekawie i pilnie ucha nadstawił, łowił bowiem chętnie wszystkie wieści i ubarwiając je na swój sposób, po mieście roznoślił.

Chorażyna zatrwożona niezwykle znalezieniem się córki, podniosła ją z klęczek i pociągnawszy do pokoju, gdzie płonęła przed obrazem lampka, rzekła:

— Pójdź, moje dziecko, powiedz, co ci się stało?!

Mroczek posłał za niemi oczy i uszy, lecz chorażyna drzwi za sobą zamknęła. Iwo, pociągnięty przez Ambrożego usunął się do służbowej izby, gdzie też znalazł się i Jasiek, z którym odrazu się zaznajomili.

Olimpka chwilę klęczała u nóg matki i rzewnie płakała, nim zdołała przyjść do słowa. Wreszcie opowiedziała jej o liście pisanym do księcia, a wyjąwszy odpo-

wiedź jego z za obrazu, podała matce. Chorażyna przeczytała uważnie i z rozrzwinięciem rzekła jakby do siebie.

— Szlachetny i zacny charakter księcia pana! Powinnaś mu być, moja córko, bardzo wdzięczna za naukę, jaką ci daje i na całe życie zachować ją w pamięci — mówiła dalej łagodnie.

W myśli zaś dodała, wzdychając:

— Cała byłam zajęta moją zaginioną i na tę drugą nie baczyłam! O przebacz mi, Boże!

I dalej poczęła wypytywać, kiedy i jak swoje pismo posłała, — i przez kogo otrzymała odpowiedź.

Olimpka opowiedziała wszystko, nic nie skrywając, prosiła tylko, żeby Jasiek rymarczyk nie cierpiał za nią.

— To ja go prosiłam o to, i jam tylko winna — dodała. — Ale ja już niż nigdy, nigdy nic takiego nie zrobię, za co bym się potem tak wstydzić miała i tak była nieszczęśliwa! — dodała.

I ukląkłszy przed obrazem Najświętszej Dziewicy, wołała:

— O Przenajświętsza Panienko, obrońże mnie od wszystkich złych i niegodnych czynów, a pozwól, żebym wszystko czyniła, co się drogim rodzicom podoba, a co ku uszczęśliwieniu moich ukochanych i Rzeczypospolitej potrzebne.

— Amen! — dodał wchodząc ojciec.

Rozmowa bowiem matki z córką, której nikt nie

śmiał przerywać, przeciągnęła się tak długo, że Choraży, powracający z posiedzenia sejmowego, zastał je na niej.

Powtórzyło się znów wyznanie, lecz ojciec jak dał słowo, niczem się nie zdradził, że o liście córki wiedział. Przeczytał tylko z wielką ciekawością list księcia i tako samo jak żona, powtórzył:

— Zacny i szlachetny młodzieniec! ustrzegł cię Pan Bóg, że twój list w takie ręce się dostał! — dodał, zwracając się do Olimpki.

XI

KSIAŻE JÓZEF I JASIEK

Wśród smutku i tęsknoty, wśród radości i najrozkosniejszych nadziei czas niepowstrzymany w biegu płynie i płynie. Dzień za dniem przemija, a chociaż dla jednych wiekiem się wydaje, ma jednak raz na zawsze oznaczoną liczbę godzin, które na dziejowym zegarze wydzwaniają wypadki, wstrząsające losem całych narodów i każdej jednostki.

Biegł też czas swoim porządkiem. Chorążtwo nie ukojeni w bólu, szukali bezprzestannie, lecz napróżno Justysi. Olimпка uczyła się w domu przy przychodzącym nauczycielu. Dziewczynka zdradzała niezwykle zdolności, o czym dowiedziawszy się ksiądz Adam Naruszewicz, sam kierował jej wychowaniem, mówiąc:

— Czemużby Wszechmocny i białogłowie nie miał udzielić zdolności do pojęcia nauki.

Pod tym rozumnym kierunkiem uczyła się wielu przedmiotów, które w owym czasie nie były udzielane dziewczętom.

Że zaś zdradzała wielką chęć i zdolności do śpiewu i na to rodzice grosza nie poskąpili:

Owszem, matka mówiła:

— Może będzie miała powołanie do klasztoru, dobrze, że będzie mogła na chwałę Najwyższego przyśpiewywać.

Ojciec zaś dodał:

— Co Bóg zrządzi, to będzie, — żadna umiejętność nie zawadzi, byleby tylko o niewieściach zajęciach nie zapominała.

Niezapominała też o nich i czas zbywający od nauki przepędzała wraz z matką u P.P. Sakramentek. Gdy chorążyna pogrążona była w modlitwie i pobożnych rozmyślaniach, Olimпка uczyła się robót, w których zakonnice celowały.

Chorąży bowiem dla spraw publicznych i przeciągającego się sejmu musiał pozostawać w Warszawie, chorążyna zaś żywiła wciąż nadzieję, że w stolicy łatwiej będzie mogła dowiedzieć się o zaginionej Justysi. Nie chciała też za nic w świecie rozstawać się z kształcąca się Olimpką, mówiąc:

— Jedną tylko nam pozostała, niechajże moje oko zawsze nad nią czuwa.

Iwo kończył szkołę parafialną, a pozostając wciąż w domu chorążtwa, oczekiwał chwili, kiedy pan jego i opiekun odda go do szkoły wojskowej. Tęsknił on do niej i pragnął jak najprędzej się dostać, powtarzając kolegom:

— Cóżto wy myślicie, że ja na tej szkole poprę stanę?

— Umiej jeno to, co w naszej szkole uczą; i to dosyć! — ozwał się któryś z żaków.

— Jak dla kogo — odparł z pewną wyższością Iwo.

— A cóżes to za jeden, że ci wszystkiego mało! — zakrzyczano ze wszystkich stron, biorąc ozwanie się Iwona za ułóżenie wszem wobec i każdemu z osobna.

— Przybłęda! — mruknął któryś z niechętnych mu towarzyszy.

Iwo zakipiał gniewem, twarz mu poczerwieniała. oparł się o ścianę, wystawił jedną nogę naprzód i zaciśnawszy pięści, chciał się rzucić na chłopca, wymawiającego z pogardą jego przygodne nazwisko.

Towarzysze, ujrzawszy jego zaczepną postawę, poczęli gotować się do walki a trącając się łokciami, szepotali pomiędzy sobą.

Wstrzymywali się wszakże od napaści, bo wszelkie bitwy w szkole karane były surowo; — rozpoczynającemu takowe groziła banicya.

— Odsiedzę karę, a Przybłęda w ostatnim roku swego wzorowego pobytu w szkole zostanie sromotnie wypędzony... — myślał sobie ten, który rzucił z urąganiem jego przezwisko.

Lecz Iwo zrobił im wszystkim niespodziankę.

Iskry gniewu, migocące w jego oczach, zamieniły się w spojrzenie wzgardy; twarz rozbłysła jeszcze żywszym rumieńcem, opuścił wszakże zaciśnione pięści i zmieniwszy postawę, zawołał drgającym ze wzruszenia głosem:

— Właśnie dla tego, że noszę nazwisko Przybłęda. pragnę je zmazać jak najlepszą nauką i ozłocić najsłachetniejszymi i prawdziwie zacnymi czynami!

To mówiąc, rzucił oczekującym zaczepki spojrzenie wyższości i z podniesioną głową przeszedł wśród osłupiałych i zawiedzionych w oczekiwaniu towarzyszy.

Idąc zaś, myślał:

— Tak, muszę uszlachetnić to nazwisko, a niech tylko książę pan umieści mnie w szkole wojskowej, — zdobędę sobie imię... — zdobędę nawet złote ostrogi!

I rzucił raz jeszcze towarzyszom spojrzenie tak pełne wyższości i siły, jak gdyby, stanawszy na ich czele, powoływał do wojennej wyprawy.

Czy bojaźń wydalenia ze szkoły, czy jakie inne pobudki kazały Iwonowi stłumić słuszne swe oburzenie, nikt nie umiałby na to odpowiedzieć. Dość, że wychowawiec książęcy pokonał siebie i dumny był z tego zwycięstwa.

— Kto umie pokonać siebie, może być pewnym zwycięstwa nad nieprzyjacielem! — przypomniały mu się słowa opiekuna, rzucone kiedyś mimochodem.

Książę umiał rzucać takie wyrazy i czarować niemi otoczenie od najwyższych, równych sobie, aż do ostatniego pacholka.

Nie zaniedbywał też najmniejszej okoliczności, ażeby zjednywać sobie serca ogółu i chętnie z przybocznym swoim dworem ukazywał się na wszystkich uroczystościach.

Jedną z wielkich uroczystości były święta Wielkiejnocy obchodzone o północy, solenną rezurekcyą.

Jeżeli wszystkie kościoły starały się o świetność i powagę rezurekcyjnego nabożeństwa, kościół świętego Jana, jako katedralny, przewyższał w tem inne.

Wielki ołtarz gorzał tysiącem jarzących światel. nawa kapala się w potoku jasności, którą rzuciły na tłumnie zgromadzonych, rozsiane na ścianach świątyni olejne lampy. Wielki świecznik, rozszerzający na wszystkie strony ramiona, migocąc blaskiem płonących świec woskowych, zdawał się oświecać i ogrzewać serca pobożnych, utrwalając w nich wiarę i niecąc niczem niezachwianą nadzieję.

Król, jakkolwiek niezbyt pobożny, czuł się jednak w obowiązku w uroczystej chwili pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego ukazać zebranym tłumom blade, lecz rozradowane jakąś utajoną myślą oblicze. Książę Józef, jeszcze bodaj mniej pobożny od stryja, znajdował się wszakże w jego orszaku. Uroczystość i podniosłość chwili podniecały jego entuzyastyczną i zapalającą się do wszystkiego co wielkie i piękne, naturę.

— Są takie chwile, — mówił — w których najobojętniejszy nawet musi uchylić skronie, a w sercu zadrgają mu dawno zapomniane, lub przez życie wygładzone uczucia.

Jedni więc z rzeczywistej pobożności, inni dla mody i widzenia króla w otoczeniu najznakomitszych panów, cisnęli się do Katedralnego kościoła. Wcisnęła się też i chorążyna z Olimpka, a jako żona jednego z posłów, otrzymała poczesne miejsce w presbiterium prawie naprzeciwko łoży królewskiej.

Podniosłość nabożeństwa, stojące w uroczystym nastroju z rozwiniętymi chorągwiami cechy, moc światel i tłumy ludzi zrobiły niepospolite wrażenie na młodzień-

kiej chorążance. Zapatrzona w dal, wsłuchiwała się w dźwięki radośnie bijących ku niebu dzwonów, w których głosie słyszała to, co w jej sercu odzywało się wciąż rozgłosnem, choć niezrozumiałem echem. Modliła się, a myśl jej biegła wraz z dźwiękami dzwonów w nadziemskie sfery, nadając twarzy jej wyraz prawdziwego natchnienia.

— Surrexit Dominus! — zabrzmiał głos od ołtarza.

— Surrexit Dominus! — odpowiedziały głosy organów.

Pienia wzniosły się pod sklepieniem wysokiej nawy, dzwony jeszcze głośniejsze zadrgały, a tłumy pobożnych powstały, aby towarzyszyć w uroczystej procesyi.

Olimpka górowała nad innemi kobietami wzrostem. Ten wzrost nad wiek wybujały, twarz natchnioną anielskim zachwytem, mimowoli ściągnęła na siebie oczy z łoża królewskiej.

— Kto to? — szepnął król, wskazując wysoką, niezwykłą jej postać.

— Nie wiem! — odszepnął książę Józef.

— Takie oblicze spotyka się tylko na obrazach włoskich mistrzów... — rzekł król-artysta.

— Nie jest to twarz piękna, lecz natchnieniem i nadziemskim wyrazem wzrok przykuwająca, — odrzekł przyciszonym głosem książę.

I obaj zamilkli.

Nabożeństwo się skończyło, król powstał, a za nim całe otoczenie.

— Radbym wiedzieć, kto to taki? — rzekł król, przechodząc przez korytarz, łączący katedrę z zamkiem.

— Ta wysoka panna? — zapytał oczekujący w korytarzu generał Komarzewski, który umiał zgadywać myśli swego pana.

Nie umiejąc wszakże na ten raz zadawałajaco odpowiedzieć, dodał:

— Moznaby z niej zrobić grenadyera.

— Szkoda, że z dam nie formujemy pułku! — dorzucił książę.

I nie wiedząc skąd przyszedł mu w tej chwili na myśl dawno zapomniany list Olimpki. Uśmiechnął się do tej myśli, — zrobiło mu to pewną przyjemność.

Świt walczący z cieniami nocy zaczął świat pobiełać srebrno-złotawym blaskiem, gdy po skończonej rezurekcji, każdy z pobożnych znalazł się pod dachem swego mieszkania.

Olimpka w dziwnem wciąż rozmarzeniu zdejmowała z siebie odzienie. Dzwony grały w jej duszy pieśń dla niej nie znaną, — dźwiękom tym opędzić się nie mogła, a gdy ułożyła się do snu, przedstawiały się jej w dalszym ciągu obrazy, które w wyobraźni swojej śniła na jawie.

Chorażyna, rozbierając się przy pomocy Kumosi, szeptała jeszcze jakąś modlitwę, myśląc o zaginionej Justysi i zamieniając o niej od czasu do czasu słówko z przywiązaną do ich domu garderobianą.

Choraży targając niecierpliwie osiwałe wasy, mierzyl wielkimi krokami przyległą komnatę, stawał też czasami w zamyśleniu, wzdychał i znów rozpoczynał swoją przechadzkę.

Ambroży wchodził kilkakrotnie, chrząkał lub objaśniał łożową świecę, dając tem znać, iż pragnie mu służyć; Choraży wszakże nie myślał o spoczynku.

— Jegomość ma znać jakieś nowe zmartwienie... — ozwała się Kumosia, układając do snu chorażynę.

— Moja Kumosiu, jestci jedno najcięższe, które serce ojca trapi tak samo, jak moje, a oprócz tego, jegomość sprawom publicznym całem sercem oddany, — trosk więc nie mało na jego głowie, — odrzekła, przymykając oczy, chorażyna.

Rzeczywiście, nowa troska trapiła serce Chorażego. Gdy wychodził z kościoła, do uszy jego doszło, że król i książę Józef zwrócili uwagę na Olimpkę. Wieści tej udzielił mu Józef Drzewiecki, który widział oczy z łoży królewskiej skierowane na zamodloną w odróżniający się sposób i górującą wzrostem dziewczecę.

Młodzieniec żył się z rodziną przyjaciela swego ojca, dla Olimpki żywsze obudziło się w jego sercu uczucie, baczył więc na wszystko, co się jej dotyczyło.

Z tą samą myślą przybiegł do Chorażego, gdy wchodzili już do domu, Iwo i rzekł, prawie radośnie:

— Król, a nawet książę pan, patrzyli z łoży na pannienkę Olimpkę!

Choraży przyjął tę wieść chmurnem obliczem.

— Dla mnie niema większego szczęścia, jak kiedy książę na mnie spojrzy i ze mną rozmawia, — ciekawym więc, czemu pan Choraży tak spochmurniał, gdym mu powiedział, że książę przypatrywał się Olimpcę... — myślał przyszły uczeń wojskowej szkoły w całej swej naiwności.

Sen wszakże ukołysał i naiwne myśli Iwona i troskę Chorażego.

W pierwszy dzień Zmartwychwstania Pańskiego monarcha przyjmował panów radnych oraz posłów, na sejm przybyłych.

Gwarno więc było na zamku, — tłumno przy zastawionem suto święconem.

Króla jeszcze nie było, panowała więc do pewnego stopnia swoboda.

Rozmawiano o wysokiej pannie, która zwróciła na siebie uwagę króla, a o której nazwisku nawet generał Komarzewski nie mógł się dowiedzieć.

Choraży słuchał tych rozmów ze zmarszczonem czołem, — nie wydawał się wszakże jak blizką mu była, o której mówiono i jak go trapił ten rozgłos.

— Niechaj żyje w ukryciu, daleka od dworu i jego uciech... — myślał sobie stary szlachcic.

Jednocześnie, gdy na pokojach królewskich zbierali się dygnitarze, ciągnęło też nie mało osób do pałacyku pod Blachę.

Książę Józef pragnął być popularnym i na tę popularność zasłużyć, — w chwili więc gdy dla dygnitarzy otwarte były pokoje królewskie, książę po porozumieniu się ze stryjem, przyjmował wszystkich, kto tylko pragnął się doń zbliżyć.

Skorzystał z tego Janek, rymarczyk i przedtem nim owe tłumy napłynęły, poszedł z Iwonem.

Choć Iwo pouczał go, jak ma się zachować, Jasiek

wszedłszy, zapomniał o wszystkim i zbliżywszy się od razu do księcia, pochwycił go za rękę i zawołał:

— Mości książę, mości książę, — ja sam zrobiłem dla księcia jegomości tę szpicrutę!...

Książę lubił nadzwyczajne przygody, lubił też gdy mu okazywano życzliwość, nie obraził się więc za ten wybuch prostaczego serca i twarz rozjaśnił radością.

— A pokażże tę szpicrutę! — zawołał, odbierając ją z rąk Jaśka.

— Piękna sztuka, nie ma co mówić! — dodał, świstając nią w powietrzu.

Jaśkowi oczy szczęściem błyszczały.

Nie zapomniał jednak o swojej prośbie i rzekł:

— Gdyby mnie książę przyjął do wojska, robiłbym takie szpicruty! a i zaprząg na konia umiem nie byle...

— Ha, ha, ha! otrzymałem kubanę! — zaśmiał się książę.

Janek nie zwrócił na to uwagi, lecz ciął swoją sztukę dalej:

— Dwa i pół roku temu podałem prośbę o przyjęcie do wojska.

— Dwa i pół roku byłeś jeszcze dzieciakiem, — rzekł książę.

— Miałem lat piętnaście skończonych! — odparł, prostując się, Jasiek.

— No, to dziś masz zaledwie osiemnaście, ale możesz już wstąpić w szeregi! — rzekł książę, patrząc na barczyste ramiona przyszłego żołnierza.

— Idźże tymczasem do warsztatu, zawołam cię wkrótce, bądź gotów! — zakończył książę, odwracając się w inną stronę i bawiąc się szpicrutą.

— A gdzie mieszkasz? — zapytał nagle Jaśka.

— A toć w ojcowskim domu, — gdzie już od półtrzecia roku siedzi imci pan Choraży Pokrzycki, u którego oto i Iwo mieszka.

— Czy chorażanka Pokrzycka była na rezurekcji? — zwrócił się do Iwona książę, któremu nagle jakaś myśl zabłysła.

— A jakże, siedziała z matką na wprost łoży królewskiej, — nawet, gdy wychodziła, jego ekscellencja raczył na nią spojrzeć. — odrzekł Iwo, przywykły do gawęd z księciem.

— Byłeś z nimi!? — spytał książę.

— Stałem tuż obok ławki, w której chorażyna z córką siedziała, — odrzekł Iwo, podnosząc wzrok na swego opiekuna.

Na ustach księcia przemknął uśmiech zadowolenia; twarz jego wychowańca oblała się nie wiedzieć dlaczego purpurą.

— Oh, panna Olimpka, to bardzo dobra panna i śpiewa prześlicznie, — wtrącił Jasiek, zachęcony łaskawością księcia.

Ten rozmawiał już z kimś innym, — słyszał wszakże ozwanie się Jaśka.

Thum ludzi zaczął napływać. Iwo dał znak towarzyszowi, że posłuchanie skończone i powinni się wycofać.

Lecz Iwo, nie wiedząc dlaczego, opuszczał komnatę ze ściśniętym sercem. Nagle książę skinął na niego, twarz młodzieńca się rozpogodziła, jak chmurny ranek pod muśnięciem słonecznego promienia.

— Poproś pana Chorażego Pokrzyckiego, żeby mnie jeszcze dziś odwiedził, za godzinę czekam go w gabinecie — szepnął mu książę.

— Pan Choraży jest obecnie na pokojach u króla jeźdźcy — odparł takimże szeptem młodzieniec.

— Dopilnuj więc, gdy będzie wychodził, — dodaj, iż pragnąłbym widzieć i pannę Olimpkę.

Iwo spojrzał z pewnem zdziwieniem na swego opiekuna, poczem schyliwszy głowę, rzekł dworskim obyczajem:

— Według rozkazu jego książęcej mości.

Zbiegł szybko ze schodów i rozstawszy się z uszczęśliwionym obietnicą Jaśkiem, stanął w przedsionku, którego wychodzili panowie z przyjęcia Wielkanocnego u króla.

Nie upłynęło i pół godziny, gdy się ukazał Choraży.

Iwo powtórzył mu słowa księcia.

Choraży zmarszczył się, — odrzekł jednakże:

— Powiedz jego ekscellencji, iż śpieszę na jego wezwanie.

— Książę czeka w swoim gabinecie — dodał Iwo.

Choraży nic nie mówiąc, skierował swe kroki za poprzedzającym go młodzieńcem.

— Czego on się wciąż sroży — myślał sobie Iwo.

Gdy Choraży wszedł, książę powitał go miłym uśmiechem.

Pokrzycki od owej chwili, gdy otrzymał list do córki, nie widział księcia, — spojrzał też na niego prawie z podziwem. Dwa i pół roku, podczas którego książę wyjeżdżał kilkakrotnie ze stolicy, wyrzyły swoje piętno na całej jego postaci.

Młodziutki generał-lejtnant stał się teraz dojrzałym mężem; dojrzałym, — aniżeli jego dwadzieścia cztery lata wymagały. Z twarzy zniknęła dawna nadzwyczajna dobroć i tkiwość, zastąpiła ją zaduma i głęboka na czole zmarszczka. Tylko oczy po dawnemu patrzyły przejmująco i łagodnie.

— Słucham rozkazu jego ekszellencji! — rzekł Choraży z ukłonem.

— Sądziłem, że waszmość, mości Choraży, przybędziesz w towarzystwie swej córki, która jest przecie dawną moją znajomą.

— Córka moja, Olimpka, nie wyszła jeszcze z lat dziecięcych, — ma dopiero rok piętnasty, a jako wychowana w domowym zaciszu, nie umiałaby się znaleźć w obecności dostojnych osób. Zresztą, dom nasz okryty żałobą.

— Chciałem też oszczędzić jej wszelkiej ostentacji i w miejscu wolnem od dworskiej etykiety zapytać, jak jej nauki idą i czy straciła chęć, by służyć wojskowo — rzucił książę.

— Wieści niosą, że zdradza wielkie zdolności do

śpiewu i głos ma prześliczny? — pytał dalej, nie czekając odpowiedzi.

— Każemy ją kształcić, by przyrodzone zdolności rozwinąć — odparł Choraży.

— Nie chowajże światła pod korzec, mój mości Choraży, zrób mi tę przyjemność i na pierwsze zaproszenie przybądź z moją korespondentką.

— Jestem w żałobie... — począł Choraży.

— Ależ Olimpka nie może jej nosić przez całe życie! — rzucił z pewną niecierpliwością książę.

I zaraz dodał:

— Nie bądźże dziwakiem, mój mości Choraży i zaprezentuj nam córkę.

To mówiąc, skinął głową na pożegnanie, bo właśnie zbliżała się godzina, gdzie król po przyjęciu ceremonialnem w zamku, miał spędzić czas jakiś w gronie swoich najbliższych, wśród których ukochany synowiec pierwsze zajmował miejsce.

Z uśmiechem zadowolenia podążył książę na pokoje królewskie, niosąc dokładną wieść o wysokiej dziewczycy, która jak zjawisko nadziemskie przesunęła się w kościele podczas rezurekcyi. Lecz król, zajęty najwidoczniej czem innem, wysłuchiwał obojętnie całej relacyi.

Tymczasem Choraży z ciężkimi myślami powrócił do domu i z trapiącej go troski zwierzył się żonie i córce.

Chorażyna podzieliła tę troskę, i ona tak samo jak mąż, nie chciała córki na dwór książęcy i królewski wprowadzać, — o co gorliwie starała się większość ówczesnej szlachty i panów.

— Wśród zajęć, ciszy domowej i rozrywek z równymi sobie, największego szczęścia każda białogłowa zażyje! — powtarzała chorążyna z zupełnem o tem przeświadczeniem.

Olimpka, gdy się dowiedziała od ojca o całej rozmowie z księciem, zadrżała; poczęła ją bowiem trapić myśl, iż gdy książę zawezwie, będzie musiała mu się przedstawić.

— A może i śpiewać — dodała w myśli.

Przykładała się wszakże jeszcze bardziej do śpiewu, a lwo, gdy mu się zwierzyła ze swej obawy, pocieszał:

— Niech się panna chorążanka nie lęka, książę pan bardzo dobry, ja go się wcale nie boję!... Aleć to prawda, insza mnie, a insza pannie chorążance...

To mówiąc, zamyślił się i twarz jego śniada posmutniała.

Upłynęły jednak tygodnie, książę nie wzywał, i w duszę Olimpki wstąpił dawny spokój i pogoda. Nie panował jednak taki spokój w domu rymarza. Od chwili, gdy Jasiek wrócił i opowiedział o rozmowie swej z księciem, pani Lutakowa nabrała wielkiego rezonu.

— Ho, ho — mówiła — Jasiek mój nie byle ma łaski u księcia Józefa! jeno patrzeć, jak książę zjawi się w warsztacie i pojmie Jaśka do wojska.

Nie zjawił się wprawdzie książę, ale zaraz na trzeci dzień wbiegł jakiś elegant, wołając:

— Proszę o taką samą szpicrutę, jaką zrobiliście dla księcia Józefa Poniatowskiego!

Takiej samej nie było.

— Proszę więc o zrobienie zupełnie takiej samej jak najprędzej, jutro po nią przyjdę.

Szymon przyobiegał, ale pokręcił głową i rzekł:

— Musi z ową szpicrutą coś się stało i chcą taką samą podłożyć.

Omylił się jednak pan majster w swem przypuszczeniu, bo zaledwie ów elegant wyszedł, zjawilo się zaraz dwóch oficerów, zamawiając takie same szpicruty.

Lutak pogladził czuprynę z zadowoleniem i mruknął:

— Udała się Jaśkowi szpicruta!

A gdy przed skromną kamieniczką Szymona Lutaka, oprócz całego tłumu pieszych, poczęły zajeżdżać karety i obstalunki sypały się jak z rękawa, pani majstrowa przywdziała suknię cycową w wielkie kwiaty, a włożywszy z wielkimi szlarkami wysoki czepiec, siadła w sklepie i przyjmowała obstalunki. Potem zaś rozpowiadała kumom i sąsiadkom, jakiego to ich warsztat dostąpił zaszczytu.

— A to wszystko Jasiek nasz zrobił, ho, ho, ma on głowę! — mówiła z dumą.

Warsztat też nietylko w sławę, lecz i w talary się bogacił.

Majster Szymon nie mógł dać sobie rady z robotą. Złączył się nawet z trzema innymi rymarzami, a potem ilu ich było w Warszawie, wszyscy pracowali pod przewodnictwem Lutaka. Oprócz bowiem szpicrut, poczęto u niego zamawiać zaprzęgi i siodła. Rosła więc fortuna pana Szymona, lecz radość z pomnażania onej zatrzuwała

troska, wdzierająca się do macierzyńskiego serca pani Szymonowej.

— Bo to będzie komu to wszystko zostawić?... jeno patrzeć, Jasiek pójdzie na wojnę... i tyła!... — I kiwała smutnie głową, wzdychając.

— A cóż to on ułamek, czy co! — ofukiwał zwykle pan majster. — Nie wiesz to, że obowiązek każdego prawego rodaka służyć wojskowo! — dodawał, ocierając łzy ukradkiem.

— Gdyby wszyscy polecieci na wojaczkę, ktoby zaś uprząż robił! — zawołała Szymonowa.

— A my, my starzy, albo i niewiasty! miasto mlec językiem, niechby skórę ciągnęły! — odparł z uśmiechem małżonek.

— A niedoczekanie wasze, żeby białogłowskie ręce takiej podłej roboty się imały! — krzyknęła pani Lutakowa. — Słyszał to kto kiedy, żeby jaka niewiasta rzemiosłem się zajmowała! chyba koniec świata niedługo — mówiła cała zaperzona.

— Upamiętajże się człowieku i nie mów takich zbe-rezienstw, toć to bodaj grzech śmiertelny! — wołała.

Pan Szymon zaś, nic nie mówiąc, obciągał cienką żółtą skórą zgrabne siodło, przypatrywał mu się z upodobaniem i myślał:

— Zgrabnie będzie Jaśkowi na niem!

Jasiek bowiem, wezwany przez księcia Józefa do nowo szykującego się pułku, całe dni spędzał między ochotnikami, mustrując się i ucząc sztuki wojskowej.

Nie tak rozkosznie i nie tak gwarno było u Choraże-

go. Owszem, im więcej się roiło kupującymi u rymarza, tem ciszej robiło się w mieszkaniu zajmowanem przez państwa Pokrzyckich.

Ktoś z przybyłych do warsztatu usłyszał śpiew Olimpki, odtąd Choraży nie mógł się opędzić natrętnym pytaniom i chęci odwiedzin rozmaitych osób.

— Dom nasz żałobą okryty — powtarzał ciągle Choraży. — Żyjemy w ukryciu i w takim pragniemy pozostać. Nie kupiliśmy nawet domu, mieszkamy na pokomornem, nie możemy też nikogo u siebie przyjmować, ani też świata się pokazywać.

Łatwo to było rzec, ale trudniej dotrzymać.

Jednego dnia Tonicelli, nauczyciel śpiewu, rzekł do chorażyny:

— Każdy kto może przyczynia się do uświetnienia imienia monarchy: oprócz wielu innych uroczystości ma się odbyć solenne nabożeństwo w kościele Świętego Krzyża, nie podobna, żeby panna chorażanka pięknego swego głosu nie zaprodukowała.

Olimpka zbładła, usłyszawszy tę propozycję a chorażyna odparła:

— Młoda jest i do popisów wcale nie skłonna.

Olimpce serce drżało. Pragnęła widzieć wielką uroczystość, lecz teraz na myśl, iż mogłaby się tam znajdować, a nawet do uświetnienia onej się przyczynić, w głowie jej się mieszało.

— Śpiewać w kościele przy tylu osobach... w obecności króla, księcia Józefa!... — myślała sobie.

I sama nie wiedziała, czy drżenie, jakie ją obejmowało, oznajmiało lęk, czy też wielką ku temu ochotę.

Mówiła jednak sobie:

— Jeżeli Józef Drzewiecki, nie o wiele odemnie starszy, ma przemawiać na sejmie, czemużbym ja nie miała śpiewać w kościele?!

I stała się rzecz dziwna, były w niej teraz jakby dwie Olimpki. Jedna pragnęła śpiewać w kościele, druga za nic w świecie tego nie chciała.

Z tem wszystkiem, więcej niż kiedy płynęły z jej piersi dźwięczne pieśni, które, rozlegając się szerokimi tony, zastanawiały przybywających z zamówieniami do warsztatu Szymona Lutaka..

Każdy po uczynionym obstalunku pytał:

— Czyżże to głos taki prześliczny? Kto tak pięknie śpiewa, tam na piętrze?

Panna chorążanka Olimpia Pokrzycka — mówiła z wielką dumą imci pani Lutakowa, chwiejąc wyrurkowanym czepcem.

— J. wielmożny Chorąży już przeszło półtrzecia roku mieszka w naszym domu — dodawała.

— To ten sam, co to uprowadzili mu przed laty córkę, małą Justysię — ciągnęła dalej, zadowolona, że może się pochwalić i mieszkającymi na pokomornem, i wznowić opowiadanie smutnego wypadku, o którym wielu zapomniało, a wielu nie wiedziało zgoła.

Lecz opowiadanie pani majstrowej ginęło, nie robiąc wrażenia, każdy bowiem nadstawiał ucha, ażeby śpiew usłyszeć, a gdy ten milknął, robiono uwagi:

— Zadziwiające!

— Fenomenalne!

— To ta sama, cośmy ją widzieli na rezurekcyi — ktoś objaśnił.

— Ta wysoka?!

— Tak!

— Ma się głos gdzie rozlokować!

Nic więc dziwnego, że przy takim zajęciu się liczonej rzeszy głosem chorążanki, wieść o niej doszła do uszu króla.

Stanisław August, który protegował wogóle sztuki piękne, mocno się tem zainteresował.

Przypomniawszy sobie ową wysoką dziewicę z kościoła.

— Nie możemy pozwolić, ażeby tak świetny głos, jak powiadają, chowano w ukryciu! — to byłoby barbarzyństwem! — zawołał.

— Życzę sobie, ażeby mi przedstawiono tego pana posła szadkowskiego! — dodał.

Życzenie króla spełniono i poseł szadkowski zaraz na drugi dzień stanął przed obliczem monarchy.

— Wolałbym, żeby zajmował się sprawami państwa, niż głosem mojej Olimpki—myślał sobie pan Pokrzycki, idąc na pokoje.

Niemniej jednak po wyjściu z nich, poczciwy szlachcic tak był przejednany dobrocią i uprzejmością króla, iż w duszy rozważał:

— Co to za umysł u naszego pana! jaka pamięć! przypomniawszy sobie zaginięcie Justysi!...

I oto na drugi dzień Olimpka w towarzystwie ojca znalazła się na pokojach królewskich.

Małe grono zaufanych przypuszczone było do tego artystycznego festynu.

Olimpka, wprowadzona przez ojca, dość niezgrabny oddała ukłon. Damy zakryły usta wachlarzem, ażeby skryć pół-uśmiech.

Zaraz też zbliżył się Tonicelli wskazał jej miejsce tuż przy klawikordzie, zdobnym w złożone skrzydła i osadzoną na długiej szyi głowę jakiegoś ptaka, który miał wyraz śpiewającego całą pełnią swego gardła. Olimpka, nie wiedząc, co zrobić z oczyma, utkwiała wzrok w ową mistyczną głowę i nomyślała sobie:

— Ach, mój Boże, żeby też ten ptak dopomagał mi w śpiewie!

Wkrótce drzwi się otworzyły, wszedł monarcha w towarzystwie księcia Józefa.

Wszyscy zgięli się w ukłonie, Olimpka jeszcze niezgrabniej dygnęła i cała zarumieniona stała pod wejrzeniem kilkunastu par oczu, nie śmiać głowy podnieść do góry.

Gdy ją podniosła, ujrzała łagodny wzrok króla skierowany na siebie i to ją nieco uspokoiło.

Na dany znak Tonicelli uderzył w klawisze, spojrzał zachęcająco na swą uczenicę, a ta, zapomniawszy o wszystkim, śpiewać poczęła.

Z początku głos jej drżał nieco, po chwili jednak uniesiona zapałem zapomniwała, gdzie się znajduje i pieśń jej płynęła swobodnie, rozlewając się czystą dźwięczną melodią.

I zdawało jej się, że to nie ona śpiewa, tylko ptak ten w którego otwarte wpatrywała się gardło.

Wreszcie skończyła śpiew i zupełnie swobodna tak zapomniała o wszystkim, iż o mało nie poprosiła nauczyciela, ażeby mogła jeszcze co zaśpiewać. Szmer podziwu przywołał ją do przytomności. Podniosła oczy, przy niej stał książę Józef i mówił:

— Jako dawny znajomy panny chorążanki, przychodzę podać jej rękę i poprowadzić przez oblicze monarchy.



Olimpka podniosła oczy i nic nie mówiąc, pozwoliła się odprowadzić.

— Ukłonić się monarsze nisko, niziutko! — pouczał książę. — I, podprowadziwszy ją, usunął się na bok. Olimpka oddała ukłon, jak umiała najlepiej, wywołał on jednak znów uśmiech na twarzy obecnych.

Lecz król rzekł:

— Dziękuję ci, moje dziecko, żeś prześlicznym swym śpiewem uprzyjemniła mi chwilę.

— Nie lękaj się, nie trwóż, jesteś pod moją opieką! — dodał.

— Szczęśliwą się czuję, żeś miała zaszczyt śpiewać w obecności, najmiłościwszego monarchy! — wyszeptowała wyuczony przed tem frazes.

— Będiesz często przebywać na naszym dworze, pragnę byś talent swój rozwinęła! — rzekł król Łaskawie.

— Mnie tak dobrze w domu! — wyszeptwała Olimпка.

Król się uśmiechnął, a książę nie chcąc nieobeznano z dworską etykietą dziewczęcia narazić na żarty dam, lub nielaskę monarchy, dał jej znak, że posłuchanie skończone i odprowadzając ją, szepnął:

— Proszę mnie po dawnemu zaszczycać swoim zaufaniem.

— Oh, mości książę, ja się tak wstydzę... — odrzekła Olimпка.

I zarumieniwszy się, nie śmiała dokończyć.

— Znajomości ze mną? — spytał książę, przypatrując się dziewczęciu, które równało mu się prawie wzrostem.

— Łaska jego książęcej mości czyni mi wielki zaszczyt a słowa, wypisane w odpowiedzi na mój niefortunny list, stały się dla mnie gwiazdą przewodnią — odrzekła.

— Więc nie myślimy już o wstąpieniu do woj-ska? — spytał książę.

Olimпка spojrzała na niego oczyma pełnemi wyrazu.

— Nie tylko żołnierzy lecz i dziewic umiejących spełniać swe obowiązki do swego uszczęśliwienia rzecz-pospolita potrzebuje! — odparła chorążanka słowami listu ongi odebranego.

— Moją własną bronią zostałem pobity! — zaśmiał się książę.

Łaska monarsza i szczególniejsza uprzejmość księcia Józefa dla nowicyuszki na pokojach królewskich, a zarazem jej wyjątkowo piękny głos, zjednały jej względy całego towarzystwa.

Damy, które poprzednio zasłaniały półśmiejch wachlarzem, wyrażały jej obecnie wielkie sentymenty; grzeczni kawalerowie nie szczędzili komplementów, które mogły odurzyć nie tylko tak proste jak Olimпка dziewczątko, lecz nawet przyzwyczajoną do dworskiego obyczaju pannę.

— Charmante, charmante! — mówiła, przypatrując się jej, pani Stanisławowa Potocka.

— Extrêmement gauche, mais elle chante... oh!... — dodała pani Ignacowa. I podniosła oczy w górę, wyrażając w ten sposób swój zachwyt.

— Ślicznym cię głosem Pan Bóg obdarzył, moje dziecko — rzekła pani marszałkowa Lubomirska, wyciągając do Olimпки rękę serdecznie.

— Śpiewaj, ptaszyno, śpiewaj, na chwałę Bożą i rozradowanie serc ludzkich! — dodała.

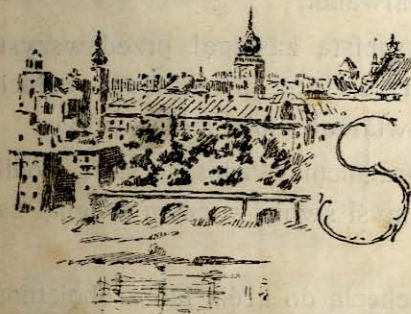
Jak tylko zakończyła się ceremonia przedstawienia się znakomitszym osobom, Choraży podał córce rękę i uprowadził z tej atmosfery upajającej.

Gdy już siedzieli w karecie, spytał:

— Możebyś ty i chciała zostać na dworze królewskim?

— Oh, za nic w świecie! — zawołała dziewczę, tuląc się do ojcowskiego ramienia.

XII UROCZYSTOŚĆ.



Skapana w pogodnym wiosennem słońcu Warszawa, jaśniała również pogodą. Stare mury zdawały się uśmiechać, a twarze przechodniów nęciły bezmiernem duszy rozradowaniem. Starcom wygładziły się zmarszczki, wyprostowały przygarbione plecy, przygasłe oczy błyszczały ogniem młodości.

— Młodzież z zaciekawieniem chwytła słowa i uśmiechy, i z gorączkową gotowością pragnęła stanąć do pracy, o której na każdym rozprawiano kroku. Dzieci uśmiechały się rozkosznie, wyciągając rączkę do złotych promieni słońca, jakby z nimi uchwycić i w drobnych dłoniach zatrzymać chciały w całym przestworzu uczucia i myśli. — Zatrzymać i w przyszłości utkać z nich złotą przedzę — ziścić przepelniające pierś ogółu nadzieje.

Wszędzie tylko mówiono o podniesieniu nauk o zakładaniu nowych szkół o rozwoju literatury i sztuki, o rozszerzeniu przemysłu, handlu i doprowadzeniu kraju do wielkiego dobrobytu i poczucia swojej osobistej godności.

— Musimy zdobyć bogactwo moralne i materialne! powtarzała młodzież.

— Musimy! wykrzykiwano.

— Muszę zdobyć osobistą zasługę! przedewszystkiem złote ostrogi i przezwisko „Przybłęda“ ozłocić szlachetnym czynem! powtarzał sobie w duszy Iwo.

I drżały te myśli i pragnienia wznosząc się z modlitwa ku niebu,—a każdy myślał swoją w czym pragnął zamienić.

Serca które były niechęcią do króla lub z obojętnością patrzyły na jego dotychczasowe panowanie, uderzyły teraz ku niemu przyjaznym tętnem.

Dzień więc jego imienia, dzień 8-go maja, miał być obchodzony z niezwykłą dotąd uroczystością.

Kościół Ś-go Krzyża, przybrany wczesnym już rankiem, przepełniał się publicznością.

Obszerna nawa nie była w stanie pomieścić wszystkich tłoczących się w jego podwoje, — wpuszczano tylko dostojników, posłów rozmaitych ziem, przedstawicieli państw zagranicznych, oraz tych, którzy do uświetnienia uroczystości mieli należeć.

Po obu stronach urządzono stopniowo na wzniesieniu ławy dla senatu i posłów. Najwyżej w głębi, świet-

niał tron dla króla, otoczonego posłami zagranicznymi i przybycznym dworem.

Szpalerem po obu stronach stanęli kadeci, których wprowadził Adam Czartoryski, zajmwszy potem miejsce nieopodal tronu.

O godzinie 9-ej rano, za wejściem króla, kapłan w złotolitych szatach z właściwą asystą rozpoczął bezkrwawą Ofiarę.

Wszystkie głowy pochyliły się w modlitwie, nawet serca najobojętniejszych zadrżały żywszym tętnem.

Po skończonej Ofierze, zabrzmiało „Te Deum“, wśród którego górował prześliczny głos niewieści. Był to głos Olimпки Pokrzyckiej.

Metalicznym donośnym swym dźwiękiem, wznosił się pod sklepienia świątyni, przedzierał jej grube mury, biegł ku niebu z dziękczynno-błagalną nutą i przepełniał serca zebranych podniosłym, wielkim uczuciem.

Podziwiano ten śpiew fenomenalny najwyższemu ze wszystkich podziwem, — skupieniem ducha i najzupełniejszym milczeniem.

A co się działo w piersi śpiewaczki?

Jej się zdawało, że chór Aniołów dopomaga jej w śpiewie i w podniosłości swojego ducha, widziała ich zstępujących na złotym promieniu słońca, otaczających swym skrzydłem zebranych. Po skończonym śpiewie, padła na kolana, przymknęła oczy i pozostała tak w wielkim upojeniu.

Tonicelli, który na każdy ruch swej uczennicy uważał, co była jego chlubą i według niego miała stworzyć

nową erę w świecie muzykalnym, — uszanował jej ekstazę i wprost bronił wszystkim do niej przystępu.

— W tej młodej piersi drgają teraz tony, które stworzą pieśń, godną podziwu. Natchnienia przerywać nie można! — powtarzał.

I czy uszanowanie dla owej budzącej się pieśni, czy wielość zajęć usunęła z jej drogi natrętnych.

Usunął się teraz i Tonicelli.

Długie upływały godziny, — kościół opustoszał, a natchniona nie budziła się ze swego odrętwienia.

Nagle zerwała się, wyciągnęła ręce przed siebie i wielkim zawołała głosem:

— Panie, miej zlitowanie nad nami!

Lecz głos jej odbił się o pustą nawę kościoła.

Mrok w nim panował zupełnie, tylko przed ołtarzem migotała mdlejącem światłem lampka.

Olimpka otworzyła oczy, wpatrując się w migotliwe jej światło.

W tej chwili ktoś dotknął jej ramienia.

To matka, która nie rozstając się na chwilę z ukochaną córką, była z nią na chórze i z ciemnego zakątka bacznie na nią spoglądała. Po skończeniu śpiewów, widząc ją zamodloną, w nadziemskim zachwycie, nie chciała z niego rozbudzać.

Teraz rzekła:

— Pójdź, dziecko, — tam przed ołtarzem dokończymy modlitwy.

I zeszły.

Na stopniach ołtarza klęczała postać młodzieńca.

Był to Iwo.

Po skończonem nabożeństwie, wszedł do kościoła, a gdy wszyscy oddawali się uroczystościom dnia, — dwie młode dusze wznosiły swe modły w opustoszałej świątyni.

Za przyjściem chorażyny z córką, młodzieniec drgnął; zbudzony ze swej modlitwy, spojrzał na klęczące obok niego kobiety.

Światło lampki rzuciło błady blask na twarz Olimpki. Iwonowi zdało się w tej chwili, że od tej twarzy biją jakieś nadzwyczajne odbłyśki i drżącemi wyszeptał usty.

— Panie, ochrońże ją, ochroń od złego!

Kobiety powstały z klęczek i wolnym krokiem wychodziły z kościoła, obok nich szedł Iwo.

Na ulicy był mrok zupełny. Gęste chmury przysłoniły pogodne przedtem niebo!

Z dala dochodził ryk burzy i zmieszane głosy, jakby szumy przelewającej się fali.

Przed kościołem było pusto zupełnie, tylko dworska karetka oczekiwała na śpiewaczkę.

Olimpka znużona śpiewem i upałem; — wewnętrznym przejawem duszy, z którego sobie zdać sprawy nie mogła, osunęła się teraz na ręce matki i Iwona.

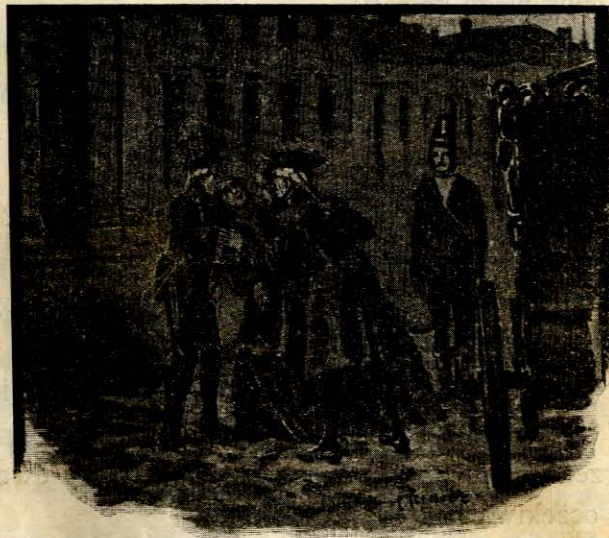
Zjawił się też i Tonicelli, który miał ją zawieźć do zamku.

Ujrzawszy zemdloną, począł wołać zrozpaczonem głosem.

— Ona mdleć nie może! — cóżby się stało z pieśnią, ułożoną na dzisiejszą uroczystość przezemnie! Cała moja przyszłość od tej pieśni zależy! — wołał, chwytając się za upudrowaną perukę.

Wołanie jego nic nie pomogło.

Olimpka otworzyła oczy, lecz czuła się tak wyczerpaną, iż o swojej sile kroku postąpić nie mogła.



Wsadzono ją do dworskiej karety, — wsiadł z nimi zrozpaczony twórca pieśni, lecz kareta miast do zamku, odwiozła ją na Piwną.

Tonicelli widział, iż wszelkie marzenia o śpiewaniu jego utworu na dworze królewskim spęłzyły na niczem.

Odjechał zrozpaczony ze ściśniętym sercem, niosąc wieść o nagłej chorobie śpiewaczki.

Tymczasem Olimpkę wniesiono na górę, ułożono jak najwygodniej, a odrętwiała rozpaczą chorążyna padła na kolana przy łóżku córki, wpatrując się w jej twarz pobladłą.

Kumosia, pocieszając jejmość dobrodziejkę, krzątała się około przygotowania orzeźwiającego napoju i szepcząc modlitwę, ukradkiem lzy ocierała.

Iwo stanął w nogach łóżka, przypatrywał się leżącej w pobożnem skupieniu i pytał sam siebie w myśli:

— Czyż dusza jej uleciała już do Boga i z górnych niebios spogląda jeszcze na nas?

I nie dziw, że zadawał sobie takie pytanie.

Olimpka, leżąc z otwartymi szeroko oczami, wpatrywała się w jakąś dal bezmierną, — przywoływała postaci przez siebie tylko w tej chwili widziane, wymawiając bezładnie niezrozumiałe dla otaczających wyrazy.

— Boże, Boże, miej zlitowanie nad niemi!... — wołała co chwila, w jakimś nadziejskim natchnieniu.

— Boże, miej zlitowanie nad nami! — powtarzał za nią Iwo, i do tej modlitwy dodawał:

— Pozwól mi o Panie, bym i ja stanął do boju!

Wśród tego szamotania się i przywoływania mar, dla niej tylko widzianych, leżąca słabła coraz więcej.

Zdawało się, iż życie z niej ulatuje, aż wreszcie uśmierzając się boleśnie, przymknęła oczy i wymawiając coraz ciszej wyrazy, zasnęła.

Matka zerwała się z klęczek, w obawie czy sen wie-

czny nie zamknął powiek jej ukochanego dziecięcia. Przyłożyła dłoń do jej czoła, pochylając się nad leżącą.

Olimpka oddychała prędko, jakby długą znużona wędrówką, aż oddech jej stawał się coraz swobodniejszy, — zasypiała spokojnie.

— Dzięki Ci, o Najświętsza Maryo, której w opiekę tę moją ukochaną oddaję! — wyszeptala matka.

Iwo padł na kolana i ukrywszy twarz w dłoniach, serdeczną ku niebu zanosił modlitwę.

A uroczystości tymczasem rozlegały się głosami radości, następowały jedna po drugiej, jak gdyby chłano od razu wychylić do dna kielich wszelkich rozkoszy.

Na zakończenie dnia w teatrze królewskim dawano dramat Niemcewicza p. t.: „Kazimierz Wielki,” przyjmowany przez widzów z nadzwyczajnym zapalem.

Chcąc zaś monarchę uczcić i w dniu następnym, urządzono na wyspie w Łazienkach przedstawienie baletowe.

Król po zakończeniu całodziennych prac jechał zwykle na schyłku dnia do Łazienek, gdzie wśród najzaufanych osób, lubił spędzić jakąś godzinę, oddając się swobodnej rozmowie. Lubił też bardzo, jeżeli znalazła się jakaś niespodzianka i prostotę otoczenia w sztuczną zamieniała atmosferę.

Balet więc ów miał być niespodzianką, a zarazem dalszym ciągiem wczorajszych uroczystości.

Ułożony stosowny do okoliczności obraz zakładać miał taniec nimf leśnych, trzymających w sztucznym oświetleniu cyfrę królewską.

Jak Tonicelli z ułożonej pieśni, tak baletmistrz z uło-

żonego obrazu rokował dla swej przyszłości najświetniejsze nadzieje.

Niepowodzenia go jednak spotykały, rwał sobie włosy, o mało nie oszalał z rozpaczy; na godzinę jednak oznaczoną wszystko było gotowe, tylko baletmistrz nie odstępował młodzietkiew nimfy, która miała główną odtańczyć rolę.

Król zapewne domyślał się niespodzianki, udawał jednak najzupełniejszą nieświadomość i o zmroku wyruszył na zwykłą przejażdżkę.

Niebo, jakby w zмовie z urządzającymi niespodziankę, świeciło miliardami gwiazd a powietrze orzeźwione wczorajszą burzą, przesiąknięte wonią wiosennej zieleni, dodawało upajającego uroku.

Za przybyciem do parku król, jakby nie chcący, skierował swe kroki w stronę teatru, który błyszczał tysiącem różnobarwnych lamp.

— Nasz ulubiony park bogowie zamienili w własny swój przytułek! — zawołał król, ujrzawszy piękne oświetlenie.

— A tam nimfy leśne oczekują na przybycie jego królewskiej mości! — rzekł generał Komarzewski, wskazując udekorowane wejście do teatru.

Stanisław August z uśmiechem zadowolenia wszedł do urządzonej dla siebie łoży i z prawdziwym podziwem przypatrywał się scenie zamienionej w gaj, pełen południowej zieleni, która wśród sztucznego blade-różowego oświetlenia zdawała się być przybytkiem istot nadziemskich.

Stroje nimf, ich giętki, pełen poezji taniec zachwycił monarchę. Najwięcej jednak zachwycił go młodziutka, nie wyszła z lat dziecięcych nimfa, która w lekkich podskokach i ukłonach odtńczyła główną rolę, trzymając nad głową uwieńczoną cyfrę królewską.

— Zachwycające dziecię, proszę ją przyprowadzić, ażebyśmy mogli podziękować za chwilę uroczą — rzekł monarcha po skończonem przedstawieniu.

Komarzewski, nie dając się nikomu wyprzedzić w spełnieniu żądań monarszych, pobiegł zaraz. Po chwili jednak powrócił z miną niezadowoloną, mówiąc:

— Nimfa jako boginka ulotniła się i śladu po niej nie zostało...

— Więc to jakaś baśń cudowna! — uśmiechnął się król, domyślając się nowej niespodzianki.

— Rzeczywiście cudowna — odrzekł Komarzewski, nie wyprowadzając króla z miłego złudzenia. Ktoś jednak, chcąc mu przystawić stolka, wtrącił:

— Rzeczywiście cudowna artystka, która miała przedstawić nimfę, wczoraj nogę złamała. Zrozpaczony baletmistrz szukając, ktoby ją mógł zastąpić, pochwycił jakąś dziewczynę od przejezdnych linoskoków, wyuczył roli i zaprodukował. Nadzwyczajny talent. Ale ojciec, czy też pan owej linoskoczki, wziawszy za jej występ grube pieniądze, podał za warunek, że w tej chwili po przedstawieniu zabierze swą własność. Co też uczynił i pochwyciwszy na ręce, uszedł z nią skryć się w swej norze.

— Cóż za niesmaczna historia — rzucił król, nie zadowolony z opowiadania.

Wyszedł też w złym humorze z przedstawienia. W duszy zaś myślał sobie:

— Szczególne... śpiewaczka nagle zachorowała, baletnica nogę złamała! zły to omen, zły! — i westchnął.

Każdy zaś z uroczystości szedł do pracy i obowiązków, chcąc niemi uwiecznić dni radości i upojenia. A czas płynął i płynął, jako fale niewstrzymane w biegu.

Sejm, mając wiele spraw do załatwienia, obradował wciąż nad niemi, co jedną załatwił, rozpoczynał drugą.

Obok wielkich spraw wychodziły częstokroć na pozor drobne, mające jednak związek z głównem założeniem obradujących.

Nadeszła też i chwila rozpatrywania spraw ziemi wołyńskiej, na co nieszczęśliwy paralityk, Felicyan Drzewiecki, z utęsknieniem oczekiwał.

— Pozwól mi, Panie, doczekać chwili, w której będę mógł zdać sprawę z mego szafarstwa tu na ziemi — bełkotał chory mową zrozumiałą tylko dla nieodstępującego go syna.

I doczekał się wreszcie owej chwili.

Przy końcu roku 1791 miano nad sprawą ziemi wołyńskiej i powołanych z niej posłów obradować. Posiedzenie owego dnia budziło niezwykle zajęcie, nie tylko na ważność sprawy, lecz i na przemówienie siedemnastoletniego Józefa Drzewieckiego który w imieniu sparaliżowanego ojca miał stawać. Chodziło tutaj o uniewinnienie schorzałego Felicyana Drzewieckiego, posła łuckiego, którego oskarżono, jakoby wraz z całą ziemią wołyńską do partyi niechętnej królowi miał należeć.

Trzeba było tę dyfamię zmazać i gorącym przemówieniem zetrzeć łeb fałszywym pogłoskom, a też i powód do wielkich niesnasków i kłótni zażegnać.

Dziwiono się, że obronę tak ważnej sprawy powierzono młodzikowi, gdy jednak rozważono, że nikt lepiej całej sprawy wiedzieć nie może, bo nikt nie rozumie niewyraźnej mowy jego ojca, przestano się dziwić, i z wielką niecierpliwością przemówienia oczekiwano.

Co się działo z młodym mówcą przed wystąpieniem na arenie publicznej, jemu tylko i Panu Bogu wiadomo. A może i on sam nie zdawał sobie dostatecznej sprawy z uczuć, jakie mu w owym czasie pierś rozpierały.

Widział się ważną osobą, a czuł swą nieudolność; rozumiał ważność sprawy, nad którą miał się zastanawiać, lecz rozumiał zarazem, że w mowie jego każdy wyraz powinien być prawdziwy, szczery i serdeczny i że każdy będzie pod surową krytykę poddany.

Pracował też zawzięcie nad obrobieniem swego przemówienia, lecz mimo całej usilności wyszła mowa pełna ozdób i zwrotów retorycznych, których co tylko skończony uczeń szkół Krzemienieckich miał pełno w głowie.

Czytał więc i odczytywał, lecz nie ufał sobie i zwierzył się ze swej troski panu Stanisławowi Brezie, posłowi gnieźnieńskiemu a przyjacielowi ojca.

— Przeczytajno, zobaczymy! — rzekł Breza.

Młodzieniec z bijącym sercem czytał, starając się uwydatnić najbardziej napuszone, a według niego najpiękniejsze zwroty.

— Piękne to piękne — mówił poseł — dużo bardzo uczucia, lecz mój młody przyjacielu, wszystko co najpiękniejsze popsuleś zwrotami napuszonemi!

Młodzieńcowi krew do głowy uderzyła, ból ścisnął serce i rzekł ze smutkiem:

— Więc wszystko na nic!

— Uchowaj Boże, trzeba jeno raz jeszcze przeczytać i te wszystkie kwiaty i porównania wykreślić! — rzekł Breza.

Siedemnastoletniemu mówcy aż lzy stanęły w oczach, począł jednak czytać i poddał pracę swoją pod operacyę wytrawnego znawcy.

Czytał raz jeszcze przy nim i z bólem serca wykreślał wielkie porównania do wschodzącego słońca, do Zeusa zasiadającego na Olimpie; — o rosie spadającej na spieczoną ziemię, o Arystotelesie i Peryklesie, — o Neptunie wzburzającym fale morskie i Wulkanie rzucającym pioruny; — słowem odrzucił wszystko, co uważał, iż czyni mowę zbyt napuszoną i rozwlekłą.

— Teraz jest to, co młody obywatel czuje i co powinien wyrazić, a co student byliby popsuł ze szczętem! — rzekł Breza, wysłuchawszy poprawionej mowy¹⁾.

— Winszuję ci, mój młody przyjacielu — dodał, wyciągając rękę — ze swemi zdolnościami zajdziesz wysoko, tem więcej, iż strzeżesz się zarozumiałości.

Serce zadygotało panu Józefowi radością, nabrał otuchy i rzekł sobie:

¹⁾ Pamiętniki Drzewieckiego.

— Przeczytam to chorążance, — ona... ona... wiele rzeczy nie rozumie, ale odczuwa.

Rzeczywiście, Olimpka od owego omdlenia po wyjściu z kościoła, stała się jakąś zupełnie inną istotą. Cicha, potulna, slaniała się po niewielkich komnatkach na Piwnej. Nad wiek wyrosła wzrostem i umysłem, z twarzą przezroczyście-białą, zdawała się być cieniem dawnej zdrowej i hożej dziewczeczki.

Całe godziny spędzała w zamyśleniu, a potem śpiewała pięknym zawsze lecz przyciszonym głosem.

Nie były to jednak pieśni wyuczone przez Tonicellego, lecz płynące z jej rozegzaltowanego serca improwizacje.

Czasem znów zapatrzona wdał, ze splecionymi rękami na kolanach, wypowiadała piękne i podniosłe myśli, jakby natchnione proroctwa, które zwykle kończyła wciąż powtarzaniem:

— Boże mój, Boże, miej zlitowanie nad nami!

Czasem znów wołała:

— Justysia, ach, widzę ją, widzę! piękna, strojna, tłum ją otacza! Strzeż ją o Boże!

Wtedy matka nadstawiała ucho, pytała gdzie jest ukochana zaginiona, kędy ją szukać, lecz Olimpka potrasała wtedy głową i mówiła:

— Nie wiem, — widziałam ją we mgle i jasności, ale ta jasność nie była z nieba. Bóg ją uratuje... znajdzie się, znajdzie.

Mimo, iż chorąstwo pragnęli w jak największej tajemnicy zachować ten dziwny stan córki, wieść jednak

o jej przepowiedniach poczęła rozchodzić się po mieście, dochodziła nawet zwykłą drogą plotek do króla.

Stanisław August wierzył w przepowiednie, chwycił więc wszystkie wieści o młodej, jak ją nazywano, natchnioną, mówiąc:

— Może to jaka polska Lenormand.¹⁾

I westchnawszy, zamyślił się głęboko.

Od tego czasu do młodej chorążanki przylgnęło nazwisko francuskie. Wielu ciekawych, jak poprzednio z powodu jej nadzwyczajnego głosu, tak teraz ze względu na jej przepowiednie, byliby radzi wdrzeć się do domu posła szadkowskiego.

Książę Józef wypytywał się o nią Iwona, lecz ten po wolny zwykle wszelkim żądaniom swego opiekuna i nie mający przed nim żadnej tajemnicy, rzekł teraz:

— Imci panna chorążanka trawiona jest podobno straszną gorączką i w takowej bredzi, — plotka jednak, żeby to miały być jakieś nadzwyczajne przepowiednie...

— Słyszę, że najczęściej wspomina Justysię, goni wciąż za nią myślą! — dodał:

Rodzice również odpierali wszelkie natrętne pytania, spoglądając ze drżeniem na chorą.

Otaczali ją największymi staraniami, obawiając się zarazem spłoszyć myśli i widzenia chorej, do których się uśmiechała, nad którymi bolała, a które jednak były jej nadziemską rozkoszą.

¹⁾ Marya Lenormand ur. 1772 w Alençon, wychowana tamże u Benedyktyniek, mając lat 16 przepowiedziała Maryi Antoninie smutne jej losy.

Kumosia, kiwając głową i znosząc najrozmaitsze leki, chodziła na palcach, modliła się po cichu i gładziła bujne ciemne włosy swojej pieszczotki.

Błada twarz Olimpki ożywiała się zwykle jaskrawym rumieńcem gdy ojciec, powróciwszy z sesji sejmowej, opowiadał o jej wynikach, gdy Iwo teraz już uczeń szkoły wojskowej, mówił o naukach tam wydanych i snuł projekty przyszłości, lub Józef Drzewiecki wspominał jej o pracach swoich.

Z tym ostatnim łączyła ją od pierwszego poznania serdeczna sympatya. Rodzice, patrząc na to, snuli projekty połączenia tych dwojga młodych dusz, tak niezwykle podniosłych i tak do szlachetnych czynów dążących, lecz od chwili choroby Olimpki, smutnie tylko patrząc na nich, wzdychali.

Teraz, gdy przyszedł mówca czytał swą mowę, twarz dziewczęcia promieniała radością, a blade rumieńce od czasu do czasu ją krasiły.

Gdy skończył, wyciągnęła doń białe swe dłonie, wołając:

— Idź, idź w imię Boże, spełnij posłannictwo twoje!

— Och, to piękne, bardzo piękne i szczytne bronić sprawiedliwości! — dodała.

— Będziemy jej zawsze i wszędzie bronili oboje! — zawołał młodzieniec, ściskając dłonie dziewczęcia.

— Będziemy, będziemy! — odrzekła z zapalem, — choć drogi nasze się rozejdą! — dodała, wysuwając ręce.

Młodzieniec spojrzał na nią, widząc jednak, że

przymknęła oczy i ruchem ręki wskazuje, żeby odszedł, nie chciał jej drażnić i w smutnem milczeniu się oddalił.

Na drugi dzień, pełen otuchy, o naznaczonej godzinie znalazł się w zamkowej sali, w obecności posłów wszystkich ziem, panów radnych i samego króla.

Wniesiono też i ojca jego.

Widok zebranych, wstrząsnął młodzieńcem i odebrał na chwilę odwagę.

Lecz w uszach jego brzmiały wyrazy:

— Idź, spełnij posłannictwo twoje!

Spojrzał, a wśród tylu ocz, patrzących na niego ciekawie, spostrzegł wzrok schorzałego ojca, błyszczący w tej chwili oczekiwaniem, który zdawał się mówić:

— Śmiało, broń sprawy, której ja nie mogę już być rzecznikiem!

Wśród głuchego milczenia rozpoczął rzecz swoją, w miarę jego mowy, twarze się ożywiały, nabierając coraz przychylniejszego wyrazu.

Skończył nareszcie.

— Nie winien! — rozległ się ogólny okrzyk.

— Przypuszczony do dawnych łask naszych! — ozwał się monarcha.

Poczem przedstawiono mu młodego mówcę.

— Będiesz podporą tronu i ozdobą Rzeczypospolitej — wyrzekł król łaskawie.

— A na znak, wyjątkowej łaski naszej, obdarzamy cię znakiem zasłużonych.

Złota ostroga.

— Pozwól, najjaśniejszy panie, niech rzeczywiście na znak ten zasłużę, — dziś rumienilibym się, nosząc takowy! — odrzekł młody mówca z ukłonem¹⁾.

— Dielny z ciebie młodzieniec! — rzekł król, wyciągając z ojcowską serdecznością rękę, którą młodzian z zapalem ucałował.

¹⁾ Historyczne.

XIII

P I E Ś Ń.

Ciężkie chmury nadciągały całem brzemieniem, — czasem błysk rozjaśnił zasepiony horyzont, lecz potem zaraz uderzał grom wstrząsający całem przestworzem.

Wielekroć razy słońce wschodziło nad głowami obradujących, aż nareszcie zaszło nie doczekawszy się zupełnego rozwoju tych obrad.

Do wojska za to napływało więcej ochotników, a książę Józef dnia prawie nie mógł zabawić w Warszawie lub w podarowanej mu przez stryja-króla uroczej Jabłonnie.

Na Ukrainie około Braclawia miał gromadzić swe siły; — trudne to było zadanie. — Ludzi wprawdzie nie brakło, trzeba było jednak myśleć o zdobyciu broni i amunicji, bo skarb niedostatecznie zaopatrzony; nie dawał ku temu właściwego funduszu.

Znalazło się jednak dużo ludzi dobrej woli, spieszących z pomocą. Pominawszy już rodziny pańskie i szlacheckie znane ze swej ofiarności, nadmienić trzeba, iż ludzie żyjący z pracy rąk własnych, przysługiwali się chętnie młodemu wojsku. Więc nie jeden stelmach przyprowadził wóz, — rymarz służył zaprzęgą, — kowal

— Witaj, pocziwy Janku, — ale cóż to, kulka cię widzę drasnęła! — rzekła Olimpka, podając rękę dawnemu znajomemu.

— Nie kulka, jeno pałasz mnie musnął, — aleć ten, co mnie tak poczęstował, więcej już na nikogo ręki nie podniesie, — odrzekł z pewną dumą młody żołnierz.

— Aleć mój Jezu, mój Jezu, — toć mi serce taką radością w tej chwili bije, jak gdybym z dziesięć głów nieprzyjacielskich z karku zsadził! — mówił dalej, całując podaną sobie rękę.

— Ale zkąd panienka tutaj!? a j. wielmożny choraży, a j. wielmożna chorażyna, a Justysia? — pytał jednym tchem, chcąc od razu o wszystkim się dowiedzieć. Olimpka nie odpowiadając szczegółów, odrzekła wzdychając:

— Justyni, jak nie było, tak niema, — ojciec, jak zwykle zajęty sprawami publicznymi, — matka osiadła na dewocyi u P.P. Sakramentek, — a ja od pół roku u pani generałowej uczę się w jej szkole; — mówiła dalej.

— I przyszła panienka do nas! — dodał, przypatrując się towarzyszcze z lat dziecięcych.

— Przyszłam, przyszło tu nas bardzo wiele, ażeby wam powiedzieć, żeście dzielnie przeszli próbę ognia i że spodziewamy się, iż powrócicie okryci sławą, niosąc nam spokój i szczęście.

— Oh, panienko, gdybym jeno podolał, gdybym podolał!

— Jeden nie poradzi, — ale gdy wielu będzie miało

taki zapal, łatwo osiągniemy cel naszych marzeń, — rzekła jedna z towarzyszek Olimpki.

— Posilcie się teraz panie żołnierzu, — bo mdłe ciało nie podola silnej duszy! — dodała druga, podając przeznaczoną dla niego porcję.

— Bóg niech wam w dalszych bojach dopomaga i odmuśnięcia pałaszem, czy kulą broni! — dorzuciła Olimpka.

— Rana nie boli, gdy się wie, za co ją się dostaje, ba i śmierć nawet nie będzie ciężka! — odrzekł do odchodzącej żołnierz.

— Prześlę wiadomość twoim rodzicom, — dorzuciła zwracając się jeszcze chorażanka.

— Niech i panienka pozdrowi, — jeno niech nie mówi o tej chuście na czole, — bo matczyśko płakałoby, a i ojcu byłoby markotno, — prosił Janek, chcąc jak najdłużej przeciągnąć rozmowę. Lecz Olimpka szła dalej spełniać swoje zadanie.

— Zkąd ona się tu wzięła, — zkąd? — pytał sam siebie Janek.

— Miała ochotę do wojska, — ba więcej ci ona uczyni słowem, niżby ręką zdołała!... — dodał.

I poczał opowiadać towarzyszom, kto to jest ta wysoka panna i jak kiedyś będąc dzieckiem, chciała wstąpić do wojska.

— A to wszystko dlatego, żeby szukać swojej siostry Justysi, — co ją ktoś ukradł, czy cos, — dodał.

— Co? jak? gdzie? — posypały się pytania.

Janek spożywając zostawiony posiłek, opowiadał o zaginieniu Justysi.

— Et, bajecie! — ozwał się jeden, — ktoby tam dzieci kradł, każdy ma ze swoimi dość kłopotu! Nas oto było czternaścioro, to matka sama nie wiedziała jak sobie dać radę! — ozwał się jeden z żołnierzy.

— To też nie byłaby piętnastego wzięła, — ale żeby tak była chciała, to by skoczki, co to i na głowie, i na rękach chodzą, a rozmaite cudaczne sztuki z siebie pokazują, byliby wzięli ze troje! — ozwał się inny.

— A największą mieliby bodaj oskomę na ciebie, Barnabo, — bo raz byłbyś chłopem, a drugi raz babą! — żartował inny, dając tem przytyk do owego z czternaściorga, którego zwykle nazywano babą. Raz bowiem dla rozweselenia towarzyszy przebrał się w niewieście odzienie.

— Lepiej być babą, aniżeli chłopem, co go z pod sterety wystraszą snopem! — odciął się Barnaba.

Wszyscy dokoła rozśmiali się wesoło, bo żart doskonale był przystosowany. Ów, co nazwał go babą, podczas bitwy, schował się był pod stertę zboża i dopiero na drugi dzień, gdy przepłoszono nieprzyjaciela i ze sterty wyciągano snopy, odkryto śpiącego w niej, jak susel żołnierza.

Wprawdzie utrzymywał, że zmęczony utarczką, położył się i zasnął, — nie przeszkadzało to jednak towarzyszom żartować zeń przy każdej sposobności.

— A to powiadam wam, — ozwał się nagle ktoś inny.

— Kiedyśmy byli w Łucku, przechodziła banda takich skoczków, mieli wtedy u siebie jakąś dziewczyninę, — mówiła podobno, jak każdy z nas po polsku, ale jak się obejrzała, usłyszała swoją mowę, to ją zaraz ten

ich naczelnik przez plecy batem! — musiała szwargotać po cygańsku, czy tam po jakiemu! Bóg ich tam wie!

— To ci doła, — dobrze, że naszego Barnaby nie zabrali! — westchnął inny, przechodząc z politowania do żartu: Lecz Janek rzeczywiście się zasmucił i myślał sobie:

— Jeżeli i Justysia w takie ręce popadła, — toć jej bieda, oj, bieda! Ale zkad się tu dziś wzięła panna Olimpka? — zadawał sobie dalej pytanie.

I my moglibyśmy sobie zadać toż samo.

Choroba Olimpki i jej przepowiednie rozniosły się, jak wiemy, po całej stolicy. Chorąży odsuwał jak mógł wszystkich cisnących się w jego progi, nie mógł jednak usunąć księżnej generałowej Czartoryskiej, która rozmówiona w głosie Olimpki, wciąż chorążego pytała:

— A jakże tam zdrowie naszej młodej śpiewaczki? kiedyż się znowu światu ukaże?

Zbывał te pytania stroskany ojciec, widział jednak różnicę między zainteresowaniem się zacnej damy, a bezmyślnymi pytaniami natrętnych. Wyczerpawszy wszelkie środki ratunku, zgnębiony troską o ukochane dziecko zwierzył się raz znanej z dobroci serca księżnej, mówiąc:

— Smutno to rzec, lecz nasza Olimpka choć żyje, nie należy już chyba do tego świata.

— Jakto? — spytała z rzeczywistym współczuciem księżna.

— Wszystko, co zajmuje panny w jej wieku, wszysko, co w ogóle zajmować powinno płeć niewieścią, jest dla niej zgoła obce. Żyje jakimś życiem wymarzonem,

nawet śpiew jej przeszedł w tęskne a smutne nucenie. Ożywia się tylko, gdy usłyszysz coś o sprawach publicznych, o szerszem działaniu niewiast lub o rozwoju w kierunku literatury i sztuki. Wtedy zapatrzona wdał, wypowiada rzeczy zadziwiająco piękne, które i mnie i zrozpaczonej matce wyciskają łzy serdeczne — mówił, wywnętrzając się przed cierpliwą słuchaczką.

— Ależ to jakaś podniosła dusza! natchniona, dążąca do szerszych horyzontów! — odrzekła żywo księżna, zaciekawiona opowiadaniem.

Choraży westchnął, zwiesiwszy smutnie głowę.

— Pozwólcie mi, mości Choraży, odwiedzić waszą córkę — rzekła księżna, podchodząc do stojącego w zamyśleniu chorażego.

— Nikt nie będzie wiedział, o moich odwiedzinach, przysięgam, — dodała.

Choraży chwilę nie odpowiadał, znać było jednak na jego twarzy pewne wahanie.

— Jestem potrochu lekarką, może mi się uda wynaleźć dla niej skuteczne leki... — nalegała.

— Jeżeli jej książęca mość chce koniecznie...

— Ależ chcę, pragnę, bardzo proszę! — przerwała pani generałowa ze zwykłą sobie życzliwością.

Starala się bowiem zawsze dojść tam, dokąd zamierzała i przeprowadzić to, czego pragnęła. Zadowolona więc była, iż przełamała opór stanowczego w swych odpowiedziach Chorażego.

I zaraz dodała:

— Zamawiam sobie, żeby ani imci pani chorażyna,

ani Olimpka, o tych odwiedzinach nie wiedziała. Jest to środek, którego używam na wyleczenie młodych dziewcząt, podlegających podobnej chorobie.

Choraży spojrział na nią i rzekł:

— A ja zamawiam sobie i proszę, żeby z jej książeczką mością nikt nie wszedł do naszego skołatanego domu.

— Słowo! — odparła księżna.

— Słowo! — rzekł uroczyście Pokrzycki.

I skłoniwszy się patrzącej nań z współczuciem księżnej, oddalił się w zamyśleniu.

Pani generałowa nie lubiła odkładać swoich postanowień, zaraz więc na drugi dzień zjawiła się na Piwnej. Choraży, według danego słowa, nie rzekł nic o tem żonie i córce, przybycie więc osoby nieznajomej, chociaż skromnie ubranej, lecz wyglądającej po pańsku, zrobiło niemałe na otoczenie wrażenie.

Ambroży, mający rozkaz nie wpuszczania nikogo, obejrzał uważnie przybyłą, uklonił się z uszanowaniem znającego swoje obowiązki sługi i postawił opór, mówiąc:

— Niema jwielmożnych chorażtwa w domu.

— Muszę się widzieć z imci panem chorażym Pokrzyckim! — odrzekła księżna nie zrażona oporem sługi.

— JWielmożny choraży, pan mój, wyszedł — powtórzył z naciskiem Ambroży.

Kumosia, która zawsze i wszędzie musiała się wtrącić, wyrzała i teraz do pokoju, będącego wstępem do bawialni i dygnawszy rzekła:

— Próżna fatyga, my nikogo nie przyjmujemy!

Kiężna spojrzała na niewiastę a domyśliwszy się w niej zaufanej sługi, rzekła z uśmiechem:

— Wiem, że pan choraży jest w domu, proszę mu powiedzieć, żeby na chwilę się ukazał.

Choraży, który umyślnie dnia tego nie wychodził, usłyszawszy głos księżnej, wyszedł na jej spotkanie i z uprzejmością drzwi bawialni otworzył.

— No i bądź tu mądry! — „Nikogo nie wpuszczać, każdemu powiedzieć, jwielmożnych państwa niema w domu“. Mógłże chociaż jegomość dobrodziej powiedzieć: „Gdy dziś przyjdzie taka to, a taka dama, zaraz mi oznajmić!“ — mruczał wierny sługa, naśladowując głos chorażego.

— Wolno państwu, jak się spodoba, a Ambrożemu nic do tego! — zgromiła Kumosia.

— I waćpani nic do mnie — ofuknął tenże.

Wszędzie musi nos swój wścibić, potrzeba czy nie potrzeba! — dodał, ujrawszy, że Kumosia wysunęła się drugimi drzwiami do chorażyny pokoju.

— Proszę jejności dobrodziejki, — poczęła — jakąś damę bardzo z pańska wyglądającą zaprosił...

Przerwała jednak nagle i o mało nie upadła ze zdziwienia, gdy choraży, wprowadzając przybyłą, rzekł do żony:

— Serce, Kornelko, jwielmożna księżna Adamowa Czartoryska czyni nam honor i pragnie Olimpę odwiedzić!

Chorażyna spojrzała z wymówką na męża, że obca niewiastę bez uprzedniego porozumienia się do pokoju

córki wprowadził. Był to jednakże błysk zaledwie niezadowolenia, zaraz bowiem wstała szybko i zarumieniła się jak dziewczątka. Jako nieobyta z wymaganiami wielko-światowemi, sama nie wiedziała, czy przybyłą pocałować w oba policzki, jak na przywitanie równych jej wiekiem sąsiadek Pokrzyki Wielkiej, czy złożyć pocałunek, na wyciągniętej ku niej ręce, jak to czyniła z panną Kasztelanową Sieradzką, osobą wielce szanowaną i bardzo wiekową, czy też musnąć ustami rękaw przybyłej powyżej łokcia, jak to miało miejsce, gdy witała osoby od siebie starsze lecz zajmujące równe z nią stanowisko.

Namysłając się nad tem, skończyła uściśnięciem podanej ręki, ukłonem dość chłodnym i spojrzeniem wielce zakłopotanem.

Księżna, znająca dokładnie rozmaite sfery i rozmaitego rodzaju onieśmelenia, nie zadziwiła się ani rumieńcom, ani ukłonem. Zadziwiło ją za to pełne godności, połączone z wielką radością, znalezienie się Olimpki.

Ta, ujrawszy księżnę, wstała i podszedłszy kilka kroków oddała ukłon, który w niewielkich pokoikach i codziennem otoczeniu nie tylko nie wydał się tak niezgrabnym jak na pokojach królewskich, lecz owszem cechował dobry układ, a zarazem zachowanie pewnej godności.

Gdy zaś pani generałowa wyciągnęła ku niej dłoń, okrytą w czarną jedwabną mitynkę, Olimpka, ujawszy jej rękę delikatnie, pocałowała tuż przy zakończeniu mitynek.

Potem zaś wyprostowana, z głową nieco pochyloną, czekała spokojnie na zapytanie.

— Śpiewaczko nasza miła, zatrwożyłaś chorobą wszystkich twoich przyjaciół! — ozwała się księżna, siadając na podsunietym przez chorążego wyścielanym fotelu.

Olimpka, zarumieniwszy się, rzekła:



— Choroba, jak wszystko, pochodzi od Boga!

— Religijnie wychowaliście waszmość państwo córke — rzuciła księżna, zwracając się do stojącej opodal chorążyny.

— Miłość Boga i poszanowanie obowiązku jest chyba najważniejszą zaletą każdej niewiasty — odparła pani Pokrzycka, odzyskując zwykłą swobodę umysłu.

— I pierwszą nauką, jaką matka wpoila w serce naszej dziewczeczki — dodał chorąży.

Księżna uśmiechnęła się na tę adorację imci pana Pokrzyckiego dla swej małżonki i spojrzawszy na Olimpke przenikliwym swym wzrokiem, spytała:

— Cóż ci najwięcej dolega, drogie dziecko?

— Myśli i uczucia, które oplatały mi duszę.

— I jakież to myśli, jakie uczucia? — pytała dalej przybyła, nie zdejmując z chorej badawczego spojrzenia.

— Wszystkich myśli i uczuć trudno odrazu wypowiedzieć. Wiem tylko, że one rozpierają mi pierś i głowę, napelniając duszę pragnieniem czynu i poświęcenia, każą wielbić co szlachetne i wielkie, płakać i boleć nad upodleniem i nieszczęściem!... — mówiła Olimpka, zapalając się coraz więcej.

Oboje państwo Pokrzyccy smutnie zwiesili głowę, a księżna, wpatrując się w nią z tkliwą serdecznością, rzekła:

— Nie możemy wszystkich serc i wszystkich myśli podług jednej miary przykroić, lecz gdy każdy z nas będzie czynił, co mu siły i możność pozwoli, ból i nędza zmniejszy się na świecie.

To mówiąc, zamyśliła się głęboko, jak gdyby w duszy rozważała odezwanie się chorej i własną na jej słowo odpowiedź.

— Bóg zsyła karę na ogół i na rodziny — mówiła dziewczeczka jakby do siebie. — Zabrał nam Justysię i wie-dzie ją smutnymi drogami, mnie ukarał niemocą... a dalej... smutno pomyśleć, smutno spojrzeć w przyszłość... Gdy się uśmiechnę, aby pocieszyć rodziców, smutek zamiast

wesołości na mem licu; — gdy chcę pieśnią wzbić się ku Panu, z piersi moich płynie dźwięk skargi i bólu...

— Więc wznies ją ku niebu, wznies dziecko drogie! — zawołała księżna, przyciągając Olimpę ku sobie.

— Skarga bez zaparcia się siebie i czynu nie przebłaga Stwórcy! — odrzekła dziewczeczka, potrząsając głową. — Ach, ja tak pragnę pracować, pragnę życie swe całe dla innych poświęcić... i przebłagać Pana by strzegł od złego i zwrócił rodzicom Justysię. By wszystkim, co cierpią, dobrze było na świecie.

To mówiąc, osunęła się do kolan księżnej, i spoglądała jej w oczy, jak gdyby w nich pragnęła znaleźć radę na swe wzniosłe cierpienia.

— Gdybyż chciała do klasztoru, znalazłaby ukojenie i spokój. Tak się gorąco modłę, aby Bóg natchnął ją tą myślą! — ozwała się matka, jakby do siebie.

— Służyć Bogu wyłącznie można tylko z prawdziwego powołania — westchnął ojciec.

— Nie, nie — klasztor nie dla mnie, ja pragnę czynnem wielbić Pana!

— Dajcie mi ją, waszmość państwo! umysł jej znajduje na moim dworze właściwy kierunek, a dusza rwąca się do czynu właściwe zajęcie — rzekła księżna, zwracając się do państwa Pokrzyckich.

Po licu chorążyny płynęły łzy rzewne, srogi ból podnosił pierś jej westchnieniem. Ojciec, załamawszy dłonie, zawołał:

— I z tą się rozstać! i z tą!...

— Gdyby się w klasztorze zamknęła, stracilibyście ją na zawsze! — wyrzekła księżna.

Głuche zapanowało milczenie. Księżna zrozumiała, że opór, zamykający w tej chwili usta stroskanych rodziców, ustępuje powoli, jak воск pod działaniem ciepła.

Poczęła więc:

— Ulecę ją i przyprowadzę w wasze progi!

— Czy jest lekarstwo na jej chorobę? — spytała nagle chorążyna.

— Jest, dać jej poznać szersze horyzonty, powołać do szerszej pracy, której pragnie jej dusza — odparła stanowczo księżna.

— Nie żałujemy przecież na jej wykształcenie! — ozwał się z pewną wymówką ojciec.

— Pośród innych kształcących się szersze będzie miała ku temu pole! — mówiła, nalegając, księżna.

— A ty, dziecko moje? — spytała matka, zwracając się do stojącej ze splecionymi rękami Olimpki.

— Matko kochana, będziesz się modlić za nas w klasztorze, ojcu nie będę zabierać chwil, które oddać może na pożytek ogółu! — zawołała dziewczeczka, klękając u stóp rodziców.

— Tak Bóg chciał! — ozwała się chorążyna.

— Niechaj się spełni wola Jego święta! — dodał Chorąży, kładąc dłoń na głowie córki.

— U skoczków spostrzeżono jakąś panienkę, która im się gwałtem wyrывała! — zawołał w drugim pokoju Mroczek, nie zważając na silny protest Ambrożego.

— Nie chybi, Justysia! — dodał jeszcze głośniejsze.

— Moja Justysia! — zawołała chorążyna.

I nie zważając na nic i na nikogo, biegła z wyciągniętemi rękami, jakby chciała uchwycić ukochaną zaginioną.

— W pogoń za nimi! — krzyknął chorąży takim głosem, jakby do walki szykował szeregi.

— Pozwólcież, mości dobrodziejstwo! — wołał Mroczek, powstrzymując nieszczęśliwych rodziców. — Przecież jej tam niema za progiem! — dodał, biorąc za ręce chorążyne i zwracając przemocą odedrzwi.

Chorążyna spojrzała osłupiałym wzrokiem, jak gdyby ją ktoś nagle zbudził ze snu, chorąży patrzył surowo na przybyłego.

— Gadaj wyraźnie! — wyrzucił głucho z piersi.

— Otrzymałem wiadomość z Berlina, że pomiędzy trupą skoczków znajduje się młodziotka woltyżerka, która zachwyca swą urodą i zręcznością nawet osoby panujące; — rozumie też doskonale po polsku.

— Szykować pojazd! zamówić konie pocztowe na przepręg! — zawołał Chorąży.

— Jadę z tobą! — zawołała z drżeniem chorążyna.

— Więc z natury rzeczy Olimpke zabieram do siebie! — ozwała się księżna, patrząc na gorączkowe chwytanie się słabej wieści nieszczęśliwych rodziców.

— Bądź jej matką i opiekunką! — zawołała chorążyna, wyciągając dłonie do księżnej.

— Nie pozwól, miłościwa pani, robić z niej dziwowiska, gdy przyjdzie chwila zapomnienia i choroby! — mówił głuchym głosem chorąży.

— Biorę ją na wyleczenie, a to niech będzie rekojmią — odparła księżna.

Olimpka nic nie mówiąc, rzuciła się w objęcia matki, ta zaś jak nieprzytomna, wołała o pośpiech do wyjazdu za ukazującą się w jej oczach jak we śnie Justysią. Ojciec przytulił chylącą się do jego kolan Olimpke i dwie lzy upadły na jej głowę.

— Jedną jedziemy gonić, a czy drugiej nie utracimy? — zawołał.

— Gdziekolwiek będę, na każde wasze zawołanie powrócę — rzekła z przejęciem Olimpka.

I gdy wśród najwyższego zamieszania i gwaru, chorążtwo wyjeżdżali gonić zaginioną, Olimpka opuściła dom rodzicielski, udając się z księżną Adamową Czartoryską do Puław.

Nic więc dziwnego, że widzimy już w pół roku potem wraz z innymi przyjmującą korpus Księcia Józefa.

Dziwiła się tylko Kumosia, szmerząc i ucierając nos bezprzestannie i z płaczem mówiła:

— Oddali oto moją pieśczętkę do książęcego dworu, jakby u nas dwór był byle jaki, albo nie było mnie do pilnowania naszej pieśczętki, com ją wychowała!

— Oj, kto wie, czy znajdą Justysię, a Olimpke samo chcąc zagubią! — mówił ze smutkiem Ambroży, który pierwszy raz nie towarzyszył chorążemu w podróży.

Nie sprawdziło się biadanie wiernych sług co do Olimpki, lecz niestety sprawdziło się co do Justysi. Chorążtwo w parę miesięcy powrócili jeszcze więcej zgnębieni.

Okazywano im wprawdzie jakąś dziewczeczkę, która rozumiała nieco po polsku i ze skoczkami włóczyła się po rozmaitych miejscach, lecz ta bynajmniej do Justysi nie była podobną.

Mroczek używał rozmaitych przebiegów, chcąc, jak mówił, wydusić z właściciela cyrku, czy nie posiada drugiej w tymże wieku wołyżerki, któraby rozumiała po polsku.

Sprytny włoch, z którym dość trudna była po łacinie rozmowa, przedstawił cały swój personel mówiąc:

— Każdą oddam, byle mi tylko dobrze zapłacono.

Złamana nowym bólem chorążyna usunęła się do klasztoru P. P. Sakramentek, gdzie oddana modlitwie i dobrym uczynkom, pędziła żywot najsurowszej pokutnicy.

— Ciężko znać zgrzeszyłam przed Panem, kiedy pokarał mnie na dzieciach moich! — mówiła.

Chorąży nie przestawał poszukiwać córki, odwiedzał Olimpkę w Puławach i z całym zaparciem oddawał się sprawom publicznym.



Olimpka też prawdziwą przynosiła mu pociechę; jej dawna chorobliwa ekstaza zamieniła się powoli w dzielność myśli i czynu.

— A co, jaka ze mnie dobra lekarka! — mówiła księżna jenerałowa, ilekroć spotkała chorążego.

— Olimpka, to prawa moja ręka! — dodawała, patrząc z istic macierzyńską serdecznością na kwitnącą zdrowiem dziewczę.

I rzeczywiście lice jej kwitnęło zdrowiem ciała i zdrowiem myśli, a głos jej, rozbrzmiewający całą pełnią piękności, zachwycił wszystkich.

Księżna, jako doskonała znawczyni muzyki, z największą lubością wsłuchiwała się w śpiew Olimpki; poleciła ją też kształcić najlepszym metrom, a podczas wszelkich uroczystości i popisów na pierwszy plan wprowadzała ulubioną przez siebie śpiewaczkę. Teraz, kiedy na przyjęcie księcia Józefa postanowiła urządzić festyn, rzekła:

— Nie samym chlebem człowiek żyje, trzeba dla naszych wojaków i pieśni, któraby wlała otuchę i energię! rzekła księżna.

Idąc za tą myślą robiła przygotowania w wzniesionym naprędce namiocie w Kurowie.

Za przybyciem do namiotu księcia wraz z całym sztabem i znakomitszymi oficerami, ozwał się chór za zasłoną na estradzie, umyślnie na tę uroczystość wzniesionej.

Dla przybyłych była to rzeczywista niespodzianka.

— Chyba chór aniołów księżna sprowadziła z nie-

ba dla uprzyjemnienia chwili i ożywienia ducha naszych wojaków, — ozwał się książę Józef, skłaniając głowę przed uprzejmą gospodynią.

— Nie mogąc niebiańskich chórów, sprowadziłam ziemskie istoty, którym natchnienia do pieśni dodał odgłos jego książęcej mości czynów wojennych — odrzekła pani generałowa z uśmiechem zadowolenia.

— Ależ to pieśń natchniona! — zawołał książę rozpromieniony.

— I nie wiem, co więcej podziwiać, czy wyrazy i układ kantaty, czy też jej wykonanie! — mówił dalej w niekłamany zachwycie. — Taki głos, jaki góruje nad innymi, raz tylko w życiu słyszałem! — dodał, jakby do siebie.

Księżna nic nie odrzekła, szepnęła tylko coś jednej z przybocznych panien. W krótkce zabrzmiała pieśń solo, pieśń, o której właśnie mówił i myślał w tej chwili gość Kurowa.

Cisza zrobiła się dokoła, każdy wstrzymywał oddech, ażeby żadnego dźwięku z owej pieśni nie stracić.

Nie jeden ze słuchających miał łzy w oczach, a na młodych licach oficerów księcia Józefa malował się niezwykły zapal i wzruszenie.

Najwięcej jednak wzruszenie to uwydatniało się na licy jednego z nich. Ten, równocześnie z przybyciem księcia na ucztę, zjawił się z depeszą do niego i przez uprzejmą panią generałową został wraz z innymi zaproszony.

Oczy mu pały, pierś podnosiła się przyśpieszonym oddechem, siłą zaś tylko powstrzymał się, żeby nie

rzucić się na wzniesienie i nie zedrzeć cienkiej zasłony, za którą najpierw chór, a potem śpiew solowy dawał się słyszeć.

— Miłościwa księżno, dopełnijże już łaski swojej i jeżeliś nam dała słyszeć głosy niebiańskie, pozwól ujrzeć i aniołów! — ozwał się książę Józef, gdy ostatni dźwięk pieśni zamilkł w przestworzu.

Zbyteczną była ta prośba, bo w tejże samej chwili rozsunała się zasłona i na wzniesieniu ukazało się dwanaście dziewic, ubranych białą, trzymających zielone wieńce. Nad wszystkimi górowała wysokim wzrostem chorażanka.

— Olimpka! — zawołał książę Józef.

— Olimpka! — wyrwał się jednocześnie okrzyk z piersi przybyłego z depeszą oficera, który nie mogąc powstrzymać swego podziwu, naruszył prawo dworskiej etykiety i subordynację żołnierza.

Czy jednak książę Józef nie chciał mieszać uroczystości, czy też uniesiony zachwytem, wziął okrzyk ten za echo własnych wyrazów, dość, że nie zwrócił na niego uwagi.

Ozwał się tylko ze zwykłą galanterią:

— Księżna generałowa prawdziwe czyni cuda, wskrzesza pogrzebane!

— Jakto? — zapytała pani generałowa.

— Znakomitą naszą śpiewaczkę oplakiwała już cała stolica; teraz wskrzeszona czarodziejską ręką księżnej, zachwyca nas znowu, niecąc miłe wspomnienia — odparł wódz naczelny.

— Czarodziejka jest chyba sama śpiewaczka, która

po przebytej chorobie, wzmocniwszy jeszcze głos swój i umysł, ułożyła śpiewaną przed chwilą kantatę — odrzekła księżna Adamowa.

— Książę pozwoli, że śpiewaczka przypomni się jego znajomości — dodała.

— Pani generałowa odgaduje myśli swych gości, chciałem właśnie prosić o to... — odparł książę Józef.

Na skinienie pani Czartoryskiej Olimpka zeszła z wzniesienia i powolnym krokiem z wrodzoną sobie nieśmiałością, która dodawała jej wdzięku, zbliżyła się do księcia.

Idąc jednak, szukała wzrokiem, z czyich piersi ten drugi dobiegł ją okrzyk.

I znać dojrzała, a raczej odgadła, bo twarz jej żywym spłonęła rumieńcem.

Wyuczona jednak dworskiej etykiety, złożyła właściwy ukłon naczelnemu wodzowi i na jego pochlebne wyrazy, odrzekła:

— Że pozostaję na właściwym niewieście stanowisku, zawdzięczam to jego książęcej mości i za to w sercu mojem żywą przechowuję dla niego wdzięczność.

Poczem usunęła się między grono panien, które na rozkaz księżnej zeszły również z estrady.

Wniesiono też na wielkich półmiskach potrawy.

Księżna, jako uprzejma gospodyni, wskazała obok siebie miejsce naczelnemu wodzowi. Panny jej dworu od dawna miały polecone pamiętać o gościach, co też czyniły z niezrównanym wdziękiem i niemałą dla obu stron przyjemnością.

Wtedy to i przybyły z depeszą oficer zbliżył się do

chorążanki i oboje powitali się z nieklamana radością.

I nie dziw, był to bowiem Józef Drzewiecki, piastujący już w dwudziestym roku życia godność komisarza wojskowego.

Zapytaniom i odpowiedziom końca nie było, przeszło rok czasu nacechował oboje nad wiek dojrzałością, która daje życie pełne przygód i poświęcenia.

Lecz i najmilsze chwile muszą mieć kres swój.

Pan komisarz wojskowy, porozumiawszy się z wodzem naczelnym, musiał wracać do obowiązków swoich, księżna zaś dała znak, że uczta i uroczystość miała się ku końcowi.

— Odjeżdżam więc ze słowem twojem, że życie pójdzie nam jednym torem, a jedność myśli i dążeń złączy nas w przyszłości — mówił na pożegnanie Drzewiecki do towarzyszki lat dziecięcych.

— Oh, tak, przyrzekam, pójdziemy jednemi drogami! — odrzekła z prostotą.

Lecz w głosie jej drżał oddźwięk smutku, a w myśli się przesunęło:

— Czyż drogi nasze się złączą?... czy złączą?...

— Strzały Kupidyna są bardzo niebezpieczne dla Marsa! — ozwał się w tej chwili książę Józef dość głośno do uprzejmej gospodyni, wskazując na rozbawioną młodzież.

— Lecz Mars łatwo pokona skrzydła tego łucznika — ozwała się księżna, również podniesionym głosem.

Ozwanie się to dało hasło do zakończenia miłej uroczystości.

XIV

KSIAŻE JÓZEF I JEGO WYCHOWANIEC.

I znów dni i lata płynęły. Wśród ich ubiegu popłynęło dużo krwi w rozmaitych walkach przelanej, i ciężkie burze nad głowami bohaterów niniejszego opowiadania przeciągnęły.

Warszawa wraz z częścią kraju po Niemen na północ, Pilicę na wschód, za Poznań na zachód, a na południe z częścią województwa Krakowskiego, była pod panowaniem Pruskiem. Cesarz austriacki Józef II, wziął pod swe rządy Galicję i wszystkie ziemie na północ i wschód po Bug, który go odgraniczał od ziem, będących pod panowaniem cesarstwa rosyjskiego.

Ze zmianą rządu, zmieniły się i stosunki. Kraje pod panowaniem pruskiem i austriackiem były widownią ciągłych walk i wojen.

Z biegiem też lat, młodzieńcy wyrastali na mężów i szli w świat szeroki, — młode dziewice zmieniały się w dzielne niewiasty i strzegły domowego ogniska... przechowały najdroższe skarby uczucia i wiary.

W całej Europie zapanowały wstrząśnienia i przewroty.

Zaburzenia we Francji, trwające od rewolucji 1789 roku zwróciły na nią oczy całej Europy.

Wypadki krwawe wstrząsające Francją, zmieniały, jej ustrój społeczny. Ludzie, stojący na wyżynach i trzymający ster państwa, ginęli pod gilotyną lub szli na turlaczkę; — wypływali inni, którzy siłą energii i przyrodzonych zdolności, torowali sobie drogę, dobijając się do najwyższych godności i steru rządu.

Francja obmywała dawne winy w potoku krwi, dyssała wewnętrzną zabójczą walką, wyrzucała szumowiny, z pod których jednakże wypływał i źródło bohaterskich czynów i nieustraszonego męstwa.

Geniuszem zaś prawdziwym wykwitł Napoleon Bonaparte, uczeń i laureat szkoły wojskowej w Paryżu. Porucznik artylerji w piętnastym roku życia, w dwudziestym drugim, kapitan, a w dwudziestym szóstym, generał dywizji — zadziwiał świat, wojennymi czynami, niecąc zapał w młodzieży całej Europy.

Z nią też przebiegał świat z niezrównaną szybkością, podbijał odległe kraje i zamorskie ziemie, — zwracając jednocześnie baczność uwagę, co się dzieje w rozprężonej walką wewnętrzną jego ojczyźnie.

Nic więc dziwnego, że i młodzież nasza podążała pod sztandary Napoleona.

Iwo był już młodzieńcem dwudziestoletnim, w stopniu porucznika. Skończył chlubnie szkołę wojskową i jako oficer zostawał w służbie swego opiekuna.

Dobroć księcia rozczulała go, lecz był to okres w którym tenże nie brał udziału w żadnych wojnach; ru-

chliwy zaś umysł Iwona pragnął coraz nowych przygód; — rwał się do czynu.

— Nie wiem, gdzie stała moja kolebka, nie dbam gdzie mi usypią mogiłę! — myślał sobie.

— Nie wiem też, kto byli moi rodzice, gdzie matki mojej mogiła... lecz wiem jaka mnie ziemia zrodziła — dodawał, w rozbolalej tęsknotą duszy.

I coraz częściej wpadał w głęboką zadumę.

Na niczem mu nie zbywało dzięki hojności opiekuna, szkoła zaś dała mu kolegów, którzy darzyli go sympatya, a którzy w obecnej chwili, tak samo jak on, rwali się do czynu.

Długie z nimi rozmowy rozogniały jego wyobraźnię. Duszę parła tęsknota, nie mógł i chwili zostawać w bezczynności. Miesiąc temu dopiero jak skończył szkołę wojсковą i był na dworze księcia, życie to jednak nie pociągało go ku sobie. Czuł się w niem obcy, tęskniąc za wrzawą wojenna.

Szeł jego i opiekun, mimo najhuczniejszych zabaw w pałacu pod Blachą w Warszawie i w uroczej Jabłonie, zajmował się sprawami wielkimi i jeżeli nie czynem, to myślą był z niemi złączony. Iwo zbyt małym był i nic nie znaczącym, ażeby w wielkich sprawach brać udział, — tęsknił więc za wojną, za czynem!

Ta tęsknota w pierś się mu wżarła, wypijając młodzieńczą wesołość. Chwilami siedział zadumany, nie słysząc prawie, co koło niego mówiono.

Raz książę pochwycił go na takim zamyśleniu.

Przechodził właśnie przez pokój, w którym zawsze

kilku oficerów oczekiwało rozkazów. Za ukazaniem się księcia, wszyscy stanęli po wojskowemu wyprostowani. Iwo tylko nie słyszał wejścia; — stał oparty w wgłębieniu okna, a myśl jego błądziła po odległych przestrzeniach, wywołanych wyobraźnią.

Książę, jako prawdziwy dowódca, jednym rzutem oka przywykł obejmować każdą pozycję, — dostrzegł więc i zamyślenie swego wychowanka, na które zresztą już od jakiegoś czasu zwrócił uwagę.

— Iwone! — zawołał, wchodząc do swego pokoju.

Głos księcia, mający dlań zawsze niezwykły urok, zbudził go z zamyślenia, Lecz młody porucznik tak odbiegł od chwili obecnej, iż na razie nie umiał sobie zdać sprawy, czy to było rzeczywiste wołanie, czy też echo własnych jego myśli.

Wstrząsnął się więc i spojrzał przed siebie, jak człęk ocucony nagle ze snu, — i nie ruszył się z miejsca.

— Iwone! — powtórzył książę, zwracając nań wzrok badawczy.

Młody porucznik wyprostował się i szedł za swym opiekunem.

— Jutro, skoro świt, wyjeżdżamy! — rzucił książę.

Oczy Iwona zamigotały radosnym blaskiem, wkrótce jednak mgłą się zasnuły.

— Wyjeżdżamy!... — przemknęło przez myśl młodzieńca — więc nie wyruszamy na wojnę.

— Cóżeś tak nagle z wielkiej radości przeszedł do trapiącego cię od niejakiegoś czasu smutku? — spytał książę, przypatrując mu się badawczo.

Iwo spuścił wzrok i milczał, nie mogąc znaleźć na razie odpowiedzi.

— Co cię trapi, młodzieńcze? czy serce przykuło cię do Warszawy i myśl opuszczenia jej smutkiem przejmuję? — pytał książę dalej, ze zwykłą sobie dobrocią.

— Warszawa jest mi drogą, jako miasto, w którym umysł mój nauczył się rozpoznawać światło drogą życia i kraj cały. Upewniam jednak jego ekszellencyę, iż żadne wyjątkowe uczucie z nią mnie nie wiąże — odrzekł Iwo, patrząc z całą szczerością na swego opiekuna.

— Więc czemuż tęsknota cię trapi i gdy inni z młodzieńczą swobodą garną się do życia, ty smutny i osowiały unikasz ludzi? — dodał łaskawie.

Młodzieniec podniósł wzrok z serdecznem podziękowaniem i mówił z zapalem:

— Umysł mój i myśli wzburzone potrzebują ujścia na polu walk... Boli mnie, boli beczyność...

— Hm! — mruknął książę do siebie, zamyślając się głęboko.

W owej bowiem chwili sam oddał się zabawom i huślaczemu życiu, wraz z całym swoim otoczeniem.

Nie obraził się jednak, bo serce jego i umysł szlachetny umiał ocenić wielkie i znaczne dążności. Owszem, ucieszył się ze spowiedzi swego wychowanka, z którym wiązało go wspomnienie najpierwszej młodości i dla którego miał niemal ojcowskie przywiązanie. Położył więc dłoń na jego ramieniu i rzekł łagodnie:

— Masz słuszość, młodzież nie powinna gnuśnieć w beczynności, wyruszamy jutro!

— Wyruszamy... nie wyjeżdżamy... więc nie na zabawę! — przemknęło przez myśl Iwona, którego wyraz żołnierski rozradował niepomiernie.

I oczy jego zamigotały znów blaskiem i ciemna twarz od razu się rozjaśniła.

— Dzięki ci, dzięki miłościwy książę! — zawołał z zapalem i ucałował jego rękę.

— Muszę ci też powiedzieć — odrzekł książę — byś pozornego spoczynku nie brał za zupełną beczyność. Nie tylko wojna zwie się działaniem! — dodał, przechadzając się po wyłożonym tureckim dywanem wonnym, pełnym elegancyi gabinecie.

— Są wielkie sprawy, któremi nie wszyscy przecież zajmować się mogą! rzucił jakby do siebie.

Rumieniec oblał twarz Iwona.

— Obraziłem go najwidoczniej! pomyślał i serce żalem mu wezbrało.

— Przebacz miłościwy panie, — żądałeś szczerości, wypowiedziałem ją z głębi duszy mojej. — Jeżeli cię obraził, było to nieopatrzne słówko, nie mając źródła w serdecznej dla ciebie czci i przywiązaniu! zawołał.

— Nie mam ci co przebaczać, — rzekł książę stając znów przed nim.

— Owszem, cieszę się, że myśli szlachetne i wzniosłe zajmują serce twoje, — odrzekł książę.

W nagrodę powiem ci, — nowy król pruskj Fryderyk Wilhelm III ma jak najlepsze chęci dla ziem będących pod jego panowaniem, — podczas bytności swojej w Warszawie porobił niektóre reformy a przyobiegał wie-

le innych,... zobaczymy! dodał chodząc w zamyśleniu po pokoju.

— Obdarzy kilku panów tytułem grafa i będzie pożyczał pieniędzy hulającej młodzieży! pomyślał Iwo przypominając sobie posłuchy, jakie go dochodziły. — Nie wypowiedział jednak myśli onych, obawiając się urazić nie mi swego dobroczyńcę.

Cisza zaległa, — książę mierzył krokami powolnemi gabinet, stając od czasu do czasu w zamyśleniu przed jakim obrazem lub bronią zawieszoną na ścianie. — Zdawało się, że zapominał o stojącym opodal drzwi młodzieńcu, tak jak ten zdawał się nie pamiętać, gdzie się znajduje.

Myśli jednak obudwu dążyły w jednym kierunku.

— I jak się to skończy?! myślał książę, zastanawiając się nad bieżącymi wypadkami.

— Czyż on, — taki szlachetny i wódz doskonały wierzy w to, co wyrzekł przed chwilą?... rozważał Iwo.

— Dziwnie ten chłopiec wzrok i myśl ma przenikliwą! przemknęło przez głowę księcia.

I stanąwszy, chwilę przypatrywał się Iwonowi. Lecz ten był tak zamyślony, że wzroku jego nie odczuł na sobie.

— Tak! — rzekł książę, jakby na zakończenie myśli swoich.

— Jutro skoro świt wyjeżdżamy! — dodał, opierając rękę na ramieniu swego wychowanka.

Iwo drgnął i rzekł, schylając głowę.

— Według rozkazu jego książęcej mości!

I oddawszy ukłon należny, wyszedł z gabinetu.

W uszach mu szumiało od myśli rozpierających mu głowę. Sam teraz nie wiedział, co jest prawdziwem: „wyjeżdżamy“ czy „wyruszamy“ i te dwa wyrazy napełniały go niepewnością.

Nie zdradzając rozmowy z księciem, puścił ucho, czy inni oficerowie nie otrzymali takiegoż rozkazu. Cisza jednak pod tym względem była zupełna, nietylko nikt nie otrzymał rozkazu do jutrzejszego wymarszu, ale nawet przez resztę dnia książę nikogo nie wzywał, co się nie często zdarzało. Zamknięty w swoim gabinecie cały długi jesienny wieczór sam jeden przepędził.

Iwo, oddaliwszy się z książęcych pokoiów, wyszedł przed zamek. Nad głową jego błyszczały gwiazdy, u stóp płynęła wezbrana Wisła; szedł zapach wody, z po za niej woń wilgotnej ziemi, zeschniętych liści, włóczęgo się wraz ze mgłą dymu: słowem, woń układającej się powoli do snu zimowej przyrody.

Iwo przypominał sobie chwilę, gdy małym, nic nie rozumiejącym chłopięciem stał w temże samem miejscu zaraz po przybyciu z księciem. Przyszłość stanęła mu żywo w pamięci; począł nawet nasłuchiwać, czy tam, z nad rzeki nie dojdzie go krzyk rozpaczliwy i czy nie ujrzy pod murem pasującego się z dwoma drabami dziewczęcia.

Odetchnął tem odetchnieniem, które przynosi ulgę i wyswobadza od przykrych i cisnących się gwałtownie widziadeł. Przyszła mu na myśl Justysia, o której się tyle nasłuchiwał w domu chorąztwa; przypominał sobie ich

rozpacz, dobroć dla siebie, chorobę Olimпки i podniosłe pełne uroku, z nią rozmowy.

Słowem, przebiegał myślą całą swoją przeszłość. I dalej jeszcze sięgnął myślą,—sięgnął do swego nędznego dzieciństwa, do tej chwili, gdy straciwszy matkę, znalazł się u serbskiego gazdy...

Wtem z rzecznych oparów poczęła się wylaniać mgła gęsta... Wzniosła się ku górze, wlokła płaszcz swój wilgotny i rozrywając się na wielkie szmaty w świetle księżycowym, przybierała fantastyczne postacie. Iwo nagle wyciągnął ku nim dłonie i z pełni piersi krzyknął:

— O matko, matko moja, przybliź się do mnie!

Lecz mgliste postacie wlokły płaszcz dalej, zatapiając się w nurtach rzeki lub rozszarpane na cząstki wznosiły się ku niebu, przesłaniając przestworze.

Nagle tuż nad nim otworzyło się okno gwałtownie. Ockniony ten Iwo spojrzał do góry.

Książę Józef stał w niem z wyciągniętymi ramionami, jak gdyby chciał chwycić jakąś postać uciekającą przed jego dłońmi.

Księżyc, przedarłszy włóczące się mgły, oświecił twarz księcia, która w tym srebrnym blasku wydawała się dziwnie zmienioną i trupio bladą.

Iwo przycisnął się do załamanej w tem miejscu ściany i patrzył z trwożną ciekawością.

— Czy mu nie grozi jakie niebezpieczeństwo?... przez myśl mu przemknęło. I gotów był biedz na pomoc uwielbianemu przez siebie opiekunowi. Mimo tych myśli skrył się jednak we wnętrzu muru; wiedział bowiem, iż książę

nie lubił, gdy kto wdaje się w jego sprawy lub nie wolany przerywa samotność.

Książę zaś stał chwilę bez ruchu, potem przetarł ręką czoło, znów spojrzał w dal ku rzece i powoli zamknął okno.

Nie odchodził jednakże, podparł ręką głowę i wsparłszy się łokciem o ramę okna, spoglądał wciąż na włóczące się mgły nad rzeką.

Po niejakiś czasie odsunął się od okna, które poczęło jaśnieć zapalanem stopniowo coraz większym światłem.

Iwo zeszedł z tarasu pod mur okalający zamek i spojrzał na oświetlone okno.

Książę stał na środku swego gabinetu ze splecionymi na piersiach rękami i rozglądał się po wszystkich jego kątach.

— Jestem nikczemny! — zawołał w duszy Iwo — podpatruję mego opiekuna!

I ze wstretiem ku sobie oddalał się do swego mieszkania.

— Ależ ja bałem się dla niego niebezpieczeństwa! — usprawiedliwiał się sam przed sobą.

I wśród tego usprawiedliwienia się, spojrzał raz jeszcze w oświetlone okno. Książę, stojąc nad biurkiem, kreślił coś na papierze.

— Niebezpieczeństwo więc istniało tylko w mojej wyobraźni! — szepnął sobie Iwo.

I teraz już poszedł prosto do swego mieszkania, będącego na dole w zajmowanym przez księcia pałacu.

Książę Józef tymczasem spoglądał na papier, na którym czerniało nakreślone: „19 Octobre 1791 r.“ Pod tem zaś „19 Octobre 1796“ świeciło niewyschlami jeszcze głoskami.

Była to właśnie data kończącego się dnia. Po nakreśleniu onej, książę podniósł głowę i rozejrzał się znów po gabinecie z tą pilnością, z jaką się szuka osoby, która nagle ukazała się oczom naszym i jak fata morgana zniknęła.

Potem w ział papier, przypatrzył się



pod światło,
czy atrament
zasechł i zło-

żywszy starannie, schował do jednej ze skrytek biurka.

Rozejrzał się znów po oświetlonym kilkunastoma świecami gabinecie, spojrział w okno, odcinające się ciemną błyszczącą plamą na tle oświetlonego pokoju i szepnął:

— Szczególne... w tym samym dniu!... widziałem

ją, widziałem najwyraźniej, jak wyrastała... najpierw była tuż przy ścianie, potem rosła w postać coraz większą białą przezroczą. Szła wprost ku mnie, zdaje się, że czułem jej oddech, a gdy wyciągnąłem dłonie, żeby pochwycić, uniosła się w przestworze ku niebu... I tam, tam jeszcze za oknem widziałem ją, wlokącą swą szatę białą po nad zamkiem... ponad ziemią całą daleko...

Przetarł znów ręką czoło, westchnął, wstał i szybkim dmuchnięciem zgasił świece płonące w kandelabrach nad kominkiem i na stole. Pokój został teraz w półmroku: oświetlały go tylko dwie woskowe świece na biurku, migocące żółtawo błękitnym smutnym płomykiem. Książę rozejrzał się znów wśród tego półmroku, jak gdyby chciał się upewnić, czy z niego nie wyłoni się widmo, wlokącej za sobą białą długą szatę, niewiasty. Stał tak chwilę, wreszcie zaczął się przechadzać. Po kątach gabinetu, na rudo czerwonych jedwabiem okrytych ścianach, osiadł mrok zupełny, rozścielający tylko gdzieś gdzieś ciemne plamy.

Cisza była zupełna, nie słyhać było szelestu jego własnych kroków, głużył je rozesłany puszysty dywan.

Książę jednak ze splecionymi na piersiach rękami stał co chwila i rozglądając się wciąż uparcie powtarzał:

— Ojcu memu ukazała się przed śmiercią, stryjowi, królowi 1772 roku po raz pierwszy, ostatni 1795, mnie już po raz drugi... i w tymże samym dniu... Przepowiednia to śmierci, czy nieszczęścia?...

— Dziwne, dziwne!... nie drżałem wobec kul nieprzyjacielskich, a dreszczem mnie przejmuje ukazujące się

widmo...¹⁾ — mówił półgłosem, jak gdyby chciał przerwać ciszę. Umilkł i siadł przy biurku pogrążony w myślach. Cisza najzupełniejsza wciąż zaległa, tylko powolny tik-tak zegara znaczył ubiegające chwile.

Świece na biurku opaliły knot długi i smutnym płonęły blaskiem, kapiąc łzami rozgrzanego wosku na srebrną podstawę świecznika.

Wreszcie zegar, posuwając się powolnym ruchem, syknął i zaczął wydzwaniać godzinę...

Dźwięk jego obudził z zamyślenia księcia.

— Raz, dwa, trzy... począł liczyć.

— ...Dwunasta! — rzekł głośno.

I wyciągnął ramiona, jak człowiek nagle rozbudzony ze snu, chcący tym ruchem przywrócić się do przytomności.

— I niech mi to wszystko rozum ludzki wytłomaczy — rzekł do siebie półgłosem.

— Zaprawdę, są rzeczy, o których się żadnym filozofom nie śniło! — dodał.

I wstawszy, pociągnął taśmę od dzwonka.

Na dźwięk ten, suwając się powoli, wszedł Grzegorz i zaraz od progu zaczął:

— Chryste Panie! — że też to panicz nie widzi, co się dzieje! te... chciałem mówić jego ekscellencya! — poprawił się.

¹⁾ Jest legenda, jakoby członkom rodziny Poniatowskich ukazywało się widmo w postaci biało ubranej kobiety; ukazanie się jej miało zwiastować śmierć lub wielkie nieszczęście.

— Toć to knot się upalił na pół łokcia, szczypce stoją, a nikt świec nie objaśnił... — gderał, biorąc z tacki szczypce i robiąc porządek około obtopionych świec, zwieszających sentymentalnie knoty.

Lecz książę zdawał się nie słyszeć ani gderania starego sługi, ani jego starań koło uporządkowania świeczników; ani też wejścia Domina, który był teraz przybocznym pomocnikiem starzejącego się coraz więcej Grzegorza.

Stał w oknie i patrzył w zamyśleniu na osrebrzoną światłem księżycy Wisłę i błyszczącą jej wodę wśród tego światła.

— Czy jego ekscellencya raczy udać się na spoczynek? — spytał Grzegorz, załatwiwszy się z uporządkowaniem świecznika.

— Tak, tak! — odrzekł machinalnie książę, kierując się ku sypialni.

— Czy wszystko do jutrzejszej podróży przygotowane? — zapytał nagle.

— Dzisiejszej chyba, boć to już po północy — mruknął Grzegorz.

Książę się uśmiechnął a Grzegorz mówił:

— Wszystko gotowe! — i skinął na Domina, ażeby odebrał od niego odzienie, które własnoręcznie zdejmował ze swego „panicza“ nie pozwalając się nikomu w tej posłudze wyręczyć.

— Skoro świt w drogę! — rzekł książę, nie skłonny tym razem do wszelkiej gawędy i sprzeczki ze starym, dla którego miał zawsze jakąś anegdotkę, żart lub przygodę do opowiedzenia.

— Według rozkazu jego ekszellencyi! — odrzekł Grzegorz, ruszając wąsami. I zapaliwszy nocną olejną lampę, wyszedł, mrucząc:

-- Nasiadło go coś znowu, milczy, jakby mu język kołem stanął!

Czy książę i jego wychowaniec spali tej nocy, nikomu się z tego nie zwierzyli, to pewna jednak, iż według rozkazu, książę z bardzo małym dworem wyruszył z Warszawy.

Przy wyjeździe Iwo kilkakrotnie spojrzał na swego opiekuna.

— Najwidoczniej jakaś troska go gnębi! — pomyślał sobie, spojrzawszy na twarz jego i głęboką zmarszczkę na czole.

Nie przysuwał się jednak, nie będąc wołany. Po mglistym i dżdżystym ranku ukazało się jasne i nadspodziewanie ciepłe słońce: w południe świeciło tak złudnie, iż gdyby nie żółkłe liście i woń jesienna świeżo zoranej ziemi przypominałoby wiosnę.

Na pierwszej stacyi, gdzie wypoczywano i przepręgano konie, książę nie wszedł do przygotowanej dla siebie izby. Siadł na ławie przed domem zajezdnym i patrzył na zlatujące z drzew liście, złocące się jak motyle w promieniach słońca. Iwo właśnie przechodził, oddał ukłon wojskowy i chciał oddalić się w swoją stronę.

— Iwonie! — zawołał książę.

Młody porucznik stanął we właściwej odległości wyprostowany.

— Cieszysz się z podróży? — zapytał go opiekun.

— Najwyższe to dla mnie uszczęśliwienie, że ją odzywam z rozkazu i przy boku jego ekszellencyi! — odrzekł, powtarzając ukłon.

— Przybliź się! — rozkazał książę, nie zwracając prawie uwagi na tę odpowiedź.

Iwo dał dwa kroki naprzód.

— Czy wychodziłeś gdzie wczoraj wieczorem? — spytał książę.

Iwo zaczerwienił się i serce mu zakolało niepokojem.

— Dostrzegł, żeś spoglądał w jego okno! — pomyślał sobie z wyrzutem.

Postanowił być szczerym i odrzekł spokojnym głosem:

— Wyszedłem na taras i przypatrywałem się mgle rozcielającej się nad Wisłą...

— Prawda, co za okropna mgła! — przerwał mu książę.

— Tak, okryła całą rzekę a potem rozpadła się w najfantastyczniejsze kształty.

— I cóżeś w nich widział? — przerwał powtórnie książę, zrywając się nagle z siedzenia i zbliżając się do mówiącego.

— Przypomniały mi moje dzieciństwo, przybycie z jego ekszellencyą do Warszawy, a zdawało się, iż w nich widzę moją matkę...

— Szła w postaci wysokiej kobiety, wlokąc za sobą płaszcz biały!... — przerwał znów książę.

— Tak, mości książę, tak mi się ukazała, wyciągną-

Iem nawet ku niej dłonie, przywołując z całą gorącością mego uczucia...

— Ale zjawisko zniknęło — rzekł, nie dając mu dokończyć, książę.

— Znikło, jak sen — rozwiało się w przestworzu... światło księżyca przedarło gęste mgły, osrebrzyło białą ich powłokę, łączącą się z powierzchnią wody — mówił Iwo, zapominając w obecnej chwili, gdzie się znajduje i z kim rozmawia. Przymknął powieki przed złotymi promieniami słońca, rzucającymi oślepiającym blaskiem wprost w jego oczy. I zdawało mu się, że z za przymkniętych powiek widzi znów w tym blasku ukochaną matkę, błogosławiącą mu na drogę życia. Uśmiech i błogi zachwyt okolił jego twarz młodzieńczą.

Książę nie przerywał milczenia.

Zapatrzone w dal, w wyobraźni swej widział najrozmaitsze obrazy... przesuujące się jak w czarnoksiężskiej latarni księżyca... nie, wyszła nie wiedzieć skąd, oderwała się od ściany... Świeciło błyszczącą powierzchnią łożysko rzeki, nad niem przeciągała owa postać niewieścia, wlokąc za sobą szatę białą...

Lecz do obrazów tych twarz księcia nie promieniała radością, owszem, chmura smutku osiadła na jego licu a czoło przeorała głęboka bruzda. Opiekun i wychowaniec stali tak naprzeciw siebie chwilę długą, zapominawszy o swojej obecności wzajemnie.

— Wszystko gotowe do dalszej podróży! — zawołał, salutując po wojskowemu, Grzegorz.

Książę zbudził się z zadumy, zbudził się z niej i Iwo, otwierając przymknięte powieki.

Opiekun i wychowaniec spojrzeli na siebie, zrozumieli obadwaj w tej chwili, iż jakaś niewidzialna nić łączyła ich obu.

— Szczególne, szczególne! — rzekł książę, idąc za biegiem swych myśli.

I spojrzawszy raz jeszcze na Iwona, dodał:

— Po tak mglistej nocy — taki dzień piękny!

— Oby zawsze taki nam wschodził! — pomyślał Iwo, idąc za księciem.

— Jedziesz ze mną! — rozkazał tenże, wsiadając do podróżnej kolasy.

Iwo wskoczył za nim i umieścił się na przednim siedzeniu, ku zazdrości pozostałych i wielkiemu niezadowoleniu Grzegorza, który szepnął do siebie:

— Ten od pierwszej chwili ma łaski; — dobry chłopak, ale to jakieś niesamowite, — ma coś we łbie i zawsze panicza swem gadaniem nabawia gorączki!

I mrucząc, wszedł na następny furgon, gdzie już niepodzielnie nad szczupłym książęcym dworem panował.

Podróż odbywała się bardzo szybko i więcej jeszcze zbliżyła wychowanka z opiekunem. Książę bowiem ukazanie się im obu jednocześnie białego zjawiska, uważał za jakąś nić tajemną, ich losy wiążącą.

Dla Iwona podróż ta zdawała się być przedwstępem do ziszczenia jego nadziei.

— Rozpocznijmy nowe życie! — myślał sobie, śniąc o walce i wojennej sławie Napoleona.

I oczy błyszczały mu ogniem zapału, a dawne zamyślenie ustąpiło miejsca zaciekawieniu, z jakim zwracał

uwagę na obce kraje, które przebywał, a następnie zwiedzał bogatą i wesołą cesarstwa niemieckiego stolicę.

Wśród tego wyczekiwał jakiegoś rozkazu księcia, — hasła, któreby go wezwało tam, gdzie odgłos walki powoływał wielu młodych jego towarzyszy.

Rozkaz ten jednak nie przychodził.

Wprawdzie, mieszkanie księcia w Wiedniu na Josephstadt roilo się od zwiedzających; — książę całemi godzinami przepędzał czas z nimi na rozmowie, — rozsyłał gońców do innych miast i krajów, jemu jednak nie dawał żadnego specjalnego polecenia.

Często też apartamenty księcia rozbrzmiewały wesołą zabawą i hulanką zbyt głośną, wylewającą się z całą swobodą na zewnątrz i skupiającą pod oknami gawieź uliczną.

Książę wśród poważnych narad i wesołych zabaw zapominał o białem zjawisku, oblicze jego pogodne zasępiało się tylko, gdy przyniesiono listy, z których nie wszystkie były pomyślne, lub licujące z jego żądaniem.

Słowem, książę znalazł ukojenie dla swoich przeczuć i obaw, Iwo rozboleł na nowo.

Zbyt małą i nic nieznaczącą był osobistością, ażeby oddźwięk z narad i działań książęcych mógł jego uszu dochodzić, — zbyt rozmarzonym, żyjącym oderwanem życiem i w sobie zamkniętem, ażeby zabawy książęce, które naśladował dwór, mogły go ku sobie pociągnąć.

Książę wzywał go często teraz do siebie i w długich rozmowach starał się niejako zbadać jego wewnętrzne usposobienie. Przypatrywał mu się badawczo, da-

wał nic nie znaczące zlecenie i na tem się wszystko kończyło.

— Uciec w świat, bez zezwolenia księcia, byłoby to najwyższą niewdzięcznością, postępowaniem ohydny i karygodny! — myślał sobie młodzieniec.

Do mieszkania księcia, przychodzili często ludzie młodzi, niedawno przybyli z kraju, niektórych Iwo znał osobiście z Warszawy, — z wieloma zaznajomił się tutaj dopiero.

Spotykał ich na mieście, ci jednak po parodniowym pobycie, znikali najzupełniej z horyzontu.

Pewnego razu, gdy czekał na rozkazy księcia w przybocznym gabinecie, wszedł średnich lat mężczyzna ubrany po cywilnemu, a za nim młodzieniec smukły, gnący za olbrzymią postacią starszego towarzysza.

Spozrzeglł go jednak Iwo, — twarz jego śniada okryła się szkarłatnym rumieńcem, a ciemne oczy zaiskrzyły się radością. Taką radość zabłysła na obliczu przybyłego młodzieńca. Byliby się sobie z Iwonem rzucili w objęcia, lecz karność wojskowa mimo cywilnego ubrania, powstrzymała ich od wybuchu uczucia.



Dojrzał je wszak olbrzym i spojrzawszy na Iwona, śmiejąc się, zawołał:

— Kamraci, — co?

Iwo skłonił się z uprzejmością, a przybyły zapytał:

— Jego ekscellencya przyjmuje?

Nie czekając odpowiedzi i nie wymieniając swego nazwiska, rzekł:

— Powiedz, mój młodzieńcze księciu, że przybył ten, który niezwłocznie musi się z nim widzieć.

Iwo oddalił się wojskowym krokiem i niebawem ukazał się, zapraszając przybyłego, do którego na powitanie zbliżył się książę we własnej osobie.

Powitanie przybyłego z księciem, jakkolwiek bardzo serdeczne, mniej z pewnością miało uczucia, niż powitanie Iwona z jego towarzyszem.

Był to bowiem Józef Drzewiecki.

Spotykali się u chorążtwa w Warszawie, — łączył ich zapal młodzieńczy, jedność zapatrywań i dążeń, oraz przyjaźń dla zacnych, a znękanych nieszczęściami państwa Pokrzyckich.

Iwo niejednokrotnie był powiernikiem pana Józefa, który mając serdeczne uczucie dla Olimpki, obiecywał sobie, że w przyszłości nazwie ją swoją małżonką.

Iwo młodszy od niego, dalekim był od takich marzeń. — Dla niego. Olimpka była jakąś nadziemską pełną natchnienia istotą, którą czcił i wielbił, pozwalając uczuciom swoim bujać w niedościgłych i nieznanych przestworzach.

Drzewiecki nie widział Olimpki od owego spotkania w Kurowie, Iwo widywał ją, ilekroć książę kazał mu to-

warzyszyć sobie do Puław. Widział ją parę miesięcy temu, mógł więc przyjacielowi wieści udzielić. Opowiadał więc najdrobniejsze szczegóły, kończąc:

— Nie zmieniło się nic u chorążtwa; — chorąży służy de publicis, jak dawniej, borykając się z władzami pruskiemi, chorążyna, siedząc u P. P. Sakramentek, modli się za pomyślność Olimpki i odnalezienie Justysi, której jak niema, tak niema! — dodał, wzdychając.

Po pierwszych wynurzeniach i sprawach prywatnych, przeszła rozmowa na wojnę i na wielki geniusz wojenny Bonapartego.

Opowiadali sobie o jego zwycięstwach, prześcigając się w uwielbianiu.

— Słuchać rozkazów takiego wodza, zginać nawet pod jego rozkazami, to honor, to sława! — mówił Iwo z zapalem.

— Chodź z nami! — zawołał Drzewiecki.

— Idziecie? — zapytał i oczy zabłyśły mu migotliwym blaskiem.

— Cyt! — wiesz przecie, że władze austriackie nie pozwalają się przedzierać do Napoleona; — wszak on teraz z nimi wojnę prowadzi. Wiedz o tem, że jadę do wód, dla poratowania zdrowia; tamten, to mój sługa! — dodał, wskazując na drzwi od gabinetu księcia.

Iwo kiwnął głową. Obadwa zamilkli, znać jednak było, iż myśli w jednym kierunku dążyły.

— Byłbym nikczemny, gdybym cośkolwiek przedsięwziął bez wyraźnego rozkazu księcia! — ozwał się po chwili Iwo.

— Jemu wszystko zawdzięczam! — dodał.

Drzewiecki nic mu nie odrzekł, znać jednak było, że podzielał myśli i uczucia przyjaciela.

Wkrótce wyszedł ów przybyły, młodzi ludzie stanęli wyprostowani.

— Gdy zginę, powiedz Olimpcie, że w chwili śmierci o niej myślałem! — szepnął Drzewiecki, żegnając spojrzeniem Iwona.

— Nie macie się co żegnać, jeszcze nie raz się zobaczycie! — rzucił mniemany służący, który tutaj przyjął właściwą na siebie rolę.

Iwo z Drzewieckim zamienili z sobą spojrzenie, w którym przebiegała ciekawość i zdziwienie.

Iwo sam nie wiedział dlaczego, ale jakaś dobra otucha nappełniła jego duszę, powtarzał jednak sobie:

— Każdy więc, każdy, kto tylko ma zdrowe ręce i serce niechęć, dąży pod sztandary wielkiego wodza!

Zazdrościł im w duszy, był jednak spokojniejszy, wesejszy, a rozważając słowa przybyłego rzucone na odchodem, myślał:

— Najwidoczniej nie zaraz się wybierają!...

Na drugi dzień książę zawezwał go do siebie.

Po zamienieniu kilku wyrazów o rzeczach bieżących, a dotyczących przybocznego dworu księcia, nagle tenże zapytał:

— Podobno w przybyłym młodzieńcu poznałeś przyjaciela?

— Tak, jest to Józef Drzewiecki, z którym zaprzy-

jażniliśmy się w domu państwa chorążtwa Pokrzyckich— odrzekł Iwo.

— Wiem — rzekł książę i ciągnął dalej:

— Godnych wybierasz sobie przyjaciół; Drzewiecki to zacny młodzieniec i głowę ma nie dla kształtu!

A przez myśl mu przemknęło:

— Jak on się umiał postawić, że mu nikt nie wypomina jego przeszłości, a wszyscy lgną do niego! — I spojrział z pewnem zadowoleniem na swego wychowawcę.

— Nie znać też w nim wcale pastucha serbskiego! — dodał w myśli, przypatrując się dorodnej postaci młodzieńca.

— Poznałeś już miasto? trafisz na Leopoldstadt? — zapytał nagle książę.

— Nie byłem tam jeszcze, dopytam się jednak łatwo— odparł Iwo, gotowy zawsze spełnić polecenie księcia.

— Nie można się dopytywać, masz oto plan miasta, rozpatrz się w nim i idź na pewniaka, — rzekł książę, wskazując rozłożony na ubocznym stoliku papier.

Iwo przybliżył się i zbadawszy dokładnie ulice i ich kierunek, zanotował sobie w pamięci, którymi bez pytania najłatwiej i najbliżej będzie się mógł dostać na Leopoldstadt.

— Pod Nr. 140-ym mieszka twój przyjaciel Drzewiecki, pójdziesz do niego i powiesz jego mniemanemu słuzącemu te słowa: „Niechaj tak będzie, trzeba tylko z nim samym się porozumieć.“

— Strzeż się tylko wszelkich pytań po drodze, w domu też nie rozpytujac się nikogo, trafisz. Wprost z sieni są

schody kamienne, tam na drugim piętrze, na lewo, drzwi zamykające się na klamkę w kształcie ręki ludzkiej. Zapukasz dwa razy szybko, zatrzymasz się chwilę i pukanie powtórzysz; — objaśnił książę.

— Wszystko co usłyszysz, zachowaj w pamięci, powtórzysz mi dosłownie! Nikomu więcej, choćby najserdeczniejszemu przyjacielowi! — dodał.

Iwo skłonił się i oczy zamigotały mu blaskiem.

Pierwszy to raz książę dawał mu tajemne zlecenie, — czuł się z tego uszczęśliwiony i dumny.

Książę, który według swego zwyczaju, rozmawiając, rysował jakąś główkę przy biurku, spojrzał teraz na niego. Zrozumiał uczucia, jakie w tej chwili przepęłniały serce młodzieńca.

Uśmiechnął się też z zadowoleniem i rzekł:

— Idź i wracaj z odpowiedzią!

Iwo skłonił się znów i zabierał się do odejścia.

— Zatrzymaj się! — zawołał książę.

I wstawszy, zbliżył się, a położywszy rękę na ramieniu młodzieńca, szepnął:

— Jeżelibyś spotkał oprócz Drzewieckiego jaką osobistość znajomą, nie okazuj zdziwienia.

— Rozumiem! — odparł Iwo i wyszedł rozpromieniony.

Nie chcąc jednak zdradzić się przed oczekującymi w przybocznym pokoju na posłuchanie, że się wybrał ze zleceniem księcia, zatrzymał się chwilę i choć mu serce drżało niecierpliwością, dopiero po jakimś czasie wyszedł na miasto.

Zachował wszelką przezorność w wyszukiwaniu ulicy. Ubrany w ciemny płaszcz z peleryną i kapelusz, jaki wszyscy nosili, nie zwracał niczyjej uwagi. Mijając ulice, nie przystawał na rogach i nie przypatrywał się ciekawie napisom, lecz szedł pewnym krokiem, jak człowiek znający dokładnie miasto.

Trafił też do wskazanego domu bez trudności, bo spotkał o kilka kroków jegomościa widzianego wczoraj. Ubrany był w długi surdut i czapkę, jaką zwykli nosić służący. Iwo nie zdradził się, że go poznał, lecz ten pierwszy odezwał się po polsku:

— Tutaj! — I wszedł do sieni.

Że jednak przechodziła jakaś osobistość, która się po-każnej postaci mniemanego służącego przyglądała, ten zaraz, zwracając się do Iwona, rzekł po niemiecku:

— Mój młody pan jest nieco słaby, zadowolony jednak będzie z pańskich odwiedzin.

Obeszło się więc bez pukania, lecz zaraz za wejściem rolę się znów zmieniły. Mniemany służący, zamknawszy drzwi na zasuwę, przybrał ten sam ton, jakim przemawiał wczoraj i nie dając Iwonowi przywitać się z towarzyszem, zapytał:

— Cóż mi przynosisz, mój młodzieńcze?

Ten, przypatrzwszy mu się teraz, o mało nie krzyknął z podziwu, poznał bowiem w mówiącym generała Karola Kniaziewicza, którego kilka lat temu widział w Warszawie.

Powstrzymał jednak swój podziw i powtórzył słowa księcia Józefa:

— Niechaj tak będzie, trzeba się tylko z nim samym porozumieć.“

— A więc gadaj otwarcie, masz ochotę iść z nami w świat?! — rzucił Kniaziewicz, przypatrując się młodzieńcowi, gdy tymczasem Drzewiecki patrzył na niego przyjaźnie.

Iwo spojrzał zdziwionemi oczami.

— Gadaj, może kto nadejść! — powtórzył Kniaziewicz, siadając.

Byłoby to spełnienie moich marzeń — odparł Iwo — lecz bez wyraźnego rozkazu księcia pana, a mego dobrodzieja, nic nie uczynię.

— Przyniosłeś przecie jego zezwolenie! — wmieszał się Drzewiecki.

— Powtórz słowa księcia! — rozkazał Kniaziewicz.

Iwo powtórzył wyrazy i teraz dopiero w ich dźwięku dopatrzył się zezwolenia.

W pierwszej chwili bowiem, uszczęśliwiony zaufaniem i zajęty myślą poselstwa, nie zastanawiał się nad ich treścią.

— Więc to do mnie się odnosiło! — zawołał, promieniając radością.

W tej chwili jednakże jakiś żal ścisnął mu serce.

— Obraziłem znać mego ukochanego księcia, kiedy się mnie chce pozbyć! — pomyślał sobie.

— Wyruszamy dziś po północy! zajmiesz miejsce w powozie obok mego pana, kiedy ja pojedę na koźle! — dodał z uśmiechem Kniaziewicz.

— Gdzie się mam stawić? — zapytał Iwo z jakimś drżeniem w głosie.

— Tutaj, punkt o północy — odrzekł Kniaziewicz.

— Za dezercyę kula w łeb! — dodał.

— Czy ci czasem piórka nie ogorzały, bo dyabło masz rzadką minę? — zapytał nagle, przypatrując się bacznie Iwonowi.

— Nikt chyba więcej nademnie nie pragnie stanąć w szyku wojennym — odrzekł tenże — a jeżeli twarz moja wyraża smutek, jest to tylko ból, czym nie przekroczył przeciw memu opiekunowi, dla którego w każdej chwili gotów jestem życie poświęcić!

— Są bardzo szlachetne uczucia — odrzekł Kniaziewicz — ale nie mamy czasu nad nimi się roztkliwiać!

— Rozpląćcie się więc nawzajem z księciem i marsz! — dodał.

I rzeczywiście, o mało nie doszło do łez między opiekunem i wychowancem.

Ktoby widział ich rozmawiających, nie odgadłby w Iwonie przybłądy, lecz najczulszego syna; w księciu widziałby tylko serdeczne uczucie starszego brata lub przyjaciela.

— Idź spełniaj to, do czego ja w tej chwili należyc nie mogę, rzekł książę, przyciskając go do piersi.

— Przyjdzie chwila, spotkamy się pod jednym sztandarem! — dodał.

XV

SKRZYDLATE ZJAWISKO.

Sława wojenna Napoleona rozbrzmiewała coraz więcej, wielkie jego zwycięstwa, bałwochwalcza cześć, z jaką wspominano jego imię i widoczna dążność do władzy zaniepokoiła Dyrektoryat, stojący wówczas na czele rządu we Francji.

Kiedy więc Napoleon poddał śmiałą myśl wyprawy do Egiptu, Dyrektoryat od razu zezwolił, chcąc go się pozbyć ze swojej widowni.

Wielkim zaś jego zwycięstwom we Włoszech i walkom z Austryą dopomagały siły, przyprowadzone i utrzymywane przez generałów Henryka Dąbrowskiego i Karola Kniaziewicza.

To wodzowie, lecz iluż wiarusów zapisało się krwią własną w walkach wojennego olbrzyma!

Torowano mu drogę do wielkości i sławy.

— Otrzymując za to rany i wielkie nigdy nie spełniane obietnice.

W czasie gdy ten olbrzym wojenny coraz więcej wyrastał, słaby i bezwłasnowolny Stanisław August zakończył życie w Petersburgu roku 1798.

Całe szeregi dążyły za Napoleonem do Egiptu, inne jednocześnie pracowały we Włoszech dla jego sławy.

Na tej sławie, na czci, jaką mu oddawano, oparł on swoją potęgę. Zdawało się, że obłoki szybujące po niebie lub wichry szumiące w przestworzu przynoszą mu wieści na pole walki, z taką szybkością dowiadywał się o wszystkim, co się działo w Europie. Z taką szybkością wrócił też z Egiptu, przybył do Paryża i powiedział:

— Lud potrzebuje pana! — I ogłosił się pierwszym konsulem 9-go listopada 1799 roku. Ujął rządy w silne dłonie, doprowadził do porządku wzburzone umysły i nowe rozpoczął podboje.

Zatrwożone tem państwa europejskie, utworzyły przeciw nowemu mocarzowi koalicję. Nowe plany, — nowy teatr wojny...

— Serca zniechęcone chwilowo zadrgały nowem życiem, dłonie za broń chwyciły, spiesząc znów pod rozkazy olbrzyma.

Jeżeli tylu ochotników polskich krew przelewało we Włoszech, Iwo nie został za innymi. Walczył, odbierał rany, dotąd jednak marzenie jego nie zostało spełnione. Nie zetknął się nigdzie z Napoleonem, nie usłyszał rozkazów, skierowanych wprost do siebie, nie oglądał z bliska jego oblicza. Widział go wprawdzie nieraz, jak z szybkością niezwykłą wydawał rozkazy, nie zadowoliło go to jednak. Wygórowana ambicja rozpierała pierś jego młodzieńczą. Napoleon stał się bohaterem jego myśli, zdawało mu się, iż z chwilą, gdy wzrok wielkiego wojownika padnie na niego, promień geniuszu i jemu się udzieli.

Wtedy on, Iwo, Przybłęda, spełni wszystkie swoje marzenia...

Lecz kule podczas bitwy nie pytają o marzenia i dążeń walczących.

W jednej z bitew Iwo został ciężko ranny.

Uniesiony z pola walki z wieloma innymi długo walczył między życiem i śmiercią, musiano go wreszcie zostawić w wiosce piemonckiej.

Kiedy przyszedł do siebie, generałów, pod których rozkazami walczył we Włoszech, już nie było, — podążyli do Paryża złożyć Dyrektoryatowi zdobyte na Austrii chorągwie.

Losy pozostałych rannych we Włoszech nie były do pozazdrosczenia. Z jednej strony niechęć ludu włoskiego, z drugiej napływające wojska, usiłujące odebrać Francji zdobyte przez nich ziemie, — wrogo dla tych rekonwalescentów były usposobione.

Prócz tego w sercu Iwona rozgorzała tęsknota do tych, z którymi tu przybył.

— Opuściłem mego ukochanego księcia, nie doścignąłem marzeń moich i zginę marnie! — mówił w chwili zniechęcenia.

Jedyną pociechą dla niego był Janek, rymarczyk z Piwnej, z którym jako ranni leżeli obok siebie i potem smutną dzielili dolę.

Lecz ten nie stracił fantazyi.

— Człowiek to wytrwale zwierzę, — żołnierza zaś Pan Bóg ma zawsze w opiece. Zedrze się jedna skóra,

porośnie druga, zresztą i z poszczerbioną przyjmą nas z otwartymi rękami w Warszawie! — powtarzał.

— Byle tylko dostać się do którego z naszych pułków! — dodał.

Uganiał się tymczasem z rozmaitemi oddziałkami za Barbetami czyli piemonckimi góralami.

— I co oni nam winni? — mówił nieraz Janek.

— Oni wszyscy nic nam nie winni, lecz dopomagamy tem Napoleonowi! — odpowiadał Iwo.

— Ach, żeby się to przedrzeć do naszych! — wzdychał Janek.

Los też jego był nieco znośniejszy niż Iwona. W pierwszych bowiem chwilach po wyjściu ze szpitala zarabiał, naprawiając uprzęż i dzielił się tem z Iwonem, który żadnego rzemiosła nie posiadał.

— Owa, wielki ze mnie dobrodziej, mam przecie tylko jeden żołądek, a na dwa zarabiam! — mówił, śmiejąc się.

— Zresztą, gdy się wyliżemy z biedy, oddasz mi wszystko — dodawał.

Wśród takiego tułactwa i biedy upłynęło im kilka miesięcy.

Wtem gruchnęła wieść o powrocie Napoleona z Egiptu i o władzy, jaką sobie przywłaszczył.

Z wiosną zaś 1800 roku cały Piemont rozgorzał wieścią, że Napoleon idzie z wielką armią, wypędzić rozgoszonych w Alexandryi Austriaków.

— Ach, żeby się tak przedrzeć do niego! — zawołał Iwo.

— Prowadź, tyś uczony, znajdziesz drogę! — odparł Janek.

— Byleby tylko nie wpaść między Austryaków! — rzekł Iwo, namyślając się, jakim sposobem się przedrzeć.

— A choćby... naprawimy im uprząż, zjemy ich chleba i wymkniemy się jakoś! — zawołał Janek, wesoło potrząsając zamkniętymi w maleńkim woreczku przyborami, składającymi się z kilku igieł, grubych nici, kawałków starego rzemienia i sprzączek.

Nie potrzebowali jednak trudu się wielce podróżować. Lud z trwogą opowiadał, że do Novi, w okolicy której się znajdowali, ciągną nieprzeliczone tłumy wojska „co jak wichura z gór spada“.

Lud nękany od lat kilku wojną nie wiedział teraz, do kogo dłonie wyciągnąć. Austryak gnębił, — Francuz był nie lepszy. Wyczekiwano więc nowej klęski, chroniąc dobytek przed jednymi i drugimi.

Iwo zaś ze swoim przyjacielem, ubrani w pozbierane najrozmaitsze cywilne suknie, zaledwie wyszli i dostali się w wawóz, przyłapani zostali przez patrol francuski.

— Szpiegami jesteście! nie wyglądacie na tych, za których chcecie uchodzić! — zawołał podoficer.

— Prowadź nas do dowódcy! — ozwał się Iwo po francusku.

— Potrafiemy i uprząż naprawić i skórę na bagnet nadziać! — rzekł Janek rezolutnie po polsku.

— Co on mówi, po jakiemu? — krzyknął podoficer.

— Mówi po polsku — odrzekł Iwo, tłumacząc słowami przyjaciela.

Podobała się znać ta odpowiedź Francuzowi, bo jakoś łagodnie zapytał:

— To on polak?

— Polak, jako i ja, obadwaj ranni za waszą sprawę, czego dowodem nasze blizny! — odrzekł Iwo. I zdjął kapelusz, ukazując czerwieniejącą świeżą bliznę na swym czole i na policzku przyjaciela, naznaczonym cięciem pałasza.

— A na tych nie koniec! — dodał.

Podoficer spojrzał i rzekł:

— Wytłumaczycie się przed generałem.

W godzinę może zostali zatrzymani znów przez inny patrol, który zamieniwszy słów kilka z podoficerem, zabrał ich pod swoją opiekę i kazał ręce w tył związać.

Nie popsuło to jednak fantazji dwom naszym młodzieńcom, — owszem, szli pomiędzy jeźdźcami, rozmawiając wesoło.

Ćma nieprzeliczona wojska spuszczała się właśnie wawozem ku Novi.

Po chwili zatrzymali się przed jadącym na dzielnym koniu generałem niewielkiego wzrostu, w szarym płaszczu i różniącym się od innych trójkątnym kapeluszem.

— Co za jedni? — spytał tenże.

Podoficer, przyłożywszy rękę do kaszketu, zdawał raport.

Dawaj ich tutaj! — zawołał wódz.

Zrobiono miejsce w ciasnem przejściu i popchnięto przyprowadzonych.

Iwo zaledwie spojrział na owego generała, oczy zadrgały mu radością, szarpnął związane ręce, a nie mogąc ich wyciągnąć, zawołał głosem pełnym zapału:

— Choćbym już teraz życie zakończył, szczęśliwym będę, bo wielki geniusz do mnie wprost przemawia.



Po surowej ogorzałej twarzy Napoleona przemknął uśmiech nieznaczny, zapytał jednak surowo:

— Coś za jeden?

— Polak jako i mój towarzysz. Przybyliśmy do Włoch z generałem Kniaziewiczem i szefem Drzewieckim — odrzekł Iwo.

Napoleon zmierzył go od stóp do głów i zadawał pytania.

Janek stał milczący, bo oprócz kilku słów nie umiał po francusku. Iwo opowiadał w krótkości swoje i towarzysza dzieje.

Ranni obaj pod Mantuą, nie mogliśmy pójść z pułkiem, teraz pragniemy pod waszej wysokości rozkazy się zaciągnąć! — zakończył z całą prostotą.

Napoleon bystro patrzył na mówiącego, potem rzucił wzrokiem na przypatrującego mu się Janka i rzekł:

— Rozciąć im więzy, dać broń, jada tuż przy mnie!

Janek nie rozumiał słów wodza, zrozumiał jednak, że jest z więzów oswobodzony. Wtedy dając folgę radośnemu uczuciu, wyrzucił czapkę w górę i krzyknął:

— Vive l'empereur!

Gdzie i kiedy nauczył się tych wyrazów, nie zdawał sobie sprawy. Krzyknawszy poznał, iż odezwał się niewłaściwie, tem więcej, że Iwo spojrział na niego karcąco. Przeląkł się swego głosu i przytkał dłonią usta, jakby chciał wymówione słowa wtłoczyć napowrót. Iwo nie śmiał wzroku podnieść na wielkiego wodza, obaj zaś obawiali się, czy ten okrzyk go nie obraził. Nie wiedzieli też, że kiedy przybocznicy zamienili z sobą wejrzenie pełne podziwu, na twarzy Napoleona przebiegł uśmiech dumny, a w bystrych oczach zaigrały płomienie.

— Marsz! — krzyknął, przerywając dziwną ciszę, jaka zaległa po odezwaniu się nowego żołnierza.

Janek i Iwo odetchnęli swobodniej.

Poczuwszy broń w dłoni, zdawało im się, iż nowe życie w nich wstąpiło.

— Napoleone veder e poi mori — myślał sobie w wielkim upojeniu Iwo, trawestując okrzyk Włochów o Neapolu.

— Żeby nam jeść dali, bo widok wielkiego wodza nie zapełni pustego żołądka! — myślał Janek, spuszcza-
jąc się wraz z obozem z góry i spoglądając na niewielką postać Napoleona.

— Taki drobny a taki wielki! — dodał.

I mimo kruczącego żołądka, dumnym był w tej chwili, że się znajduje w szeregach tego drobnego lecz wielkiego wodza.

Mrok zapadał, a piękna gwiazdzista noc czerwcową okryła ich swoim cieniem.

Nakazano wypoczynek bez rozkładania ognia i rozsiadania koni, popuszczano im tylko popręgi. Napoleon u stoku gór, na rozesłanym własnym płaszczu dzielił niewygody żołnierzy. Jeszcze gwiazda polarna nie dobiegła swojego kresu, gdy począł się przechadzać po ścieśnionym w wąwozie obozowisku.

Księżyc wypłynął i skrzywioną tarczą oświeślał spoczywających.

Nagle Napoleon stanął nad przyjętymi kilka godzin temu ochotnikami i bystrem okiem począł na nich spoglądać. Zerwali się pod naciskiem tego spojrzenia i stanęli wyprostowani.

— Jakieś krzyknął na moje powitanie?! — spytał wódz, przypatrując się Jankowi.

Ten zadrżał w pierwszej chwili, spojrzawszy jednak na twarz wodza oświeconą księżycem, dostrzegł, iż w tej chwili niema się czego obawiać.

— „Vive l'empereur!” — zawołał, prostując się.

Twarcz Napoleona rozjaśniła się uśmiechem, poklepał go po ramieniu i szepnął coś do siebie, czego jednak ani Janek ani Iwo nie dosłyszeli.

— Taki wielki, a taki mały! — pomyślał sobie Iwo, rozważając rozradowane oblicze wodza, polechtanego znać mile okrzykiem Janka. I jakiś cień padł w umysł młodzieńca i przysłonił wielkość wodza, dla którego dziś rano miał cześć bałwochwalcza.

Być może, w piersi Iwona domieszał się także i cień zazdrości, że dłoń wojennego olbrzyma spoczęła przez jedno mgnienie oka na ramieniu jego towarzysza, kiedy na niego w tej chwili nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tem.

— Marsz! — dał się słyszeć głos Napoleona.

Wymówił prawie szeptem, lecz z taką siłą, iż wyraz ten przeleciał jak iskra, zapalając wszystkie serca wojennym zapalem.

I chociaż świt zaledwie rumienił się na niebie, a mgła gęsta unosiła się na stokach gór, spadając na obóz wilgotnymi szmatami, wszyscy stanęli w szyku bojowym.

Odgłos walki rozlegał się bowiem w oddali.

Słyszeć było szum odbijający się echem wśród pobliskich gór, szum i chrzęst, — jakby wichur zakolysał lasem, łamiąc jego odwieczne gałęzie; huk, — jakby całe niebo rzuciło gromy. Dym przepełniony siarką rozrywał mgłę, niweczając smrodliwą wonią świeżość czerwcowego poranka.

Szybkim marszem spuszczały się wąwozem wojska

francuskie ku Aleksandryi; słońce coraz gorętsze słało promienie, przyciemnione dymem, snując się w przestworzu.

Napoleon przyłożył lunetę do oczu, w oddali na drodze do Alexandryi stały wojska austriackie.

— Ognia! — zakomenderował Napoleon.

Zawrzała bitwa wielka, straszliwa, w której walczący zapominają o niebezpieczeństwie, a jakaś krwiożercza siła popycha ich do boju.

Dym wzrok ich oślepiał, ogłuszał huk, wśród którego niknęły rozkazy wodzów.

Walczyli.

Ciała rannych i zabitych padały, nikt na nie nie zważał, jak nie zważał w tej chwili na własne życie...

Napoleon, trzymając jedną ręką lunetę przy oczach, drugą wydawał rozkazy, popierając je głosem, którego siła przedzierała nawet wrzawę wojenną.

Walka wciąż trwała. Zwycięstwo, trzymając szalę na równi, poczęło ją przechylać na stronę Austriaków.

Siły francuskie słabnąć poczęły. Napoleon wymyślał obroty, wydawał rozkazy, lecz była już chwila, że miał wydać rozkaz cofania się w wąwozy.

Wtem dziwne ukazało się zjawisko.

Na niewielkim czarnym koniku pędzi pomiędzy walczących postać, ubrana w szkarłatne suknie ze skrzydłami u ramion. Pędziła, stojąc na purpurowem siodełku, a u nóg jej świeciły się maleńkie złotet ostrogi. Jedną ręką trzymała lejce, w drugiej wielkie koło obite cienką lśniąca, wypolerowaną blachą. Pędziła bez pamięci, jak gdy-

by szal umysł jej ogarnął lub chciała ująć pogoni, sroższej niż świstające około niej kule, niż wzniesione obnażone szablance, niż sama śmierć nawet. Włos jej długi ciemny, rozwiany wiatrem, wielkie lśniące koło w ręku, czerwona szata i skrzydła u ramion nadawały jej pozór jakiegoś przerażającego zjawiska.

Wpadła tak od strony Marengo, przecinając drogę między jednemi a drugimi walczącemi siłami. Przez chwilę jakiś lęk oba wojska ogarnął. Konie austriackie na widok błyszczącego koła, w którym mieniły się promienie słońca, strachać się i cofać poczęły; stawały dęba i mimo szarpania się żołnierzy i wpijanych ostróg w ich boki, na krok postąpić nie chciały.

I konie francuskie wypowiadały posłuszeństwo, w inny jednak sposób. Pędziły na oślep ku zjawisku a głos rozkazujący Napoleona trzeźwił żołnierzy z ich lęku.

Zwycięstwo przechylało się teraz stanowczo na stronę francuską; wojska zagrzewane głosem Napoleona i dowódcy walczyło z zapamiętałą odwagą.

Zjawisko, dostawszy się raz pomiędzy walczących, nie miało żadnego ujścia, przebiegało więc z szaloną odwagą, strasząc krwawą szatą i błyszczącym kołem rozrukane austriackie konie.

Zaczęła się teraz walka, nie znana w dziejach. Z jednej strony żołnierz austriacki na wystraszonych koniach bronił się z rozpaczliwą odwagą, z drugiej francuskie szeregi pieszo, nacierały z zaciętością lwa, broniącego usłanego przez siebie legowiska.

Iwo oddawna już walczył pieszo, bo konia pod nim zabito.

Walczył nieopodal wielkiego wodza, a odwaga swoją zwrócił niejednokrotnie bystre jego oko. Zjawisko, jakie się przesunęło między walczącymi, przykuło teraz magnetyczną siłą uwagę młodzieńca. Odpierał razy, zadawał cięcia, a wzrok jego jednocześnie śledził ruchy przelatującej na czarnym koniku postaci.

Nagle kula świsnęła, konik zachwiał się i upadł... Postać skrzydlata, przeskoczywszy przez jego kadłub, stała teraz, nie mogąc się ruszyć wśród ciał poległych i bezprzerwanej walki. Wzniosła tylko wielkie koło nad głową, potraszała nim drżącymi z wysiłku rękami i tą dziwną bronią od pocisków się zasłaniała.

Wtem zachwiała się i dłoń żołnierza austriackiego uchwyciła ją za rozwiane włosy. Lecz nagle inna dłoń odcięła trzymającą jej włosy rękę i uchwycił w ramiona, złożyła na stosie dogorywających lub zabitych ciał obu stron walczących.

Był to Iwo, który nie tracąc jej z oczu, przybył w samą porę z pomocą.

Jeszcze zabrzmiały rozkazy, jeszcze chwila walki — austriacy cofać się zaczęli. Wojska zwycięskie Napoleona zajęły obszerny plac boju pod miasteczkiem Marengo¹⁾ rozłożonem w kotlinie Piemontkiej między Alexandryą a Tarfona.

¹⁾ Pamiętne zwycięstwem Napoleona nad wojskami austriackimi d. 14 czerwca 1800 r.

Wieczorem na murach Alexandryi, gdzie trzymała się resztką wojsk austriackich, wywieszono białą chorągiew.

W bitwie tej nie brały udziału polskie szeregi nie obeszło się jednak bez złożenia choć skromnej krwi pol-



skiej. Iwo i Janek obadwaj znów byli ranni. Iwo zdołał jeszcze nieść przez chwilę skrzydlate zjawisko. Wkrótce jednak świsnęła zabłąkana kula i przestreliła mu lewe ramię, wtedy z największym wysiłkiem, dźwigając zdro-

wem ramieniem, dowlóknął się do najbliższej wioski, złożył swój ciężar przed progiem chaty i sam upadł, brocząc we krwi sączącej się z rany. Jęk rannych wywabił z chaty niemłoda kobietę; na widok, jaki się jej oczom przedstawił, załamała dłonie. Lecz serce jej przepełnione było znać miłością. Przyniosła bowiem zaraz wody, oblała nią leżącego i z wielkim trudem wciągnęła do chaty, gdzie już i tak leżał ranny z owiazaną głową.

Napoleon czuł, że skrzydlata postać przyczyniła się głównie do zwycięstwa. Nie lubił z takimi dzielić trofeów wojennych, niemniej zaciekało go nagłe zjawienie się tej zagadkowej istoty.

Widział, że Iwo unosił ranną z placu boju, zaraz też na drugi dzień, po załatwieniu najpilniejszych spraw, kazał go wyszukać i przywołać do siebie. Przyprowadzono go z owiazaną głową i ramieniem. Słaniając się ze zmęczenia i upływu krwi, trzeźwił się siłą woli i czekał rozkazu wodza.

— Cemu mi nie powiedziano, że on w lazarecie! — zawołał Napoleon gniewnie na ordynansa, który przyprowadził rannego.

— Nie byłem w lazarecie! — odparł za niego Iwo.

— Kto cię opatrzył ?

— Jakaś poczciwa kobiecina w pobliskiej wiosce — odparł ranny.

— Co się stało z uniesioną przez ciebie z pola bitwy woltżyerką? — spytał nagle Napoleon.

— Taż sama kobieta ją opatrzyła i przyjęła do siebie — odrzekł młodzieniec.

— Ciężko ranna? — spytał wódz.

— Ma przestrzelony obojczyk i strzaskaną nogę! — odparł Iwo.

— Mój przyboczny chirurg niechaj się zaraz stawi! — rzucił Napoleon do oczekujących jego rozkazów.

— Prowadź — dodał, zwracając się do Iwona, po przybyciu chirurga.

Ten szedł, słaniając się.

— Daleko? — spytał wódz.

— Pół godziny śpiesznego pochodu — odparł Iwo.

— Płaszcz między dwa konie i położyć go! — rozkazał Napoleon.

Z żołnierską szybkością spełniono rozkaz.

Iwo umieszczony wygodnie wskazywał drogę. Napoleon, idąc pieszo, rozglądał się po okolicy, ozłoconej ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Przykładał od czasu do czasu lunetę, spoglądał w dal, wyjmował z kieszeni mapę, przypatrywał się, konfrontując położenie okolicy.

Niebawem przybyli.

Napoleon, nie czekając, wbiegł do maleńkiego otoczonego winem domku.

Na progu powitała go niskim ukłonem niemłoda kobieta i, przykładając palec do ust, rzekła:

— Mamy ciężko rannych!...

Była to zwykła ostrożność wobec zwycięzców, dom bowiem, gdzie spoczywali ranni, bodajby nawet z nieprzyjacielskiego obozu, bezpieczny był przed napaścią żołnierzy.

— Prowadźcie mnie do waszych rannych! — rozkazał Napoleon.

— I ten stoi u nas! — rzekła wymijająco kobieta, spostrzegłszy Iwona, którego zdejmowali z noszów towarzysze.

— Gdzie ranna? — spytał, marszcząc brwi, Napoleon.

Jakkolwiek narzecz piemonckie, którem przemawiał, wzbudziło w poczciwej kobiecie pewne zaufanie, zawahała się jednak; przyrzekła bowiem Iwonowi, że nikomu o rannej nie powie i nikogo do rannej nie wpuści.

Spojrzała więc na młodzieńca, który skinął na nią przyzwalająco.

Kobieta otworzyła drzwi do przyległego alkierza, gdzie spoczywała cudnej urody młoda dziewczyna. Długie ciemne włosy spływały bogatym płaszczem ku ziemi, białe opaski owiazujące jej szyję i biała chustka, którą była okryta, dodawała jej uroku. Nie była to owa śmiała postać w krwawych szatach, ukazująca się wśród walczących, lecz anioł w pół śnie spoczywający.

Oczy jej na poły przymknięte wpatrywały się w zawieszoną na wprost jej łóża złotą ostrogę, o której umieszczenie prosiła, odzyskawszy na chwilę przytomność. Upominała się o drugą, lecz ta na placu boju została. Poruszała też czasem ustami, wymawiając modlitwę, czy też wyrazy, których jednak nikt nie mógł dosłyszeć.

Wielki wódz spojrzał na nią z zachwytem. Iwo, stojąc oparty o ścianę, oczu od niej nie mógł oderwać.

— Bardzo ciężko ranna — ozwała się kobieta.

— Ona żyć musi! — rzekł Napoleon, zwracając się do lekarza.

Głos jego był tak stanowczy, jak gdyby śmierci mógł tak samo jak swoim szeregom rozkazywać.

— Wynagrodzę wasze starania — rzekł nieco łagodniej, zwracając się do gospodyni chaty.

— Dajcie gościnność i temu! — dodał, wskazując na Iwona.

— Najjaśniejszy Panie, pozwól niech i mój towarzysz dzieli ze mną schronienie — ozwał się po francusku Iwo.

Napoleon łatwo przypomniał sobie owego towarzysza. Towarzyszem tym był Janek, który dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się pierwszej jeszcze w chatcie poczciwej kobiety.

„Vive l'empereur“ zabrzmiało w uszach Napoleona miłym echem. Uśmiech prześliznął się po jego twarzy.

— I o jego towarzyszu! — rzekł szybko narzeczem piemonckim.

To mówiąc, rzucił patrzącej nań z podziwem kobiecie kilka sztuk złota i dodał:

— Przyśle więcej!

Wyszedł śpiesznie, zostawiając w zdumieniu gospodynię domku.

Nie miała jednak czasu na podziw, ni na zadowolenie piekającej ją ciekawości, kto był ten hojny generał. Chirurg, opatrujący ranną, potrzebował co chwila usług.

Iwona i Janka kazali przenieść do małego pokoiku na pięterku, polecając kobiecie, nazywanej Gargatua, aby przy chorej czuwała, na krok jej nie odstępując.

Czynił zaś to wszystko z wielką pilnością, a nawet z pewną trwogą.

Ranna bowiem trapiąca była srogą gorączką. Rzucone zaś przez Napoleona: „Ona żyć musi“ brzmiało mu surowym rozkazem, którego niespełnienie spowodziłoby niechybnie niełaskę wodza.

Janek wkrótce ze swej rany się wylizał, Iwo chociaż nie mógł władać ręką i był bardzo osłabiony, wygrzewał się jednak na słońcu, lecz towarzysząca im niedola walczyła między życiem a śmiercią. Wśród gorączkowych majaczeń wymawiała wyrazy niezrozumiałe dla chirurga i dozoruującej ją kobiety.

Iwo usłyszał raz to majaczenie z przyległego pokoju.

— Mówi po polsku! — zawołał, dzieląc się tą wiadomością z Jankiem.

— Kto? — zapytał tenże.

Iwo wskazał na alkierz.

— Eh, może ci się zdaje!

— Wołała wyraźnie: matko, ojciec — odrzekł upojony tem odkryciem Iwo.

— I skąd ona tu się wzięła?! — zapytał sam siebie.

— A może to Justysia? — rzekł nareszcie Janek.

Iwo spojrzał na niego zdziwionemi oczyma.

I jemu też sama myśl przychodziła, nie śmiał jej jednak głośno wyjawiać.

— Mówiono, że ją skoczki uprowadzili, a nawet chorągwo jeździli jej szukać pomiędzy skoczkami aż do Berlina — ciągnął dalej Janek, przypominając sobie o tem, co zasłyszał w przechodzie przez Warszawę.

— I nie znaleźli! — odrzekł Iwo, odpowiadając na przypuszczenie towarzysza.

Myśl ta jednak, że to może być Justysia, uczepliła się obudwu.

Z tem większą jeszcze pilnością badali Gargatue i chirurga o wymawiane przez ranną wyrazy, — prosząc ażeby im pozwolono przysłuchiwać się jej majaczeniom.

Lecz ranna przestała majaczyć, — wpadła w sen głęboki.

Wreszcie po jakimś czasie poczęła przychodzić do siebie, lecz teraz zamilkła zupełnie. Na zapytania odpowiadała po włosku lub po niemiecku, sama nigdy o nic nie pytała, nie rozpoczynała rozmowy, dziękując tylko wzrokiem pełnym wyrazu za czynione starania. Gdy ją zapytano o imię i nazwisko odrzekła:

— Bella! — i nic więcej nie zdołano z niej wydobyć.

Leżała całymi dniami cicho, wpatrując się w zawieszoną naprzeciw niej złotą ostrogę, jakby ta była talizmanem jej życia.

Gdy Iwo przez otwarte drzwi ujrzał ostrogę, podrażniła go dziwnie swym blaskiem. Przypomniła sobie chwilę, kiedy ujrzał ostrogę księcia na pobojuwisku i przyszły mu na myśl wszelkie uczucia, jakie się w jego sercu wtedy zrodziły.

— Skąd ona doszła do niej!? — zapytał sam siebie, i zazdrość napełniła jego serce.

Wyrzucał ją sobie, bolał nad tem, lecz myśl o złotych ostrogach napastowała go i dręczyła.

— Gdybym otrzymał złote ostrogi, marzenia moje byłyby prawie skończone!... powtarzał sobie.

Ranna bowiem trapiąca była srogą gorączką. Rzucone zaś przez Napoleona: „Ona żyć musi“ brzmiało mu surowym rozkazem, którego niespełnienie spowodziłoby niechybnie niełaskę wodza.

Janek wkrótce ze swej rany się wylizał, Iwo chociaż nie mógł władać ręką i był bardzo osłabiony, wygrzewał się jednak na słońcu, lecz towarzysząca im niedoli walczyła między życiem a śmiercią. Wśród gorączkowych majaczeń wymawiała wyrazy niezrozumiałe dla chirurga i dozorującej ją kobiety.

Iwo usłyszał raz to majaczenie z przyległego pokoju.

— Mówi po polsku! — zawołał, dzieląc się tą wiadomością z Jankiem.

— Kto? — zapytał tenże.

Iwo wskazał na alkierz.

— Eh, może ci się zdaje!

— Wołała wyraźnie: matko, ojczyzna — odrzekł upojony tem odkryciem Iwo.

— I skąd ona tu się wzięła?! — zapytał sam siebie.

— A może to Justysia? — rzekł nareszcie Janek.

Iwo spojrzał na niego zdziwionemi oczyma.

I jemu też sama myśl przychodziła, nie śmiał jej jednak głośno wyjawiać.

— Mówiono, że ją skoczki uprowadzili, a nawet chorągwo jeździli jej szukać pomiędzy skoczkami aż do Berlina — ciągnął dalej Janek, przypominając sobie o tem, co zasłyszał w przechodzie przez Warszawę.

— I nie znaleźli! — odrzekł Iwo, odpowiadając na przypuszczenie towarzysza.

Myśl ta jednak, że to może być Justysia, uczepliła się obudwu.

Z tem większą jeszcze pilnością badali Gargatę i chirurga o wymawiane przez ranną wyrazy, — prosząc ażeby im pozwolono przysłuchiwać się jej majaczeniom.

Lecz ranna przestała majaczyć, — wpadła w sen głęboki.

Wreszcie po jakimś czasie poczęła przychodzić do siebie, lecz teraz zamilkła zupełnie. Na zapytania odpowiadała po włosku lub po niemiecku, sama nigdy o nic nie pytała, nie rozpoczynała rozmowy, dziękując tylko wzrokiem pełnym wyrazu za czynione starania. Gdy ją zapytano o imię i nazwisko odrzekła:

— Bella! — i nic więcej nie zdołano z niej wydobyć.

Leżała całymi dniami cicho, wpatrując się w zawieszoną naprzeciw niej złotą ostrogę, jakby ta była talizmanem jej życia.

Gdy Iwo przez otwarte drzwi ujrzał ostrogę, podrażniła go dziwnie swym blaskiem. Przypomniła sobie chwilę, kiedy ujrzał ostrogę księcia na pobojuwisku i przyszły mu na myśl wszelkie uczucia, jakie się w jego sercu wtedy zrodziły.

— Skąd ona doszła do niej!? — zapytał sam siebie, i zazdrość napęłniła jego serce.

Wyrzucał ją sobie, bolał nad tem, lecz myśl o złotych ostrogach napastowała go i dręczyła.

— Gdybym otrzymał złote ostrogi, marzenia moje byłyby prawie skończone!... powtarzał sobie.

— Więc walczysz tylko dla tej ozdoby! mówił mu głos lepszy kołaczący do jego duszy.

— Nie, nie, niech zginą złote ostrogi, byleby inne moje marzenia były spełnione, z ochotą życie za nie położyę!... wołał przygłuszając w sobie szczególniejsze pragnienie posiadania złotych ostróg i sławy.

Gdy wszelakie niebezpieczeństwo minęło, ranna poczęła o swojej sile wstawać, — chirurg nadworny pierwszego konsula uznał za stosowne zanieść mu tę wiadomość.

Przedtem jednak wręczył Gargatui sute wynagrodzenie, które Napoleon w jego rękach zostawił, a zwracając się do rekonwalescentki, położył jej dwa duże rułony złota, mówiąc:

— Wielki wódz, Napoleon, wynagradza twoją odwagę; doniosę mu o twojem wyzdrowieniu i pojadę, ażeby cię poprowadzić przed niego, gdzie otrzymasz większą jeszcze nagrodę.

— Nie chcę! — zawołała, wstrząsnawszy się.

Odsunęła ze wstrętem złoto i lzy popłynęły po jej wybladłej twarzy.

Chirurg, nie chcąc jej drażnić, zabrał złoto, lecz pozostawił je Iwonowi, mówiąc:

— To na jej potrzeby, — niech jej na niczem nie zbywa, opiekuj się nią, — za jej życie i bezpieczeństwo odpowiesz przed pierwszym konsulem.

Niepotrzebne było to zalecenie, — Iwo i tak byłby oddał życie w jej obronie; pociągała go bowiem ku niej jakaś siła wielkiego uczucia, które zrodziło się w jego

młodzieńczej piersi od chwili, gdy ją ujrzał przelatującą wśród walczących.

Wreszcie chora zaczęła używać świeżego powietrza, usłano jej wygodne siedzenie przed domem, gdzie całymi godzinami pozostawała w milczeniu.

Iwo i Janek, dopomagając raz Gargatui w przeprowadzeniu rekonwalescentki, zamienili z sobą kilka wyrazów po polsku.

Na dźwięk tej mowy twarz jej pokryła się żywym rumieńcem.

Umieściwszy ją na zwykłym miejscu, Janek rzekł głośno:

— Dałbym sobie rękę uciąć, że to Justysia...

— Skąd znasz moje imię! — zawołała porywczo chora po włosku.

Obaj młodzieńcy, jakkolwiek dawno żywili to przypuszczenie, stanęli teraz jak wryci.

Iwo zbliżył się, ujął jej rękę i rzekł po polsku:

— Szukaliśmy cię wraz z twemi rodzicami i z najwyższym szczęściem odnajdujemy!

Chora wsłuchiwała się w te wyrazy, a na twarzy jej znać było, iż usiłuje zdać sobie sprawę z ich dźwięku.

Gargatua, załamując ręce lamentowała, że chora popadnie w gorączkę, prosiła młodzieńców, żeby się oddalili, nikt jednak na to nie zważał.

Iwo, widząc wysiłek odnalezionej w zrozumieniu wyrazów, powtórzył je po włosku.

— Ach, moi rodzice, moi ukochani rodzice, czyż ja ich kiedy zobaczę! — odrzekła w tymże języku.

A potem po polsku wołać poczęła:

— Matko, ojczy!

I łzy popłynęły po jej twarzy.

Gargatua wciąż lamentowała:

Mam odpowiadać za jej życie i zdrowie przed wielkim wodzem, a wy ją do grobu wpędzicie!

— Uspokój się, dobra kobieto, łzy te jak i nasza rozmowa mogą jej przynieść ulgę — ozwał się Iwo.

— Obiecywałem państwu chorążtwnu i panience Olimpi, że ją odnajdę i jakoś szczęśliwie Bóg zdarzył! — ozwał się Janek.

Justysia nie rozumiała dobrze jego wyrazów, czuła jednak, że o niej i jej rodzicach mówiono.

— Znacie ich, dawnoście widzieli? mówcie mi o nich! — zawołała jednym tchem, składając ręce jak do modlitwy.

I poczęło się teraz opowiadanie.

Głównie Iwo i odnaleziona brali w niem udział, Janek bowiem nie umiając po włosku, dorzucał tylko czasem jakiś wyraz, który Iwo zaraz tłumaczył lub chora powtarzała, ciesząc się tym dźwiękiem jak dziecię.

— Gdyśmy wchodzili do domu na Piwną — opowiadała Justysia — jakaś kobieta z sieni porwała mnie, zatkała usta i włożywszy w worek, zarzuciła na plecy. Byłam tak skrępowana, że nie mogłam się ruszyć, myślałam że się uduszę. Jak długo w tym worku pozostawałam, — nie wiem. Gdy mnie wyrzucili z worka, księżyc świecił i wiatr chłodny od wody powiewał; wyjęli mi też z ust brudną szmatę, wtedy zaczęłam krzyczeć...

— A więc tak, nie myliłem się, to była ona! — rzekł Iwo po polsku do towarzysza.

— Powtórz po włosku, nie dobrze zrozumiałam, — rzekła dziewczyna.

Iwo spełnił jej życzenie.

— Widziałeś mnie, czemużeś mnie nie ratował!? — rzekła z wymówką.

Iwo opowiedział przyczyny, odnaleziona ciągnęła dalej:

— Wsadzono mnie znów do worka i wrzucono na wóz. Zziębnięta i przelekła zasnąłam. Gdy się obudziłam, leżałam w lesie na rozesłanej słomie; słońce słabo się przedzierało przez gęstwinę drzew, jakaś kobieta czuwała przy mnie. W pierwszej chwili, nie wiedziałam, gdzie się znajduję, prędko jednak oprzytomniałam, zerwałam się i chciałam uciekać, lecz kobieta rzuciła się na mnie, uchwyciła za włosy i poczęła bić niemiłosiernie.

Iwo zerwał się z oburzeniem, Janek, zrozumiałwszy ostatnie wyrazy, zacisnął pięści i zawołał:

— Ach, gdybym ją dostał w swe garście, zdusiłbym bez pardonu!

Gargatua płakała, nie omieszkła jednak podać nieco wina zmęczonej opowiadaniem Justysi i rzekła:

— Nie mów, nie mów, panienko, bo mi się znów rozchorujesz!

Lecz ta potrząsnęła głową przecząco i mówiła dalej:

— Przyszedł po chwili wysoki mężczyzna, krzyczał na kobietę, mówili oboje bardzo głośno i bardzo prędko, alem nie rozumiała ich mowy. Poglaskał mnie też

po twarzy i kazał dać jeść. Jadłam, bo byłam bardzo głodna. Wkrótce nadbiegło dwóch młodych chłopców i dziewczyna, ubrani byli kuso, w pstre suknie, czapki z dzwonkami i nieśli na ramionach pstre płachty. Spojrzawszy na nich, poznałam skoczków, których widziałam na ulicy w Warszawie i którzy mi się wtedy bardzo spodobałi. Zaczęłam ich prosić, żeby mnie do mamy i tatusia odprowadzili, ale oni śmieli się tylko, a dziewczyna pokazała mi język. Wkrótce wszyscy przywdzieli zwyczajne suknie, wsiedli na wóz, mnie wrzucono również i oddano pod opiekę owej kobiety, która za każdym mojem poruszeniem lub głośniejszym płaczem pokazywała pięść lub darzyła kułakiem. Teraz ów mężczyzna, którego nazywano Padre, wcale jej tego nie bronił i odtąd Madre, to jest owa kobieta, znęcała się wciąż nademną.

— Na mnie zaś poczęto wołać Bella. Zaraz tegoż samego dnia, gdyśmy stanęli znów w lesie, kazano mi skakać przez wielką obręcz, a gdym nie chciała, Padre podcinał mnie biczem, przymuszając do biegu.

Odetchnęła na chwilę, przełknęła podanego jej przez Gargatwę napoju i mówiła dalej:

— Odtąd zaczęła się moja nauka woltyżerki. Przez jakiś czas Madre na krok mnie nie odstępowała, zatykając zwykle usta chustką i zawiązując oczy, gdyśmy przez jakieś miasto przejeżdżali. Często też bardzo sadzano mnie w worek, zawiązując w nim z głową. Nareszcie dano mi nieco swobody, zapewne dla tego, że ludzi którzy, około mnie mówili, nic nie rozumiałam

a oni mnie nawzajem. Po niejakiem czasie ubrano mnie w kuse pstre suknie i kazano skakać przed publicznością. Po każdym takim przedstawieniu, musiałam nadstawiać fartuszek, wrzucano w niego dużo pieniędzy, które Padre potem zabierał.

— Był on teraz bardzo dobry dla mnie, kupował mi cukierki, które w jego oczach rzucałam na ziemię. Strzegł mnie zaś tak, iż nawet z tymi, z którymi dawałam przedstawienia, nie pozwalał rozmawiać. Wkrótce kupił konia, uczył mnie na nim jeździć, potem nakupił dużo koni, w każdym mieście wynajmował wielki budynek i dawał przedstawienia. Największe jednak powodzenie miały moje skoki! — dodała z pewną dumą.

Iwo skrzywił się niechętnie i otarłszy pot z czoła, zawołał:

— Zmęczona jesteś, zostaw opowiadanie na jutro!

— O nie — pozwólcie mi dokończyć — nie wiele mam już do powiedzenia.

I z gorączkowym pośpiechem mówiła dalej:

— Przyzwyczaiłam się do tego życia, upajały mnie oklaski, tęskno mnie było do rodziców i ból ściszał, że słyszę obcą mowę, której i ja się nauczyłam, zapominając swojej. Nie zapomniałam tylko pacierza i dotąd go mówię. Pragnienie usłyszenia tej mowy było tak wielkie we mnie, że gdy raz w Berlinie ją usłyszałam, krzyknęłam z areny: „Jam jest polka zabierzcie mnie“. I wyciągnęłam dłonie w tę stronę, z której głos pochodził. W tej chwili Padre pochwycił za cugle konia, na którym stałam, mnie złapał na ręce, uniósł i zamknął w po-

koju na kilka dni o chlebie i wodzie, którą mi sam przynosił, nie wpuszczając nikogo. Potem ukrył mnie w jakimś małym miasteczku wrzaz z Madre, bo podobno miał wiele nieprzyjemności z powodu mego okrzyku.

— Rodzice wtedy, dowiedziawszy się od pana Mroczyka, że się popisuje jakaś polka, przyjechali aby cię odebrać! — przerwał Iwo.

— I cóż, i cóż!? — zapytała gwałtownie Justysia.

— Przedstawili im inną jakąś dziewczynę... — odrzekł smutnie Iwo, dopowiadając znane nam już szczegóły, do których od czasu do czasu Janek wtracał jakiś wyraz, a Justysia, patrząc na mówiącego, powtarzała z cudzoziemskim akcentem, lub rzewnie płakała. Kończyła zaś opowiadanie w ten sposób:

— W Dreźnie dawano wielkie przedstawienie na którym znajdował się król i książę, przybyły z Warszawy, nazywali go „Fürst Joseph“.

— Mój opiekun! — pomyślał Iwo, nie przerywał jednak, słuchając opowiadania z zapartym oddechem.

— Ten książę oklaskiwał ogromnie moje skoki i gdy skończyła, chciał mnie widzieć. Lecz Padre przeprosił go bardzo i nie pozwolił, jak nie pozwalał wogóle nikomu do mnie przystępu. Byłam wołyżerką, lecz kiedy inne się bawiły, mnie tak strzeżono, iż mi nie wolno było nawet z moimi towarzyszkami rozmawiać! — rzekła z rodzajem skargi.

— Zresztą, wszystko mi było jedno, żal mi tylko, że nie widziałam tego księcia, on był z Warszawy... musi też być bardzo dobry, przysłał mi w darze złote ostro-

gi, z których oto tylko jedna pozostała! — dodała westchnąwszy.

Iwo również westchnął, lecz z tem westchnieniem jakiś kamień spadł mu z serca.

Przypomniawszy sobie ową ostrogę księcia na polu bitwy i znów pomyślał:

— Jak mnie też te złote ostrogi prześladowa!

— Ale jakim sposobem dostałaś się pomiędzy walczących? — spytał Janek, który wiedział tylko tyle z opowiadania, co mu Iwo od czasu do czasu szepnął.

— „Walczących“ — powtórzyła Justysia ostatni wyraz. Co on mówi, co to znaczy?

Iwo wytłómaczył.

— Przybyliśmy do Alexandryi, był tam z wojskiem jakiś znakomity generał austriacki, mieliśmy dla niego dawać przedstawienie. Gdy wojska francuskie nadciągnęły, kazano nam się wynosić. Wyszliśmy więc i stanęli nieopodal miasteczka Marengo. Słyszeliśmy jak bitwa wrzała z drugiej strony miasta, ale Padre na to nie zważał, kazał mi się ubrać i robić próbę, mówiąc:

— Jeżeli Napoleon zwycięży i zajmie miasto, powitamy go przedstawieniem na jego cześć ułożonem. Wielki wódz dobrze zapłaci, a może i do Paryża zawezwie.

— I ja rada byłam ujrzeć Napoleona, bo doszło do moich uszu, że w jego szeregach walczą polacy, — mówiła dalej. — Gdy odbywała próbę w wielkiej szopie pod miastem, huk bitwy coraz więcej ku nam dochodził. Padre zawołał: „Halt“, chcąc przerwać próbę, lecz w tej chwili ogień objął szopę...

— Mój Ponny przestraszony wyskoczył z płomieni i pędził ze mną przez miasto jak szalony. Nie powstrzymałam go, owszem, siadając na siodle, dodawałam ostrogi, to znów stawalam, migotałam kołem, popędzając go do biegu, byleby jak najdalej uciec od Padre... Choćby nawet życiem przypłacić! — smutnie westchnęła.

— I dzięki niebu ocalałaś i wracasz do swoich! — zawołał Iwo, biorąc jej rękę.

— No, tak, ale ja z tego nic nie zrozumiałem! — rzekł z pocieszną miną Janek.

— „R o z u m i a l e m“ — powtórzyła Justysia, śmiejąc się jak dziecię.

Gargatua kiwała na wszystko głową, wzdychając zawzięcie, teraz jednak skorzystała z przerwy i postanowiła odprowadzić rekonwalescentkę do alkierza.

Nie opierała się temu; — owszem, upojona jakąś wewnętrzną radością pragnęła w tej chwili być samą. Czuli się też rzeczywiście znużoną.

Iwo, pozostawszy z towarzyszem, musiał mu powtórzyć całe opowiadanie, poczem Janek rzekł smutnie:

— Szkoda mi ciebie, bracie, musimy się jednak rozstać!...

— Czemuż? — zapytał Iwo, który mimo swego oficerstwa i wykształcenia wojskowego, uważał Janka, prostego żołnierza, jak brata i ukochanego towarzysza. Niedola zaś ostatnich miesięcy zbliżyła ich jeszcze więcej do siebie.

— Czemu? — powtórzył raz jeszcze pytanie.

— Ty ze swem przestrzelonem ramieniem, nie pędko będziesz zdolny do wojaczki, ja pójdę szukać naszych pułków! — odrzekł Janek.

Iwo zwiesił głowę.

— Czyż nigdy już broni nosić nie będę? — szepnął jakby do siebie.

— Owa, i jak! Za parę miesięcy ramię ci się zrośnie i, da Bóg, spotkamy się znowu w jednym szeregu! — zawołał wesoło Janek. I zaraz dodał:

— Tymczasem zabierz ją i wracaj do swoich...

— Do swoich! — przerwał mu Iwo — alboż ja mam swoich!?

— Mazgaj jesteś, chociaż dzielny żołnierz! — zawołał Janek. — Masz przedewszystkiem obowiązek opiekowania się Justysią, którąś uratował, a potem rodzice przyjmą cię jak syna, gdy im powrócisz zaginioną.

— No, dalejże, panie poruczniku, uszy do góry i myśl o jak najprędszym wyjeździe! — dodał.

— Musimy czekać, aż przyjdzie zupełnie do siebie — rzekł Iwo, zamyślając się.

I zaraz począł:

— Konsul kazał jej się stawić, gdy wyzdrowieje, a i mnie tenże sam wydał rozkaz.

— Konsul tak myśli o was, jak ja o moim dziurawym kaszkiecie, który mi Austriacy z kawalkiem ucha zabrali! — zaśmiał się Janek.

— A zresztą, choćby was sobie przypomniał, dla Justysi miłszy będzie uścisk rodziców, niż wszystkie honory, jakimi wielki wódz by ją obdarzył.

— To przynajmniej poczekaj na nas, póki nie będziemy mogli wyruszyć — rzekł po namyśle Iwo, uznając rozsądną radę towarzysza.

— Jakiś czas i tak mi zejdzie, dano mi kilka siodeł do naprawy, muszę je wykończyć! — odparł Janek — maskując robotą rzeczywistą chęć pozostania z Iwonem i służenia powracającym.

— Iwo jest tak niezaradny, błądzi po gwiazdach, mogę im być w drodze potrzebny... — myślał sobie pocziwy rymarz.

XVI

W NURTACH ELSTERY.

Janek miał zupełną słuszość. Napoleon nie troszczył się o nich. Trudno też nawet było wymagać, ażeby wielki wódz, ważący w owej chwili losy całej Europy, zajmował się jednostkami. I tak mogli się uważać za bardzo szczęśliwych, że zasiłek, zostawiony przez jego nadwornego lekarza, był tak suty, iż im wystarczał na pierwsze potrzeby podróży, która do łatwych nie należała. Oprócz wygód, jakich wymagała rekonwalescentka, nalegająca o jak najspiesniejszy powrót, musiano przedsięwziąć wielkie ostrożności, ażeby nie spotkać się z Austryakami, którzyby im mogli czynić przeszkody. Musieli też uważać, żeby nie natknąć się na cyrk Padra, który niechybnie poszukiwał wołtyżerki.

— Raczej śmierć, niż powrócić do cyrku! — mówiła Justysia, składając błagalnie ręce.

Kołowali więc niepomiernie. Obrócili drogę przez Szwajcarję, potem skreśliłi przez prowincję Nadreńską, gdzie spotkali oddziały pod dowódcami polskimi. Ci, dowiedziawszy się o losie wiezionej, dzielili się czem mogli, przymierając często sami głodem, byleby jej powrót ułatwić.

Iwo wprawdzie wysłał list do chorążego, donoszący mu o odnalezieniu Justysi, i wieść tę powtarzał z każdego znacniejszego miasta, nie prędko jednak mógł się spodziewać pomocy wobec poczt nieregularnie chodzących.

Tak dotarli do Frankfurtu nad Menem, gdzie znaleźli Drzewieckiego, który był już szefem brygady.

Było to wprawdzie dla nich dobrodziejstwo.

Drzewiecki bowiem, złączony z domem chorążstwa gorącym uczuciem, ucieszył się na widok nieznanej, lecz tyle razy wspomnianej Justysi. Że zaś wtedy otrzymał z domu znaczniejszy pieniężny zasiłek, wsparł wyczerpaną kasę podróżnych, a żegnając ich, rzekł:

— Powieźcie pozdrowienie moje Olimpcie i proście, by pamiętała o przyrzeczeniu, które mi odwagi w boju dodaje!

Zwróciwszy się zaś do Iwona, mówił:

— Ty, bracie, wydobrzej jak najprędzej ze swego kalectwa i wracaj do nas! — Nie czas jeszcze na hymenu pochodnię, razem ją zapalimy! — dodał, uśmiechając się i wskazując na leżącą w powozie Justysię.

Iwo zarumienił się jak dziewczyna, nie odrzekł jednak nic na wesołe proroctwo.

Smutek też teraz osiadł rzeczywiście na licach podróżujących.

Janek ich tutaj pożegnał, mówiąc:

— Mam, dzięki Bogu, zdrowe jeszcze kości, wstyd by mnie było powracać, dacie już sobie radę bezemnie.

I dawali, bo musieli!

Szczęśliwie przynajmniej, że Justysia podniecana nadzieją ujrzenia rodziców, nie tylko bardzo dzielnie znosiła trudy podróży, lecz coraz więcej przychodziła do siebie.

Strzaskana noga zrosła jej się też zupełnie. Chwilami cieszyła się jak dziecko, zwłaszcza, gdy coraz więcej uczyła się zapomnianych polskich wyrazów. Najczęściej jednak siedziała cichutko w wysłanym wygodnie powozie i myśl swą wznosiła ku niebu, dziękując za cudowne wybawienie.

Nie przerywał jej tej zadumy Iwo, lecz szedł z nią myślą, porównywając szczególne podobieństwo w jej i swoim dzieciństwie.

— I ona zapomniała swojej mowy i tęskniła do niej, i ona miała smutne i bolesne dzieciństwo... dziś wraca do swoich, a ja!...

— Ja nie mam nikogo, nikogo!... myślał sobie dalej... — Ach, żebym jak najprędzej odzyskał siłę w ramieniu... tam, tam moje miejsce! — mówił, patrząc w stronę, gdzie pozostawił szeregi...

— Wszystko inne nie dla mnie, nie dla mnie!... — dodawał, patrząc na siedzącą w cichem ukojeniu towarzyszkę podróży.

W drodze zdołał znaleźć pewnego posłańca, przez którego zawiadomił chorążego o swoim zbliżaniu się.

Uszczęśliwiony ojciec po otrzymaniu pierwszej wiadomości wysłał im zaraz do Berlina przez bankiera pieniądze, a jeżeli sam nie śpieszył, to tylko dla tego, ażeby nie zminąć się z ukochaną podróżną. Oczekiwał ich za

to wraz z Olimpka w Poznaniu. Przed chorążyną upozorował tę podróż czem innem, nie chcąc jej narażać na podróż podczas zimy i ciężki zawód na widok ukochanej córki, nie takiej zapewne, jakaby ją matka widzieć chciała.

— Przygotujemy matuchnę i Justysię, bo i radość wielką może zabić! — mówiła Olimpka do ojca, ciesząc się na samą myśl ujrzenia zaginionej siostry.

Że radość była wielka z odnalezionej, nie potrzebujemy dodawać, jak również, że Iwona obsypywano podziękowaniem.

— Syna nie witałbym serdeczniej! — mówił chorąży, przyciskając go do piersi z rozczuleniem.

Odtąd już razem podróż odbywali. Nie dłużyła im się nawet, bo opowiadania przebytych cierpień i wypadków skracały chwile, wypełniając długie wieczory grudniowe, spędzane zwykle na wypoczynku.

Zdążano na święta Bożego Narodzenia do Wielkiej Pokrzyki, gdzie chorążyna, porzuciwszy na czas jakiś klasztor P. P. Sakramentek, wraz z Kumosią przybyła.

— Może nam też Pan Jezus naszą Justysię ześle, mówiła poczciwa gospodyni, krzając się koło przygotowań przedświątecznych.

— Nie mów byle czego! — zgoniła ją chorążyna. — Po mojej ukochanej Justysi już pewnie i śladu niema na świecie! Dałby oto Bóg, żeby przynajmniej jegomość z Olimpka na wigilię wrócili! — dodała.

Wtem nie wiedzieć skąd, zjawił się Mroczek.

— Myślałem, że tu gości zastanę! — rzekł, rozglądając się.

— Skądże waść spodziewał się gości w naszym smutnym domu — odrzekła dość niechętnie chorążyna, która miała do niego żal za zawód bolesny, jakiego w Berlinie doznał.

— Mościa dobrodziejko, i najsmutniejszy dom czasem Pan Bóg radością nawiedza — odrzekł Mroczek.

Wlócząc się bowiem po świecie, dowiedział się o wyjeździe chorążego i teraz podążył do Wielkiej Pokrzyki, chcąc radosną wieść stroskanej matce oznajmić i przy tej sposobności coś dla siebie zarobić.

Lecz chorążyna na wyrazy pociechy dość opryskliwie odrzekła:

— Dajno waść spokój ze swojemi prorocztwy, mieliśmy ich już dosyć z jego łaski!

Wtem Kumosia wsunęła się do pokoju i siadając na podnóżku przy swojej pani, mówiła:

— Pan Bóg oto łaskaw, Ambroży powrócił i oznajmił, że jegomość dobrodziej jutro koło południa najdalej zjedzie.

— A co, nie mówiłem! — ozwał się Mroczek, zacierając ręce.

Chorążyna jednak nie zwróciła uwagi na ten jego wykrzyk, lecz odrzekła:

— Moja Kumosiu, tak ci głos drży, czy aby, Boże ucho, nie przytrafiło się jakie nieszczęście Olimpce...

— Niech się jejmość dobrodziejka nie trwoży, wszystko jak najlepiej — mówiła rzeczywiście drżącym głosem.

sem lecz z radości. Radość ta i w oczach jej świeciła, której wszakże chorążyna widzieć nie mogła, z powodu szarej godziny.

Język ją też świerzbiał, żeby wypowiedzieć wszystko i prawie na wodzy go nie mogła utrzymać.

— Wszystko dobrze, wszystko jak najlepiej! a choćbym miał w tej chwili na niełaskę i gniew imci pani chorążyny zasłużyć, powtarzać będę, że wtedy, gdy się najmniej spodziewamy, największa radość nas spotyka — mówił Mroczek, wyglądając oknem.

— Zawołajcie mi Ambrożego! — niechaj się dowiem raz od niego, co mnie czeka, a półsłówkami mnie nie karmijcie! — zawołała, zrywając się, chorążyna.

Wszedł Ambroży i skłoniwszy się mówił:

— Wszystko dobrze! niech się jejmość dobrodziejka uspokoi, jegomość zdrów, panienka także, są niedaleko i Iwo z nimi...

— Iwo? — Skądże się wziął? — przerwała chorążyna.

— Wiadomo, we świecie ani się spodziewasz, kiedy spotkasz tych, o którycheś ani myślał — ciągnął dalej stary sługa, chcąc według danego polecenia przygotować swą panią do radości, jaka ją spotkać miała.

— Ja to dziś widziałam we śnie Justysię jakby żywą! — ozwała się Kumosia radosnym głosem.

— Boć też i żywa — rzekł Mroczek.

— Nie dręczcie mnie, powiedzcie, coście znów za bajkę usnuli! — zawołała chorążyna.

— Jada! — zawołał Mroczek, spoglądając na bielejącą wśród szarego mroku drogę.

— Jada, dobrodziejko moja, jada wszyscy i Justysia z nimi! — zawołała Kumosia, całując ręce swej pani.

Radości, jaka zapanowała, nikt opisać nie jest w stanie.

Chorążyna z niedowierzaniem przypatrywała się odnalezionej córce, jak ona nawzajem nie wierzyła szczęściu, które ją po tylu latach spotkało.

I znów opowiadania najdrobniejszych szczegółów, do których i Mroczek wtrącał się ciągle, jak gdyby był ich świadkiem.

Iwo nie mógł się skarżyć, że go pomijano, owszem, zwracano się do niego z zapytaniem lub podzięką.

— Gdyby nie on, byłabym zginęła na polu walki! — mówiła Justysia, patrząc z wdzięcznością na wybladłego z ran i jakiejś wewnętrznej walki młodzieńca.

I wesoło było w Wielkiej Pokrzyce, wesoło jak dawno nie bywało: Narodzenie Pańskie przyniosło im odrodzenie z bólów i smutków, od tylu lat, trapiących rodzinę chorążego.

Zaraz też znaleźli się i najbliżsi sąsiedzi. Byli też i facy, którzy zaraz ze swatostwem występowali. Nie tyle jednak skłaniali się do Olimpki, ile do Justysi. O pierwszej bowiem rozeszła się wieść, że już oddawna zaręczona z imci panem Drzewieckim, którego imię znane było teraz w całym kraju. Mroczek najpierwszy kandydatów chciał przedstawiać.

— Mój panie Mroczek, pozwólże nam odetchnąć, zresztą nie waści to sprawa! — rzekł chorąży, dając mu z miejsca odprawę.

— Czyżby oni sobie tego Przybłędę upodobali! — myślał Mroczek.

— Piękny chłop, niema co mówić, ale Bóg wie, jakiego pochodzenia... ponury, źle mu z oczu patrzy... — myślał sobie dalej.

Rzeczywiście, mimo całej serdeczności, jaką go otaczano, Iwo popadał w zamyślenie i smutek wciąż go trapił.

— Czyś ty gdzie duszę w odległym kraju zostawił? — zapytał raz choraży, patrząc na zasmuconego młodzieńca.

— Dusza moja i serce przy was... i przy Justysi! — odrzekł, schylając się do ręki chorażego.

— A to ją bierz i nie psuj sobie żółci, a nam wesołości! — odparł choraży. I podprowadziwszy go do córki, chciał połączyć ich dłonie.

Lecz Justysia osunęła się do kolan ojca i rzekła:

— Iwo wie, żem ślubowała Bogu!

— Jakto?! — zapytał, marszcząc brwi, choraży.

— W drodze jeszcze powiedziałam mu, iż gdy tylko nacieszę się z ukochanymi rodzicami, zamknę się w klasztorze. Pragnę jak najprędzej ślubu mojego dopełnić — dodała proszącym głosem.

Choraży niecierpliwie targnął wasa.

— Ledwieśmy cię odnaleźli i znów tracimy! — zawołał.

— Nie utracimy, gdy będzie służką Pana Jezusa! — ozwała się chorażyna.

Przejęta bowiem pobożnością i przywykła przez długie lata do klasztoru, cieszyła się, że córka jej, ma też same skłonności.

— Jedna światu, druga Bogu! — rzekła, pocieszając małżonka, który tak pokochał Iwona i tak umiał ocenić jego charakter, iż chętnie pokonał wszelkie przesady i chciał przygarnąć go, jak syna.

— Nie dla mnie takie szczęście, nie dla mnie! — mówił zasmucony młodzieniec.

— Gdy tylko broń utrzymać zdołam, pójdę znów w świat — dodał.

— Modlić się będę za ciebie, abyś ran więcej nie otrzymał! — rzekła Justysia.

— Módl się, bym ich odniósł jak najwięcej i poległ na polu walki — odparł Iwo.

— Nim pójdziesz w świat, powinienes twego opiekuna odwiedzić! — rzekła Olimpka.

Troszczy się zawsze o ciebie i kilkakrotnie mnie pytał, czy nie wiem, gdzie się obracasz — dodała.

— Tak, pójdę do niego, nim rękę będę miał zdolną do boju, przy nim pozostanę.

— Powiedz księciu przy sposobności, że naukę jego, daną mi kiedyś w dzieciństwie, przechowuję zawsze w mem sercu — rzekła Olimpka.

— Pojedziemy razem do Warszawy — ozwała się chorażyna — Justysia niechaj ślub swój wypełnia, a i mnie czas już do klasztoru i biednych, którzy mej pomocy czekają.

— Olimpke znów odwieziesz do księżnej, jej tam lepiej bodaj jak u nas — mówiła chorążyna.

— Nie, matko, mnie lepiej tutaj, w Pokrzyce. Nie rozłącze się z ojcem, który teraz chce na wsi pozostać. Postaram się być mu pomocną — ozwała się Olimpka.

— Zresztą i tutaj dużo nędzy, nad którą czuwać potrzeba — szepnęła jakby do siebie.

— Dziecię ty moje, nie będzie ci smutno? — rzekł chorąży, rozczulony postępowaniem córki.

— Nie, ojcze, nauczyłam się teraz patrzeć właściwie na świat ten, do którego tęskniłam. Przedewszystkiem zaś nauczyłam się, co każda z nas winna rodzinie i krajowi. Poznałam, że żyć, to znaczy działać — mówiła dalej Olimpka. — Jeżeli pozwolisz, ojcze, rozwinię tu pracę swoją i wzięwszy kilka ubogich dziewcząt, będę nad niemi pracować tak, jak nademną pracowano.

— Każdy niechaj spełnia to, co w duszy jego Bóg Wszechmocny, jako powołanie, rozniecił! — rzekła matka.

I kiedy chorążyna z Justysią odprowadzane przez chorążego i Iwona udały się do Warszawy, Olimpka została z Kumosią w Pokrzyce.

Wkrótce też obszerny dwór napęłnił się młodemi z najbliższych okolic dziewczátkami, które Olimpka do zajęć i robót kobiecych wdrażała, rozwijając przytem w ich sercu poczucie obowiązku i przysparzając krajowi dzielnych i zacnych obywateli.

Kumosia patrzyła na jej pracę z podziwem i kiwając głową, mówiła:

— Skończenie świata, dawniej młode panny po ba-

lach i redutach jeździły, a panny służebne przygotowywały dla nich stroje, — dziś oto taka śliczności panna, pracuje jak jaka prosta dziewczyna i inne tej pracy naucza!

— Oj, nie takich ja się gości w pokrzyckim dworze spodziewałam... nie takich! — biadała, spełniając jednak wszystko, czego Olimpka pragnęła.

Iwo tymczasem, przybywszy do Warszawy, nie zastał księcia, — co tylko za granicę wyjechał.

Podążył za nim Iwo, lecz go nie spotkał.

Szedł więc za wielką sławą Napoleona, która wciąż jako gwiazda świeciła...

W drodze dowiedział się, że wielki wódz 9 lutego 1801 roku zawarł pokój w Lunevillu... Jak wielu tak i on wstrząsnął się na myśl, że nadzieje znów zawiedzione zostały, szedł jednak, za nim dalej i dalej.

Już wiosna wonnym kwiatem okryła doliny, gdy w Turynie spotkał resztę pułku Drzewieckiego.

Ucieszyli się sobą nawzajem.

Bliskość miejsc, gdzie rok temu Iwo pod rozkazami Napoleona walczył, przywiodła mu na pamięć minione chwile.

— Przeżyliśmy tyle, przeżyjemy i więcej! — rzekł mu Drzewiecki, wysłuchawszy opowiadania.

— I przecierpiemy! dodał Iwo.

— Ustawać wśród drogi nie można! rzucił dzielny pan Józef.

— Oh, nie, — nie można, — odpoczynek tam, — w grobie! odparł z zapalem Iwo.

Nie cofnął się też z nich żaden.

Gdzie tylko dłoń Napoleona wskazała, szli za jego zwycięskim sztandarem, — niosąc wraz z krwią swoją wielkie w sercu nadzieje i ufność w geniusz wojenny wielkiego wodza.

Gdy Napoleon w 1804 r. ogłosił się cesarzem, serca ich zdrząły radością, powtarzając:

— Mocarz, z koroną na skroniach, uwieńczy i nasze nadzieje!

Nadzieje blakły i znikły, lecz sława mocarza urastała:

Sława ta, złocąc mu koronę aureolą wielkości, pociągnęła naszych przyjaciół dalej i dalej!

I szli wciąż za nim, niosąc pożogę i zniszczenie; — zostawiając ślad nieustraszonego męstwa.

Wśród walk bezprzestannych Iwo z Drzewieckim musieli się rozdzielić.

Iwo, jako dowódca pułku pozostał, — Drzewiecki wrócił do kraju.

Na samym wstępie dowiedział się, że Olimpka Pokrzycka, dozorując jedną ze swych wychowanek chorych na ospę, uległa strasznej zarazie.

Legła jak żołnierz na placu boju.

Legła, lecz zostawiła piękny posiew swej kilkoletniej niezmordowanej pracy.

Iwo, po rozłączeniu się z przyjacielem, dostał się bezpośrednio pod rozkazy Napoleona i z pułkiem, którym dowodził, przyczynił się do świetnego zwycięstwa pod Wagram.

Wielki wódz, zebrawszy po bitwie wszystkich pułkowników, dla obdarzenia ich honorami wojskowemi, spojrzał też bystro na Iwona.

— Jak się nazywasz! — zapytał, bacznie się weń wpatrując.



Iwo wymienił swoje przygodne nazwisko. Cesarz spojrzał na niego i zapytał:

— Byłeś pod Marengo?

— Tak, najjaśniejszy panie, ja i mój towarzysz.

— V'la! — zawołał Napoleon z radośnym uśmiechem.

Nie wiedzieć zaś, co ten uśmiech wywołało: — zadowolenie, że tak łatwo przypominał sobie fizyonomię, czem się lubił chwalić, czy też wspomnienie okrzyku Janka.

— A twój towarzysz? — zapytał cesarz.

— Jest brygadyerem w moim pułku.

— Niechaj się stawi! — rozkazał Napoleon.

Wypełniono rozkaz.

— Camarade, sais tu le français! zapytał cesarz z uśmiechem.

— Oui: Vive Napoleon le grand! — odpowiedział niezbity z tropu brygadyer.

— Więcej mi nie potrzeba! — dodał po polsku.

Przytomni oficerowie uśmiechnęli się mimowoli.

Napoleon miał również uśmiechnięte oblicze.

— Tiens! — rzekł, przypinając własnoręcznie uszczęśliwionemu brygadyerowi cyfrę swoją.

— Eh, camarade! — zawołał Napoleon, gdy już wszyscy opuszczali kwaterę cesarską, a ostatni prawie wychodził Iwo.

Zatrzymał się, robiąc zwrot żołnierski.

— Co się stało z woltyżerką? — zapytał cesarz.

Na poszczerbionej bliznami twarzy pułkownika osiadł głęboki smutek, a serce zakołatało dawnym wspomnieniem.

— Została zakonnica u P. P. Sakramentek w Warszawie! — odrzekł drżącym ze wzruszenia głosem.

— Powinienbym cię ukarać za uwięzienie jej bez mego rozkazu, ale jesteś już, jak widzę, ukarany! — rzucił Napoleon.

— Czyż wszystkie moje marzenia pozostaną na zawsze niedościgłą marą? — myślał sobie Iwo, wychodząc z posłuchania u wielkiego cesarza.

I dalej przebiegał świat za olbrzymem wojennym, ciesząc się z każdej otrzymanej rany. Zdawało mu się bowiem, iż każda z nich zbliża urzeczywistnienie jego marzeń.

Wreszcie miał tę pociechę, iż walczył teraz obok swego ukochanego księcia.

Losy wojny nie tylko zespoliły, lecz zrównały teraz serbskiego pastucha z tym, którego ocalił pod Sabacz.

Obadwaj szli za sztandarami Napoleona.

Mimo klęsk, jakie po wielkich zwycięstwach go spotykały, pokładali w nim wciąż nieoganiczoną ufność i wiarę w jego gwiazdę.

Wielkość Napoleona upadła w roku 1812 pod Moskwą, wzniosła się znów zwycięstwem pod Lützen w roku 1813.

Dłoń jego na chwilę osłabła kreśliła nowe plany.

Książę Józef nie opuszczał go teraz. Obok niego walczył Iwo.

Nadeszła bitwa pod Lipskiem.

Olbrzymia przestrzeń pomiędzy rzekami Elba, Elstera, Pleissą i Parthą zajęta była przez wojska sprzymierzone przeciw Napoleonowi.

Rozpoczęła się walka, jedna z tych, na które składają się wieki, walka — zwana walką olbrzymów.

Szala zwycięstwa chwiała się, ludzie z obu stron padali, uścielając ciałami swemi drogę do sławy do wódcom.

Dnia 16 października 1813 roku Napoleon wspierany przez korpus Księcia Józefa Poniatowskiego z siłą 40.000 wojska stawiał czoło trzykroć liczniejszemu nieprzyjacielowi.

Wojska jego utrzymały plac boju.

Napoleon w pierwszej chwili uniesienia, widząc komu to zwycięstwo zawdzięcza, mianował księcia Józefa marszałkiem Francji, Iwoną złotymi ostrogami obdarzył.

Błądy uśmiech zaigrał teraz na zoranej bliznach twarzy naszego bohatera.

— I gdzież spełnienie moich marzeń! — pomyślał z goryczą.

Zwycięstwo 16 października było okupione takim ogromem ciał poległych, iż równało się porażce.

Lecz Napoleon igrał z życiem ludzi, którzy mu je w ofierze składali.

Ponowił walkę!

Książę Józef widział niepodobieństwo wyganej! — zapytał jednakże swoich wiarusów:

— Bracia, czyż mamy się cofnąć!!?

— Nie! ozwał się jeden okrzyk ze wszystkich piersi.

— Za mną! krzyknął dzielny dowódca.

I cały korpus rzucił się z rozpaczliwą odwagą.

Po strasznej walce pole zostało zasłane trupami.

Większość sił nieprzyjacielskich przeważała, zwycięstwo było niemożliwe.

Jednocześnie Napoleon, przypuszczając szturm z innej strony, doznał porażki i cofnął się za Elbę.

Książę Józef, pozostawiony w Lipsku z resztą sił swoich, dnia 19 października cofał się ku jednemu pozostawionemu mostowi na Elsterze. Francuzi pozostający na posterunku, mieli po przejściu sił nowego marszałka Francji, most ten w powietrze wysadzić.



Kule nieprzyjacielskie świstały w powietrzu. Książę Józef ranny dwukrotnie, już, już miał się dostać w ręce zwycięzców... Lecz nie! życia swego nie odda w ich dłonie!...

I rzucił się z koniem w Elstere, a za nim dwaj towarzysze.

Koń księcia ginał pod wodą, to znów powstrzymywany przez płynących obok, wysuwał łeb swój nad ich powierzchnią, czyniąc ostatnie wysiłki...

W tem kula świsnęła, za nią druga...

Koń księcia wstrząsnął się ostatniem drżeniem, chrapnął przeraźliwie, zamącił w krag spienioną wodę i pozostawiając na jej powierzchni wielką smugę krwawą, — zatonął.

.

.

.

Gdy z nurtów Elstery wydobyto ciało wodza, obok znaleziono dwa inne.

Na jednego piersi świeciła cyfra Napoleona 1-go, u nóg drugiego świeciły złote ostrogi.

Zulinec
3/11 1900.

596
KONIEC



114997